Sławomir Koper
Tymoteusz Pawłowski

TAJEMNICE MARSZAŁKA ŚMIGŁEGO-RYDZA

Bohater, tchórz czy zdrajca?

HARDE

Sławomir Koper
Tymoteusz Pawłowski

TAJEMNICE MARSZAŁKA ŚMIGŁEGO-RYDZA

Bohater, tchórz czy zdrajca?

HARDE
WYDAWNICTWO

Spis treści

Od autorów
Rozdział 1. Brzeżany
Rozdział 2. Na frontach wielkiej wojny
Rozdział 3. Wielkie dni „Śmigłego”
Rozdział 4. Najlepszy polski dowódca
Rozdział 5. Zawsze wierny Marszałkowi
Rozdział 6. Czas sanacji
Rozdział 7. Wojna diadochów
Rozdział 8. Czas wielkiej polityki
Rozdział 9. Armia
Rozdział 10. Sprawy wewnętrzne
Rozdział 11. Czas sukcesów
Rozdział 12. Ostatnie miesiące przed wojną
Rozdział 13. Prawda i mity o wrześniu 1939 roku
Rozdział 14. 17 września 1939 roku
Rozdział 15. Internowanie
Rozdział 16. Ostatnie (?) dni „Śmigłego”
Epilog nr 1. Tajemnice, hipotezy i kontrowersje
Epilog nr 2. Zbrodnia na Riwierze
Zakończenie. Ekshumować „Śmigłego”!
Dodatek. Katalog europejskich wodzów naczelnych
Przypisy
Ważniejsza bibliografia

TAJEMNICE
MARSZAŁKA
ŚMIGŁEGO-RYDZA
Sławomir Koper, Tymoteusz Pawłowski

Copyright@by Sławomir Koper, Tymoteusz Pawłowski 2019

Opieka literacka
Hubert Biskupski

Projekt okładki
Piotr Dąbrowski

Redakcja
Katarzyna Litwinczuk

Fotoedycja
Izabela Drozd

Korekta
Katarzyna Bury

Zdjęcia na okładce: Marszałek Polski Edward Rydz-Śmigły. Fotografia portretowa (NAC/ Ilustrowany Kurier Codzienny; Dzieci szlachty zagrodowej z wizytą u marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza (NAC/Ilustrowany Kurier Codzienny); autorzy książki (archiwum prywatne)

ISBN 978-83-66252-19-6
Warszawa 2019

Wydawca
TIME Spółka Akcyjna, ul. Jubilerska 10, 04-190 Warszawa

Chcesz z nami pracować? Prosimy o kontakt:
marketing manager Wydawnictwa Harde
Edyta Wysokińska ewysokinska@grupazpr.pl

Autor i Wydawca dołożyli wszelkich starań, by dotrzeć do wszystkich właścicieli i dysponentów praw autorskich do zdjęć zamieszczonych w książce. Osoby, których nie udało nam się ustalić, prosimy o kontakt z Wydawnictwem.

Wersję cyfrową przygotowano w systemie Zecer firmy Elibri

Od autorów

Marszałek Polski Edward Śmigły-Rydz jest bez wątpienia najpowszechniej znienawidzoną polską postacią historyczną. Nikt właściwie nie wyrażał się ani nie wyraża o nim pozytywnie. To doprawdy ewenement w naszych dziejach, gdyż pozytywne opinie można znaleźć nawet o przywódcach konfederacji targowickiej albo o Aleksandrze Wielopolskim czy Wojciechu Jaruzelskim. Nie jest nawet uważany za postać kontrowersyjną. Jest po prostu jednoznacznie zły.

Inna sprawa, że naraził się właściwie wszystkim. Rosjanie nienawidzą go za zwycięskie walki z bolszewikami w latach 1919-1920. Niechęć ta przeszła na władze i historyków epoki PRL-u – w efekcie potrafiono tą nienawiścią skutecznie zarazić miliony Polaków. Było to o tyle łatwe, że „Śmigłego" nienawidziła także znaczna część opozycji antykomunistycznej, szczególnie ci, którzy widzieli w nim następcę „dyktatora" Piłsudskiego. Marszałek był też znienawidzony przez polski rząd na wychodźstwie jako czołowy przedstawiciel sanacji. Niechętnie wypowiadali się o nim także sami piłsudczycy, gdyż nie spełnił pokładanych w nim nadziei i nie został „drugim Komendantem". Do tego obarczono go odpowiedzialnością za klęskę w wojnie 1939 roku – zatem znienawidzili go zarówno świadkowie tych wydarzeń, jak i ci, którzy o tej wojnie uczyli się z książek.

Nienawiść wobec Edwarda Śmigłego-Rydza miała wiele odcieni. Jedną z nich, dość prymitywną, było używanie nazwiska Rydz przed legionowym przydomkiem „Śmigły". Wobec wszystkich innych uczestników walk o niepodległość Polski stosuje się inną metodę, usankcjonowaną zresztą prawnie już w niepodległej Polsce. Właściwe nazwisko było poprzedzane pseudonimem, dlatego mieliśmy: Grzmota-Skotnickiego, Dęba-Biernackiego, Bora-Komorowskiego czy Wieniawę-Długoszowskiego. Zwracanie się do oficerów: „Grzmot", „Dąb", „Bór" czy „Wieniawa" było wynikiem przestrzegania zasad savoir-vivre'u. O bohaterze niniejszej

biografii należałoby zatem mówić „Śmigły”, lecz niemal wszyscy wyrażają się o nim jako o Rydzu. Faktycznie, zwracając uwagę na mało eleganckie, plebejskie nazwisko, również można odebrać tej postaci nieco powagi.

O „Śmigłym” pisze się niewiele, a jeśli już, to właściwie tylko bardzo źle. Dodatkowy problem stanowi także fakt, że był niezwykle skrytym człowiekiem i nie pozostawił niemal żadnych wspomnień. Dlatego poświęcono mu niewiele pozycji książkowych, a te, które się ukazały, przedstawiają go niemal wyłącznie w ciemnych barwach. Bez końca podkreślana jest jego odpowiedzialność za klęskę wrześniową, nie wspomina się w ogóle o kontekście tej wojny, a tym bardziej o fakcie, że „Śmigły” w tak trudnej sytuacji sprawdził się jako Naczelny Wódz i do chwili sowieckiego ataku sprawnie realizował założone cele kampanii. Wojsko Polskie nie miało bowiem pokonać Wehrmachtu, lecz zadać mu jak największe straty i po wycofaniu się na przedmoście rumuńskie oczekiwać ofensywy sprzymierzonych na Zachodzie, by przejść do kontrataku i wyzwalania okupowanych ziem polskich. Przy okazji żaden z autorów publikacji o marszałku nie podkreśla dostatecznie jego ogromnej roli w bojach legionowych podczas I wojny światowej, znakomitego i skutecznego kierowania Polską Organizacją Wojskową czy ogromnych sukcesów w wojnie z bolszewikami.

Mamy nadzieję, że książka, którą napisaliśmy, przedstawi postać Edwarda Śmigłego-Rydza w sposób wyważony i sprawiedliwy. Interesujemy się jego życiem i działalnością od kilkunastu lat i zdarzało nam się już wydawać książki i artykuły z jego nazwiskiem w tytule. Nie kryjemy, że darzymy go pewną sympatią. Trudno bowiem pisać o człowieku, którego się nie lubi, ale jeszcze trudniej czytać biografię napisaną przez autorów, którzy nie cenią i nie szanują swojego bohatera.

Sławomir Koper, Tymoteusz Pawłowski

Rozdział 1

Brzeżany

Problemy z metryką

Pochodzenie żadnego z polityków II Rzeczypospolitej nie stanowiło podobnej tajemnicy jak Edwarda Śmigłego-Rydza. Zainteresowanie podsycał zresztą sam marszałek, który konsekwentnie milczał na ten temat, a w jednym z wywiadów powiedział nawet, że człowieka powinny określać aktualne czyny, a nie pochodzenie.

Dlatego krążyły różne plotki; opowiadano, że „Śmigły" był nieślubnym dzieckiem zarządzającej majątkiem w Łapszynie (w pobliżu Brzeżan we wschodniej Małopolsce), inni utrzymywali, że wywodził się ze zubożałej szlachty galicyjskiej. Natomiast w latach 30. XX stulecia, gdy obóz rządowy poszukiwał porozumienia z działaczami ruchu ludowego, pojawiły się informacje o chłopskim pochodzeniu marszałka.

„Rydz jest pierwszym władcą Polski od Piasta i Lecha – twierdził Stanisław Cat-Mackiewicz – który nie pieczętuje się żadnym herbem. Pochodzenie jego jest dość mętne, według prawnych wersji ma on być synem żandarma czeskiego i Ukrainki, w każdym razie jest to dziecko ludu, które zawdzięczamy Brzeżanom"[1].

Cat-Mackiewicz nigdy nie ukrywał swojej niechęci do „Śmigłego", inna sprawa, że elity polityczne II RP wywodziły się z reguły ze szlachty lub inteligencji, zatem przyszły marszałek faktycznie stanowił pod tym względem wyjątek. Jednak opinia publicysty zawiera złośliwe przeinaczenia i chociaż nigdy nie udało się wyjaśnić wielu tajemnic związanych z pochodzeniem „Śmigłego", jednak jego polski rodowód nie ulega wątpliwości.

Tak naprawdę posiadamy właściwie tylko dwie pewne informacje. Matką przyszłego marszałka była Maria Babiak, córka listonosza (a później policjanta) z Brzeżan. Nie wzbudza też wątpliwości data urodzin: Edward

Rydz przyszedł na świat 11 marca 1886 roku, najprawdopodobniej w rodzinnym miasteczku swojej matki. Niestety, dalej zaczynają się już problemy z rekonstrukcją jego najmłodszych lat życia.

Zaskakująca jest bowiem data chrztu dziecka: Edward został przyjęty do wspólnoty katolickiej pod koniec lutego 1887 roku, zatem aż 11 miesięcy po swoim urodzeniu. Było to zupełnie niespotykane w tamtych czasach, gdy śmiertelność niemowląt była znaczna i chrztu dokonywano niemal natychmiast. Dlaczego zatem w przypadku małego Edwarda czekano tak długo?

Zdziwienie wzbudza też inna sprawa. Chłopiec został ochrzczony w obrządku rzymskokatolickim, podczas gdy rodzina matki była greckokatolicka. Wprawdzie z zasady dzieci z mieszanych religijnie związków chrzczono zgodnie z wyznaniem ojca, jednak w przypadku Edwarda raczej nie wchodzi to w rachubę. Przyszły marszałek był bowiem dzieckiem z nieprawego łoża i w dokumentach parafialnych zapisano wyłącznie nazwisko jego matki. Zapewne Maria Babiak nie chciała podać nazwiska ojca, a sprawca ciąży nie zamierzał zalegalizować potomka. Być może spór z nim spowodował opóźnienie chrztu, a Maria przez szacunek dla tradycji zorganizowała uroczystość w kościele, a nie w cerkwi. Niewykluczone także, że chrzest katolicki mógł mieć charakter demonstracji – w niewielkich Brzeżanach zapewne wiele osób mogło się domyślać, kto jest ojcem dziecka. Nie zmienia to jednak faktu, że ostatecznie nikt nie zalegalizował pochodzenia chłopca przed jego ochrzczeniem i mały Edward został zarejestrowany jako dziecko nieślubne.

Maria nie zamierzała jednak sprawy pozostawić i rozpoczęła poszukiwania kandydata, który zgodziłby się dać dziecku nazwisko. I takiego człowieka faktycznie niebawem znalazła, było to już jednak po chrzcie potomka. Być może nie dało się dłużej czekać z uroczystością – niewykluczone, że mały Edward chorował i chrzest był koniecznością.

Wybraniec jego matki nazywał się Tomasz Rydz, był synem kowala z Mogilan koło Wieliczki. Pełnił służbę zawodowego podoficera w armii austriackiej, w Brzeżanach stacjonowała jego macierzysta jednostka (4 Pułk Ułanów). Dwa lata po urodzeniu Edwarda poślubił Marię, małżeństwo zawarto w obrządku greckokatolickim. Zapewne właśnie to spowodowało późniejsze pogłoski o ukraińskim pochodzeniu przyszłego marszałka.

Nie wiemy, czy Tomasza Rydza i Marię Babiak łączyło bliższe uczucie, czy też ślub miał wyłącznie zalegalizować pochodzenie dziecka. Po latach

opowiadano, że oboje już kilka lat wcześniej wzajemnie darzyli się miłością, jednak wówczas małżeństwo uniemożliwiła im trudna sytuacja materialna. Dopiero awans Tomasza na plutonowego miał rozwiązać problemy i umożliwił mu poślubienie ukochanej. Oczywiście jest to historia całkowicie nieprawdopodobna, mająca wyłącznie potwierdzić, że Tomasz był biologicznym ojcem przyszłego marszałka. Gdyby bowiem chcieli się pobrać, uczyniliby to bez większych problemów, szczególnie że dziewczyna była w ciąży. Hipotezę tę potwierdza również fakt, że w czasach II Rzeczypospolitej przesuwano datę ślubu Marii i Tomasza na rok przed urodzeniem Edwarda, starając się zatuszować jego nieprawe pochodzenie. Dlatego, gdy w drugiej połowie lat 30. w Brzeżanach pojawił się kapitan Stanisław Librewski zbierający materiały do biografii „Śmigłego", spotkało się to z bardzo niechętną reakcją samego zainteresowanego. Na jego wyraźne polecenie badacz oddał marszałkowi jego metrykę urodzenia wydobytą z miejscowej parafii.

Tomasz Rydz dał dziecku nazwisko i właściwie na tym zakończyła się jego rola, gdyż niebawem po ślubie zmarł na gruźlicę w lwowskim szpitalu. Zapewne już wcześniej zdawał sobie sprawę ze stanu swojego zdrowia – i małżeństwo z Marią miało umożliwić jej legalizację potomka. Możliwe jest też inne wyjaśnienie jego decyzji, ale całą prawdę znali tylko sami zainteresowani. Natomiast danych prawdziwego ojca „Śmigłego" nigdy nie ustalono.

Młoda wdowa utrzymywała siebie i dziecko z symbolicznej renty, dorabiając sprzątaniem w domach miejscowej inteligencji. Była to praca ponad jej siły, nigdy zresztą nie cieszyła się dobrym zdrowiem. Niewiele przeżyła męża – także zapadła na gruźlicę i zmarła, gdy Edward miał 10 lat.

Utrzymanie chłopca spadło na jej rodziców, co dodatkowo potwierdza hipotezę, że Tomasz Rydz nie był biologicznym ojcem dziecka. Babiakowie byli bowiem dość ubogimi ludźmi i gdyby istniała taka możliwość, zapewne skorzystaliby z pomocy finansowej rodziny zięcia. Nic takiego jednak nie miało miejsca, a Edward w przyszłości nie utrzymywał żadnych kontaktów z Rydzami spod Wieliczki. Najwyraźniej nie uważał ich za swoich krewnych…

W rodzinie Uranowiczów

Maria Rydz zmarła w maju 1896 roku w wieku 29 lat. Na mocy postanowienia sądu Edward został oddany pod opiekę jej rodziców. Dziadek był już na emeryturze, ale dorabiał jako stróż w miejscowej rzeźni, rodzina zamieszkiwała w drewnianym budynku przy ulicy Izabelówka. Dziadkowie Edwarda nie byli specjalnie kochającym się małżeństwem, Jan Babiak często wyrażał obawy o los wnuka po swojej śmierci, uważając żonę za kobietę „pospolitą i złą".

Sam cieszył się w Brzeżanach bardzo dobrą opinią, wspominano go jako „człowieka poważnego i ogólnie cenionego". Gdy zmarł, chłopcem zajęła się babka. Wprawdzie „Śmigły" nigdy nie powiedział o niej złego słowa, jednak najwyraźniej pani Babiakowa nie sprawdzała się w tej roli.

„(…) mieszkał na końcu Izabelówki u swojej babki – wspominał przyjaciel z młodości, Edmund Uranowicz – której chata, waląca się, była tak zniszczona, że w nocy przez sufit, jak mówił, gwiazdy widywał, a do tego babka nieraz wymawiała mu kawałek chleba, a nieraz znowu była przy swoich zajęciach i o Niego całkiem się nie troszczyła, jak sam mówił, ale rzadko o tym wspominał i dopiero okrężną drogą przez ludzi dowiadywali się rodzice moi, że jest mu tam źle"[2].

Dumą Brzeżan było miejscowe gimnazjum, tam też w 1896 roku rozpoczął naukę Edward Rydz. Chociaż w przyszłości miał się okazać wzorowym uczniem, to jednak powtarzał pierwszą klasę. Możliwe, że wpłynął na to szok wywołany śmiercią matki.

Brak promocji okazał się jednak wybawieniem, gdyż jednym z najbliższych przyjaciół Edwarda został młodszy o rok Edmund Uranowicz – syn zamożnego lekarza. Chłopcy poznali się w szkole i szybko stali się nierozłączni.

„Rodzice nigdy nie brali mi korepetytora – relacjonował po latach Uranowicz – ale zawsze starali się, abym uczył się z kolegą, a ponieważ Generał podobał się moim rodzicom jako chłopak bardzo żywy, a ja byłem »Niemrawy«, jak to mnie nazywano, przeto z chwilą rozpoczęcia roku szkolnego na propozycję moich rodziców zaczął przychodzić do nas i uczyliśmy się razem, a wtedy już nawet jego dziadek nie żył…"[3].

Dzięki staraniom doktora Uranowicza chłopiec otrzymał od rady miejskiej niewielkie stypendium naukowe, co umożliwiło mu dysponowanie własnymi pieniędzmi. W miasteczku szeptano jednak, że Uranowiczowie tanim kosztem załatwili sobie korepetytora i opiekuna dla

syna. Jednak bez pomocy rodziców kolegi Rydz zapewne nie ukończyłby szkoły.

„Toteż gdy byliśmy w czwartej klasie gimnazjalnej – kontynuował Edmund Uranowicz – i zbliżała się zima, zaproponowali Mu rodzice, aby u nas nocował, i od tego czasu stale byliśmy ze sobą, a babkę swoją już tylko odwiedzał”[4].

Kontakt z Uranowiczami wywarł ogromny wpływ na całe życie przyszłego marszałka. Trafił do inteligenckiego domu, miał codzienny kontakt z ludźmi o ambicjach intelektualnych. Korzystał z ich księgozbioru, zaczął interesować się sztuką. Być może dlatego w ostatnich klasach gimnazjum całkowicie pochłonęła go nowa pasja. Odkrył bowiem w sobie talent plastyczny i niemal cały wolny czas spędzał na szkicowaniu.

„Odtąd czym więcej raz malował – opowiadał Uranowicz – gdzie co tylko mu się trafiło, czy widoki, czy martwą naturę, czy osoby, a ja częstym byłem jego modelem, bo umiałem Mu godzinami pozować”[5].

Malarstwo całkowicie zdominowało zainteresowania Edwarda. Przy dobrej pogodzie niemal zawsze można go było spotkać na groblach pomiędzy rozlewiskami przepływającej przez Brzeżany Złotej Lipy, gdzie malował lub rysował okoliczne pejzaże. Gdy aura uniemożliwiała pracę w plenerze, kreślił z upodobaniem sceny z powstania styczniowego lub martwe natury. Zainteresował się karykaturą, a udane próby przyniosły mu lokalny rozgłos.

„(…) Był bardzo sympatyczny – wspominał inny z jego szkolnych kolegów (…) – nie istniały u niego różnice ani wyznaniowe, ani narodowościowe. W gimnazjum wybijał się jako dobry rysownik i malarz – pamiętam, że w czasie lekcji szkicował czasem fizjonomie kolegów i podawał na karteczce zainteresowanym”[6].

Talent Edwarda był oczywisty i Uranowiczowie zastanawiali się nad wysłaniem go na studia do Krakowa. Pomysł popierała inna protektorka Rydza z Brzeżan – Michalina Widmanowa. 50-letnia ekscentryczka, wdowa po lwowskim lekarzu, zaproponowała mu nawet pomoc finansową na czas studiów. Wiadomo też, że przyszły marszałek przez pewien czas u niej mieszkał.

W 1905 roku Edward zdał w Brzeżanach maturę z odznaczeniem. Pomoc miejscowych opiekunów umożliwiła Rydzowi spełnienie największego marzenia – podjął studia malarskie na krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych.

Paleta i konspiracja

Brzeżany leżą w jednej trzeciej odległości z Lwowa do Kamieńca Podolskiego, miasteczko rozłożyło się na zboczach pagórków tworzących malowniczą kotlinę, przez którą przepływa Złota Lipa – prawy dopływ Dniestru. Do 1720 roku Brzeżany należały do niezwykle zamożnej rodziny Sieniawskich, następnie przechodziły w posiadanie Czartoryskich, Lubomirskich i Potockich. W latach młodości Edwarda Rydza było to miasto powiatowe liczące niewiele ponad 10 tysięcy mieszkańców, zasiedlone przez Polaków, Ukraińców, Żydów i Ormian. Obok siebie zgodnie wznosiły się kościoły, cerkwie oraz synagogi – i zapewne to zadecydowało o tolerancyjności przyszłego marszałka. Sprawy narodowościowe czy religijne nigdy nie miały dla niego większego znaczenia, a jest to niezwykle ważna cecha dla wojskowego i polityka.

Duży wpływ na światopogląd Edwarda Rydza wywarło jego kilku kolegów z gimnazjum, z którymi zaprzyjaźnił się w ostatnich latach nauki. W klasie przyszłego marszałka pojawili się: Stanisław Borzykowski, Mieczysław Lewandowski, Tadeusz Sokulski, Bolesław Czapelski i Jan Krupp, którzy nie dostali promocji z powodu „prowadzenia wojny z profesorami". Zapewne oznaczało to, że nie zgadzali się ze szkolnym rygorem i mieli własne spojrzenie na świat. Dzięki znajomości z nimi Rydz i Uranowicz zaczęli brać udział w „tajnych zgromadzeniach studentów" organizowanych w domach nowych przyjaciół. Rozmawiano o literaturze beletrystycznej i historycznej, ale także o bieżącej polityce i nie tylko w lokalnym wymiarze. Dbali o to rodzice kolegów Rydza, którzy „młodzieży dostarczali jak najwięcej książek i uświadamiali ją w każdym kierunku, a przede wszystkim w tych kierunkach, jakich gimnazjum nie dawało"[7].

„Na zgromadzeniach tych – wspominał Uranowicz – odbywały się czytania i omawianie różnych spraw, a nieraz nawet przyjezdni referenci występowali z wykładami, a nieraz zreferowanie jakiejś książki czy sprawy poruczano jednemu ze studentów"[8].

Pomoc finansowa Uranowiczów czy Widmanowej zapewne nie wystarczyłaby Rydzowi do podjęcia studiów w Krakowie, na szczęście jako dobrze zapowiadający się plastyk dostał jeszcze stypendium od władz miejskich Brzeżan. Dzięki temu mógł wyjechać pod Wawel i w pełni oddać się ukochanej dziedzinie sztuki. Dodatkowo miał jeszcze szczęście do

pedagogów – na pierwszym roku studiował pod kierunkiem Leona Wyczółkowskiego, na drugim u Teodora Axentowicza. W 1907 roku, zgodnie z panującymi obyczajami, odbył też kilkumiesięczną podróż na zachód Europy, by zapoznać się z aktualnymi trendami artystycznymi. Jak po latach przyznawał, większość czasu w Monachium, Norymberdze i Wiedniu spędził w galeriach, studiując miejscowe zbiory malarskie. Odszedł od bezkrytycznego uwielbienia dla Cézanne'a na rzecz naturalizmu. W jego własnych pracach dominowała tematyka polska, najchętniej malował sceny z powstania styczniowego oraz pejzaże z Kresów.

Podczas studiów w Krakowie po raz pierwszy zetknął się z bojownikami PPS-u skupionymi wokół Józefa Piłsudskiego. Znalazł się w kręgu ludzi doświadczonych w działalności niepodległościowej, owianych patriotyczną legendą. Niebawem wstąpił do świeżo powstałego Związku Walki Czynnej i jako mieszkaniec Brzeżan został współorganizatorem miejscowego oddziału organizacji. Przyjął również pseudonim, pod którym przeszedł do historii („Śmigły").

W 1910 roku przerwał studia, by odbyć obowiązkową roczną służbę wojskową w armii monarchii Habsburgów. Student ASP niespodziewanie okazał się doskonałym żołnierzem. Dostał nawet propozycję podjęcia kariery zawodowego wojskowego, z czego jednak nie skorzystał. Ostatecznie służbę zakończył z wyróżnieniem, otrzymując stopień chorążego (według innej wersji sierżanta podchorążego).

Pobyt w armii i działalność konspiracyjna wywarły na nim tak wielkie wrażenie, że przerwał studia na ASP i przeniósł się na Wydział Filozoficzny Uniwersytetu Jagiellońskiego. Podobno w ten sposób chciał się wyzbyć „artystycznej miękkości", przeszkadzającej mu w karierze militarnej. Sztuka jednak zwyciężyła i po roku powrócił na akademię, kończąc uczelnię w klasie Józefa Pankiewicza.

W tym czasie otrzymał pierwsze poważniejsze zamówienie. Dzięki protekcji Michaliny Widmanowej zlecono mu namalowanie obrazu Matki Boskiej Niepokalanego Poczęcia na frontonie kościoła ormiańskiego w Brzeżanach. Rydz wywiązał się z zamówienia, ale efekty jego pracy zszokowały władze kościelne. Zleceniodawcy oczekiwali bowiem konwencjonalnego malowidła, a w zamian otrzymali obraz młodej, rudowłosej dziewczyny, budzący zgoła niereligijne skojarzenia. Ale skoro

modelką była jego ówczesna sympatia, siostra szkolnego kolegi, Wanda Wiechmanówna, trudno się dziwić…

Kościelni notable nie okazali jednak zrozumienia dla wizji młodego artysty. Obraz został zamalowany, a dwa lata później lwowski malarz Leonard Winterowski przygotował nową postać Matki Boskiej, utrzymaną w tradycyjnym stylu, zgodny z oczekiwaniami władz i wiernych.

Rok później doszło w Brzeżanach do intrygującego wydarzenia. Podczas Wielkanocy Rydz odwiedził rodzinę kolegi, Stanisława Borzykowskiego. Wśród zaproszonych gości znalazła się również Michalina Widmanowa, która w pewnej chwili, nie zwracając uwagi na otoczenie, wpadła w trans i zaczęła wieszczyć. Powszechnie uważano, że posiada dar jasnowidzenia, ale tym razem jej wizja zaskoczyła obecnych. Widmanowa przepowiedziała bowiem krwawą wojnę światową, a następnie odrodzenie wojska polskiego. Natomiast na czele armii narodowej widziała wielkiego generała i dowódcę – Edwarda Rydza.

Goście uznali wybryk damy za atak histerii i nietakt, a samą przepowiednię za nieprawdopodobną. Największe zdziwienie budziła osoba „Śmigłego” – Edward zapowiadał się bowiem raczej na plastyka, a nie zwycięskiego wodza.

Zapowiedź wojny nie była jednak nowością. Dobiegała końca belle époque, a wraz z nią system ustalony na kongresie wiedeńskim. W październiku 1908 roku Austro-Węgry ogłosiły inkorporację Bośni i Hercegowiny, w odpowiedzi Serbia popierana przez Rosję zarządziła mobilizację. Politycy z Wiednia otrzymali poparcie Niemiec i Rosja się wycofała, ale przez chwilę Europa stała na krawędzi konfliktu. Niebawem miało dojść do dwóch wojen bałkańskich, rozpadał się dotychczasowy ład europejski. Zbliżała się konfrontacja na nieznaną dotychczas skalę – wojna pomiędzy zaborcami, o jaką od pokoleń modlili się Polacy.

Do wojny przygotowywali się także politycy sympatyzujący ze Związkiem Walki Czynnej. Na bazie obowiązującej na terenie monarchii Habsburgów ustawy o związkach strzeleckich powołali w 1910 roku legalne organizacje paramilitarne. Oficjalnie były to grupy niezależne od siebie, noszące zresztą różne nazwy (Związek Strzelecki we Lwowie, Strzelec w Krakowie).

Właśnie w ruchu strzeleckim odnalazł się Rydz. Artystyczny talent nie przeszkadzał mu w wykazaniu się dużymi zdolnościami organizacyjnymi.

Małomówny i opanowany, przedkładał konkretne działania ponad akademickie dyskusje. A takich ludzi wyjątkowo cenił Piłsudski.

Edward zrobił błyskawiczną karierę. Początkowo był komendantem Związku Strzeleckiego w Brzeżanach, następnie komendantem kursu strzeleckiego w Krakowie, by tuż przed wybuchem wojny objąć funkcję komendanta Związku Strzeleckiego we Lwowie. Ukończył niższy i wyższy kurs oficerski (z bardzo dobrymi wynikami), otrzymując z rąk Piłsudskiego specjalną odznakę (tzw. Parasol). Warto przypomnieć nazwiska innych słuchaczy uhonorowanych odznaką razem z „obywatelem Śmigłym". Byli to m.in.: Kazimierz Sosnkowski, Konstanty Biernacki, Marian Kukiel, Aleksander Prystor, Julian Stachiewicz, Michał Tokarzewski, Kordian Zamorski.

Chociaż całą energię Edward poświęcał na działalność w organizacjach strzeleckich, znalazł jednak czas, by wraz z Henrykiem Minkiewiczem zilustrować pracę Piłsudskiego „22 stycznia 1863 roku". Zresztą malarze w ruchu strzeleckim i Legionach nie byli rzadkością. W 1917 roku naliczono aż 34 artystów w randze oficera, a przez Legiony przewinęła się ich ponad setka.

Edward Rydz, ok. 1900 roku

reprodukcja Piotr Męcik/Forum

Brzeżany w czasach II Rzeczypospolitej

foto Narodowe Archiwum Cyfrowe

Rozdział 2

Na frontach wielkiej wojny

Pierwsza Kadrowa

28 czerwca 1914 roku serbscy zamachowcy zastrzelili w Sarajewie austriackiego następcę tronu. Miesiąc później Austria zaatakowała Serbię, Rosja wypowiedziała wojnę Austrii, Niemcy Rosji, w obronie której stanęła Francja. Gdy wojska kajzera, atakując Francję, pogwałciły neutralność Belgii, do konfliktu przyłączyła się Anglia. W ciągu kilku dni Europę opanowała wojenna pożoga.

Wybuch konfliktu wywołał nieprawdopodobną eksplozję nastrojów patriotycznych w Galicji. Starcie zaborców przynosiło nadzieję na niepodległość, na zmianę sytuacji narodu rozdartego przez trzy cesarstwa. Była to wojna, o jaką od ponad stulecia modlili się Polacy – po raz pierwszy od chwili utraty niepodległości przez Polskę zaborcy stanęli bowiem w przeciwnych obozach.

„Miasto – wspominał atmosferę w Krakowie Ignacy Daszyński – trzęsło się w radosnej febrze. Przypominały się słowa Mickiewicza cudownego zachwytu o wiośnie roku 1812… Chodziłem przez tych kilka dni w jakimś zaczarowanym szczęściu duszy, z wiarą w sercu, że to, o czym marzyliśmy życie całe, teraz spełnić się gotowe”[1].

2 sierpnia Piłsudski otrzymał zgodę austriackiego wywiadu na mobilizację oddziałów strzeleckich. Następnego dnia rosyjską granicę przekroczył siedmioosobowy patrol kawaleryjski Beliny-Prażmowskiego. Patrol wyruszył na rekonesans bryczkami (!), z wyposażenia kawaleryjskiego posiadając wyłącznie siodła. Piłsudski nie tracił jednak humoru i pożegnał wyruszających beliniaków uwagą, że „chociaż zapewne będą wisieć, to spełnią swój żołnierski obowiązek, a historia o nich nie zapomni”. Jak miało się okazać, nie zakończyli życia na szubienicy, a historia też o nich nie zapomniała.

Gdy Belina przekraczał granicę rosyjską, w krakowskich Oleandrach sformowano liczącą 144 osoby kompanię kadrową. Do wybrańców przemówił Piłsudski:

„Odtąd nie ma już strzelców ani drużyniaków. Wszyscy, co tu jesteście zebrani, jesteście żołnierzami polskimi. Znoszę wszelkie odznaki specjalnych grup. Jedynym waszym znakiem jest odtąd Orzeł Biały. (…) Żołnierze! Spotkał was ten zaszczyt niezmierny, że pierwsi pójdziecie do Królestwa i przestąpicie granice rosyjskiego zaboru jako czołowa kolumna wojska polskiego idącego walczyć za oswobodzenie ojczyzny. Wszyscy jesteście równi wobec ofiar, jakie ponieść macie. Wszyscy jesteście żołnierzami. Nie naznaczam szarż, każę tylko doświadczeńszym z was pełnić funkcje dowódców. Szarże zyskacie w bitwach. Każdy z was może zostać oficerem. (…) patrzę na was jako na kadry, z których rozwinąć się ma przyszła armia polska, i pozdrawiam was jako pierwszą kadrową kompanię”[2].

Piłsudski oczekiwał, że Rosjanie wycofają się na prawy brzeg Wisły, a wkroczenie polskich oddziałów na teren Królestwa Kongresowego spotka się z masowym napływem ochotników. Komendant spodziewał się nawet wybuchu antyrosyjskiego powstania, co umożliwiłoby opanowanie Warszawy przed wkroczeniem Niemców. Zajęcie stolicy stworzyłoby zupełnie nową sytuację polityczną, zmuszając rządy państw centralnych do podjęcia konkretnych działań w celu rozwiązania sprawy polskiej. Insurekcję miała przyspieszyć fikcyjna odezwa Rządu Narodowego powstałego rzekomo 3 sierpnia w Warszawie. Odezwa nawoływała do rozprawy z Rosją, nie wspominając oczywiście o sojusznikach, u boku których walka z caratem musiałaby się odbywać.

Ambitne plany Piłsudskiego załamały się jednak w ciągu kilku dni. 6 sierpnia z Oleandrów wyruszyła Pierwsza Kompania Kadrowa i na terenie Królestwa spotkała się z niechęcią mieszkańców. Nie wybuchło żadne powstanie, nie zgłaszali się ochotnicy, poborowi posłusznie wypełniali polecenia Rosjan.

„Mobilizacja rosyjska powiodła się – narzekał Piłsudski – jeszcze teraz, z terenów przez które przechodziliśmy, uciekają ludzie do swoich, do rosyjskiego wojska. Wielkie dwory są bezwzględnie wrogie; po wsiach panuje strach zabobonny i ślepe przywiązanie do istniejącego dotąd panowania i bata. Przed kilku dniami wchodziliśmy do jednej z podkieleckich wsi. Pustka na ulicy; okna i drzwi zabite deskami; ani

jednego człowieka, ani bydlęcia czy kury; po prostu cała wieś na pierwszą pogłoskę o naszym przyjściu zamknęła się i padła przed nami jak martwa”[3].

Oddziały kadrowe pozostały jednostkami kadrowymi – napływ ochotników był znikomy. Nie powiódł się również szybki marsz na Warszawę – Rosjanie przygotowali kontruderzenie na linii Lwów-Kraków i nie odsłonili prawej flanki. Strzelcy dotarli zaledwie do Kielc, ale i stamtąd zostali wyparci.

Podpułkownik „Śmigły”

W tym czasie Edward Rydz jako poddany austriacki służył w cesarsko-królewskim 55 Pułku Piechoty w Brzeżanach. Wyreklamowanie go od tego obowiązku (czyli skierowanie do innych zadań) zajęło Piłsudskiemu dwa tygodnie, które „Śmigły” spędził w swoim pułku, daleko od Kadrówki i jej działań. Dołączył dopiero w połowie sierpnia, gdy oczywiste było, że nie uda się wywołać masowego powstania. Był też świadkiem frustracji swojego szefa, który zrozumiał, że budowane latami plany całkowicie się nie powiodły.

Austriacy byli zawiedzeni: oddziały Piłsudskiego nie miały większego znaczenia militarnego, stwarzając w zamian problemy polityczne. Działalność strzelców miała sens wyłącznie w przypadku masowego napływu ochotników lub antyrosyjskiego powstania za linią frontu. Jednak do takiej sytuacji nie doszło, wobec czego zdecydowano się na zakończenie całego przedsięwzięcia. Piłsudskiemu nakazano rozwiązanie formacji strzeleckich, ewentualnie zaproponowano poddanie się bezpośrednio pod rozkazy austriackie, a jego ludzi zobowiązano do złożenia przysięgi przewidzianej dla rezerwistów monarchii.

Sytuację uratowali politycy galicyjscy – powołano Naczelny Komitet Narodowy, a naciski w Wiedniu okazały się skuteczne. Austriacy zaaprobowali projekt utworzenia dwóch Legionów Polskich, a Piłsudskiego wyznaczono na dowódcę 1 Pułku Legionu Zachodniego. Komendant był realistą, chwilowo liczył się wyłącznie fakt, że jego strzelcy nie rozpłynęli się w tłumie austriackich rezerwistów i nadal pozostają pod jego komendą.

1 Pułk Legionów liczył pięć batalionów, a dowódcą trzeciego został „Śmigły”, awansowany pod koniec września do stopnia kapitana. Trzeba przyznać, że na polu walki zachowywał się znakomicie, szybko wyrastając na jednego z najlepszych oficerów liniowych pułku. Szczególne uznanie

przyniosła mu bitwa pod Anielinem, co oczywiście dostrzegł Piłsudski. Gdy dowodzona przez Komendanta formacja została rozwinięta w brygadę, „Śmigłego” mianowano dowódcą 1 pułku.

Tymczasem na froncie sytuacja zmieniała się jak w kalejdoskopie – wprawdzie udało się pohamować rosyjską ofensywę, jednak kolejny atak Moskali mógł doprowadzić do upadku Krakowa. Legioniści zostali rzuceni na front pod Łowczówek, niedaleko Tarnowa. Brygadą dowodził wówczas Kazimierz Sosnkowski, a pułk „Śmigłego” rozbił jeden z rosyjskich pułków z marszu w walce wręcz! Przez cztery kolejne dni brygada utrzymywała swoje pozycje, odpierając 16 szturmów rosyjskich i biorąc do niewoli ponad 600 jeńców. Po ustabilizowaniu frontu została wycofana na trwający do marca wypoczynek.

Na początku maja 1915 roku Niemcy i Austriacy odnieśli zwycięstwo nad Rosjanami pod Gorlicami, front został przełamany, a Pierwsza Brygada ruszyła przez Lubelszczyznę na Polesie. Na przełomie lipca i sierpnia stoczyła bitwę pod Jastkowem – było to pierwsze starcie zbrojne od ponad półwiecza, w którym Polacy walczyli jako samodzielny związek taktyczny. W tym czasie Rosjanie opuścili Warszawę, co całkowicie zmieniało sytuację polityczną Polaków. Doskonale zdawali sobie z tego sprawę także Piłsudski i podlegli mu oficerowie.

Tymczasem jednak Brygada została skierowana na Wołyń, gdzie front się ustabilizował. Zanim jednak zamarł na dłużej, stoczono szereg walk „o wyprostowanie jego linii”. „Śmigły” – w międzyczasie mianowany podpułkownikiem – ponownie sprawdził się znakomicie. Brygadę wówczas rozdzielono, Edward miał pod sobą dwa pułki piechoty i artylerię, było to jego pierwsze samodzielne dowództwo. Rosjanie zostali wyparci za rzekę Styr, a „Śmigły” na początku listopada przekazał dowodzenie Kazimierzowi Sosnkowskiemu. Front zamarł dopiero w grudniu 1915 roku.

Legiony z bliska

Pierwsza Brygada stanowiła ewenement na skalę Europy – formalnie była częścią armii austriackiej, faktycznie zaś Wojskiem Polskim. Żołnierze nie nosili na czapkach austriackich kokard, tylko polskie orły, nie używano cesarsko-królewskich dystynkcji, lecz polskie. Salutowano też dwoma palcami zamiast całą dłonią, a zwyczaj ten pozostał w polskiej armii do dzisiaj. Odmienna była też hierarchia, zwracano się do siebie per

„obywatelu”, a nie „wy” (do żołnierzy) czy „panie” (do oficerów). O obsadzie stanowisk dowódczych decydował Piłsudski, a nie generalicja z Wiednia, a wszyscy oficerowie, niezależnie od stopnia, dostawali po 100 koron żołdu (około 700 euro). Wszystko to miało na celu podkreślenie demokratycznego i polskiego charakteru Legionów.

Ciekawa historia wiąże się też z nakryciem głowy używanym przez Pierwszą Brygadę. Chodzi o słynną maciejówkę, która – pomimo swojskiej nazwy – miała niemieckie pochodzenie. Typowo polskim nakryciem głowy była bowiem rogatywka, wprawdzie dzisiaj jednoznacznie kojarząca się z Polską, lecz wówczas dość popularna w Europie, także w armii austriackiej. Chcąc się odróżniać od Austriaków, żołnierze Pierwszej Brygady nosili więc maciejówki. Ponadto był to także dowód na demokratyczny charakter Legionów, gdyż tego rodzaju czapki cieszyły się popularnością wśród chłopów.

Oficerowie Pierwszej Brygady żyli w podobnych warunkach jak ich podkomendni. Poza normalną zależnością służbową w wolnych chwilach trudno było odróżnić oficera od podwładnego. Dotyczyło to również dowódców pułków i samego Piłsudskiego.

„Widzieliśmy Komendanta – wspominał jeden z oficerów – jak w swej małej ziemiance w lasku naszym żył tym samym życiem co każdy z nas żołnierzy. Ta sama czarna, niesłodzona kawa i marne wówczas jedzenie, no i… te same wszy w swetrach, mundurach, z którymi Komendant walczył jak każdy z nas. Podpatrzyłem to kiedyś na własne oczy”[4].

W okolicach Wołczeska na Wołyniu powstało miasteczko drewnianych baraków i ziemianek (nazwane Legionowo), gdzie przezimowano. Wolny czas wypełniały zajęcia integracyjne i rywalizacja sportowa. Szczególną wagę Piłsudski przykładał do wzajemnych kontaktów kadry oficerskiej. Zgodził się nawet na rozluźnienie dyscypliny – chociaż sam nie znosił alkoholu, pozwalał na wesołe zabawy u swojego boku.

Po latach wspominał, jak pewnego dnia oficerowie (na znacznym rauszu) wypisali jego adiutantowi, Bolesławowi Wieniawie-Długoszowskiemu wszystkie niecenzuralne wyrazy, jakie przyszły im do głowy. Nazajutrz Wieniawa przedstawił tekst piosenki – nie brakowało żadnego określenia, a wszystkie zwrotki miały logikę i sens. Pieśń *Szedł raz ułan na wypoczynek* natychmiast zyskała ogromną popularność. Jej autor wspominał, jak podczas inspekcji widział żołnierzy dyktujących jej tekst przez telefon. Natomiast „w kącie izby klęczał kapelan legionowy ks.

Żytkiewicz i nie tylko zasłaniał oczy rękoma, ale również zatykał uszy palcami, żeby nawet echo z tej (…) piosenki do nich nie doleciało”. W wersji mocno ocenzurowanej utwór zaczynał się od słów:

Raz ułan szedł na odpoczynek,
bo tęsknił bardzo do dziewczynek
i ryczał niby ranny lew
– i czuł ich całą drogę brak.
Psiakrew! Psiakrew! Psiakrew!
Niech trafi szlag! Niech trafi szlag!

Podobne uznanie zyskała przyśpiewka starej niani opowiadająca o tym, co można, a czego nie można robić bez miłości.

Odpoczynek służył legionistom, ważniejsze były jednak działania polityczne Piłsudskiego i jego otoczenia. Po raz pierwszy, właśnie na Wołyniu, skupiono w jednym miejscu wszystkie formacje legionowe składające się wówczas z trzech brygad. Najstarsza z nich i najważniejsza, oznaczona numerem pierwszym, stanowiła polityczne zaplecze Józefa Piłsudskiego. Nieco później powstała II Brygada, walcząca do tej pory w węgierskich Karpatach – była dużo mniej rozpolitykowana, a Austriacy starali się ją wykorzystać do osłabienia pozycji Komendanta. Na Wołyniu pojawiła się także najmłodsza, III Brygada, zorganizowana z młodzieży Królestwa Polskiego.

Polonizacja II Brygady nie była łatwym zadaniem. Jej oficerowie wywodzili się z armii austriackiej, nie brakowało wśród nich osobistych przeciwników Piłsudskiego, a walki toczone w Karpatach stworzyły jej odrębną i silną tradycję.

Z kolei w III Brygadzie nie sprzeciwiano się zmianom – jej żołnierze pochodzili z Królestwa Polskiego, a oficerowie wywodzili się ze współpracowników Piłsudskiego. Szlak bojowy II Brygady był stosunkowo krótki, walki toczono często u boku Pierwszej Brygady.

Na wyższym szczeblu również pojawiły się problemy. Formalnym organizatorem Legionów Polskich był Naczelny Komitet Narodowy, grupujący polskich polityków działających w parlamencie austriackim. Uważali oni, że silne, karne i jak najliczniejsze Legiony zwiększą znaczenie polskich parlamentarzystów w Wiedniu i pozytywnie wpłyną na wysiłek wojenny Austrii. Prestiż Piłsudskiego uważano więc za konkurencję. Nad rekrutacją czuwał lojalny wobec NKN pułkownik Władysław Sikorski, miał

on osobiste ambicje polityczne i pozostawał w konflikcie z Piłsudskim i jego oficerami. Natomiast Komendant uważał, że Legiony udowodniły już swoje znaczenie i nie ma sensu zwiększać ich liczebności, bowiem kolejni żołnierze będą tylko austriackim mięsem armatnim.

Niechęć do Sikorskiego wśród oficerów Pierwszej Brygady była powszechna, a nieoceniony Wieniawa miał okazję dać temu wyraz. Sikorski unikał bowiem służby na froncie, zajmując się wojną zza biurka – już samo to było wystarczającym powodem do jego krytyki. Natomiast sprzeciwianie się woli Piłsudskiego w sprawie rekrutacji do Legionów przez oficerów Pierwszej Brygady zakrawało wręcz na świętokradztwo! Nic zatem dziwnego, że ogromną popularnością cieszyły się piosenki Wieniawy (*Za biurkiem w Piotrkowie, Pan pułkownik idzie na front*):

Bom piękny jak posąg w parku,
głowę mam na giętkim karku,
no a plecy aż w Cieszynie
– taki na wojnie nie zginie.

Wprawdzie szczęście mam duże,
lecz nie we wszystkim są szanse,
że wydajniej gdzieś służę,
świadczą moje awanse.

Iść do szturmu to rzecz bydła,
trudniej w… kieszeń leźć bez mydła
– nie byłoby całej chwały,
gdyby nie me memoriały.
Zresztą noszę srebrny kołnierz
i bądź co bądź jestem żołnierz,
wiem, jak ludzie w polu giną
– raz widziałem to gdzieś w kino.

Sikorski miał tego nigdy nie zapomnieć. Nie tylko Wieniawie, lecz także reszcie oficerów Piłsudskiego, w tym „Śmigłemu”.

Tymczasem zamieszanie wokół Legionów nie ustawało. Pod względem wojskowym podlegały one Naczelnej Komendzie Armii (Armeeoberkommando), która prowadziła własną politykę – czasami popierała Piłsudskiego, by osłabić polityków spod znaku NKN, a czasami dążyła do marginalizacji roli Komendanta. Na to wszystko nakładała się jeszcze rywalizacja Austriaków z Niemcami, gdyż to właśnie wojska

niemieckie zajęły Warszawę i politycy z Berlina zaczęli się uważać za jedynych uprawnionych do podejmowania decyzji w sprawie Polski i Polaków.

Na początku lutego 1916 roku w gronie dowódców pułków III Brygady pojawił się pomysł, by zwołać Radę Pułkowników, czyli najstarszych polskich oficerów legionowych. Pierwsze spotkanie odbyło się w połowie miesiąca, a kolejne dwa w następnych tygodniach. Uzgodniono wówczas ujednolicenie umundurowania i oznak, a większość z nich została zaprojektowana przez malarza z zawodu – podpułkownika Edwarda Śmigłego-Rydza. Uczciwie trzeba jednak przyznać, że ujednolicenie umundurowania miało niewielki zakres i ograniczyło się do nakryć głowy, guzików oraz dystynkcji. Było to spowodowane względami finansowymi, ale w miarę możliwości podkreślało polskość Legionów oraz ich odrębność od armii austriackiej.

Nie wszystkim to się jednak podobało – ówczesny komendant Legionów, generał Stanisław Puchalski, lojalny oficer Habsburgów, stwierdził, że w III Brygadzie nie wolno nosić oznak takich jak w Pierwszej Brygadzie, i nakazał powrót do poprzednich. Rozkazu nie wykonano, wobec czego niektórzy oficerowie zostali aresztowani. W tej sytuacji Rada Pułkowników zaleciła wszystkim legionistom założenie oznak Pierwszej Brygady. Puchalski powtórzył swój rozkaz o powrocie do starych oznaczeń. Nie zdążono go jednak wykonać, gdyż na nowo wybuchły walki na froncie. W lipcu 1916 roku do wielkiej ofensywy przeszli Rosjanie, pod ich uderzeniem rozsypały się niemal wszystkie związki armii cesarsko-królewskiej. Z wyjątkiem Legionów Polskich.

Krwawe walki – nazywane bitwą pod Kostiuchnówką – przeszły do legendy. Wzięły w niej udział I oraz III Brygada dowodzone przez Józefa Piłsudskiego, natomiast II Brygada pozostawała w odwodzie austriackim. Gdy wycofali się Węgrzy stojący na polskim skrzydle, legionistom przyszło walczyć z siłami trzykrotnie liczniejszymi. Pomimo krwawych strat wytrwali na pozycjach, dzięki czemu uratowali ciągłość frontu. Przy okazji warto też dodać, że podczas odwrotu spod Kostiuchnówki nieomal utopił się w bagnie młody podporucznik Pierwszej Brygady, Stefan Rowecki, późniejszy „Grot”.

Walki pod Kostiuchnówką stanowiły część ofensywy Brusiłowa, która przyniosła olbrzymie straty zarówno Rosji, jak i Austrii. Miała także niezwykle istotne znaczenie dla Polaków, gdyż oba państwa były tak

wyczerpane wojną, że o losie Polski decydowali już tylko Niemcy. Szczególnie że ich generałowie zwrócili uwagę na polskich żołnierzy i ich męstwo wykazane na Wołyniu.

Jesienią 1916 roku na polecenie cesarza Franciszka Józefa przeformowano Legiony w Polski Korpus Posiłkowy, którego pułki miały nosić sztandary z wizerunkiem Matki Bożej i Orła Białego. Jednocześnie jednak dymisję otrzymał Józef Piłsudski uznany za zbyt niezależnego oficera. Dowódcą Pierwszej Brygady – i zwierzchnikiem Edwarda Śmigłego-Rydza – został Marian Żegota-Januszajtis, pułkownik z II Brygady. Legiony zostały wycofane z frontu i rozlokowane na zapleczu. Było to związane z wydanym przez władców Niemiec i Austrii aktem 5 listopada, zapowiadającym odbudowę Królestwa Polskiego. Od grudnia 1916 roku pułk „Śmigłego” – wraz ze swoim dowódcą – stacjonował w Łomży. Następne miesiące miały przynieść jeszcze większe zmiany.

Kryzys przysięgowy

Polityka Piłsudskiego, polegająca na podkreślaniu wartości polskiego żołnierza przy jednoczesnym ograniczaniu jego liczebności na froncie, zaczęła przynosić rezultaty. Niemcy i Austriacy potrzebowali typowego mięsa armatniego, zatem musieli zrobić coś ze sprawą polską. Politycy z Wiednia i Berlina doszli do słusznego wniosku, że nie stworzą bitnej armii bez odbudowania państwa polskiego. Dlatego 5 listopada 1916 roku wspomnianym aktem dwóch cesarzy ogłoszono powstanie niezależnego Królestwa Polskiego.

Nie było to jednak możliwe bez Piłsudskiego i jego autorytetu, zatem naprawiono błąd, powołując Piłsudskiego do Tymczasowej Rady Stanu – powstałej w styczniu 1917 roku namiastki polskiego parlamentu. Zresztą Komendant pojawił się w stolicy już kilka tygodni wcześniej – zgotowano mu entuzjastyczne przyjęcie, młodzież wyprzęgła nawet konie z powozu, zaciągając własnoręcznie pojazd do hotelu.

W Tymczasowej Radzie Stanu Piłsudski kierował pracami Komisji Wojskowej. Władze niemieckie nie miały jednak do niego zaufania, podejrzewając (całkiem zresztą słusznie), że jego celem jest budowa niezależnych sił zbrojnych. Trwały jałowe dyskusje, Piłsudski kluczył, grał na zwłokę. I – jak zwykle – nie zawiodło go przeczucie: w marcu nadeszły informacje o wybuchu rewolucji w Rosji i detronizacji Romanowów.

Państwo carów przestało się liczyć jako zaborca, niemal z dnia na dzień głównymi przeciwnikami niepodległości Polski pozostały tylko Niemcy i Austria. Konieczny był jednak pretekst do zerwania współpracy – Komendant nie mógł dopuścić, by jego podwładni ruszyli na front zachodni. Tym bardziej że nad Sekwaną powstawały polskie jednostki (Błękitna Armia), a sprawa polska cieszyła się coraz większym zainteresowaniem.

Pretekst znalazł się latem 1917 roku. Oddziały polskie zostały przekształcone w Polską Siłę Zbrojną (tzw. Polische Wehrmacht), co wiązało się ze złożeniem nowej przysięgi. Na polecenie Piłsudskiego I i III Brygada odmówiły ślubowania pod pozorem, że rota przysięgi wiąże ich z sojusznikami a nie z przyszłym państwem polskim. Opornych legionistów osadzono w obozach internowania w Szczypiornie i Beniaminowie (poddanych rosyjskich), natomiast obywateli austriackich wcielono przemocą do armii podwójnej monarchii. II Brygadę, która pozostała lojalna wobec zwierzchników, wysłano w Karpaty, by walczyła z Rosjanami.

Piłsudski potrzebował jeszcze ofiary z własnej osoby, najlepiej aresztowania przez okupantów. Uniknąłby wówczas konieczności podejmowania decyzji, a legenda uwięzionego patrioty i ofiary prześladowań wzmogłaby osobistą popularność. Komendant doskonale pamiętał, że męczeństwo Napoleona na Wyspie Świętej Heleny przysporzyło Bonapartemu więcej zwolenników niż wszystkie wygrane bitwy cesarza razem wzięte. Piłsudski nie wierzył jednak do końca, że Niemcy będą aż tak krótkowzroczni.

Okazało się jednak, że byli. Piłsudskiego aresztowano (wraz z Sosnkowskim) w nocy z 21 na 22 lipca 1917 roku. Brygadiera internowano w twierdzy w Magdeburgu, a Sosnkowskiego początkowo osadzono w więzieniu w Spandau. Piłsudski zrealizował swój plan, natomiast okupanci powołali do życia Radę Regencyjną – substytut władzy zwierzchniej dla Królestwa Polskiego. Niebawem Rada stworzyła pierwszy polski rząd, chociaż jego uprawnienia zostały ograniczone właściwie tylko do sądownictwa i szkolnictwa.

Na czele POW

Niemcy aresztowali nie tylko Piłsudskiego i Sosnkowskiego, represje objęły także ich zwolenników i współpracowników. Zatrzymano łącznie kilkaset osób, w tym najbliższych Piłsudskiemu: Bolesława Wieniawę-Długoszowskiego i Walerego Sławka. Pierwszy z nich został zdegradowany i wcielony do armii austriackiej, gdzie otrzymał przydział zgodny ze swoim zawodem – został lekarzem pospolitego ruszenia w Nowym Sączu. Niebawem przeniesiono go do Cieszyna, gdzie objął stanowisko ordynatora chorób wewnętrznych. Nie mając od lat kontaktu z medycyną, postępował jak rasowy lekarz wojskowy („od pępka w górę – chinina, od pępka w dół – rycyna"). Natomiast Sławek trafił do stołecznej Cytadeli, potem przebywał w Szczypiornie, a następnie uwięziono go w twierdzy modlińskiej. Na wolności pozostali właściwie tylko bardzo młodzi ludzie oraz jeden wyższy oficer Pierwszej Brygady. Był nim Edward Śmigły-Rydz – i to właśnie on przejął dowodzenie Polską Organizacją Wojskową.

POW powstała jeszcze w 1914 roku, a jej zwierzchnikiem był Piłsudski. Początkowo miała prowadzić działalność wywiadowczą na tyłach wojsk rosyjskich. Po zajęciu Królestwa Polskiego przez Niemców i Austriaków wyszła z podziemia. Oficjalnie zajmowała się szkoleniem wojskowym młodzieży, a po powstaniu Tymczasowej Rady Stanu uznała jej zwierzchnictwo. Organizacja liczyła wówczas kilkanaście tysięcy członków, zasięgiem działania obejmowała Królestwo Polskie, jednak miała też głęboko zakonspirowane ekspozytury w Piotrogrodzie i Moskwie.

Trudno jednoznacznie określić, dlaczego Niemcy nie aresztowali „Śmigłego". Być może go zlekceważyli, był bowiem dla nich tylko dowódcą wojskowym niezajmującym się polityką. Ograniczyli się zatem wyłącznie do zwolnienia go ze służby (bez prawa noszenia munduru) oraz wydalenia w granice Austrii jako poddanego Habsburgów. W ten sposób pułkownik trafił do Krakowa, gdzie – jak przystało na rasowego dowódcę rozwiązanej formacji – zorganizował Komitet Opieki nad Internowanymi i Zwalnianymi Legionistami. Miał trzeźwe spojrzenie na sytuację, wiedział, że sprawa polska znalazła się w impasie.

„Było źle – wspominał po latach. – Nas dzielą i wywożą – cóż robić dalej. Komendant był nie tylko dowódcą wojskowym, był twórcą i realizatorem myśli politycznej. Powstała pustka. Nikt z nas nie znał myśli Komendanta o następnych posunięciach. Nikt z nas nie był na tyle wtajemniczony w szczegóły Jego pracy politycznej, aby mógł cokolwiek z tej pracy objąć i kontynuować"[5].

Początkowo dowodzenie POW przejął jej szef sztabu, Tadeusz Kasprzycki. Nie miał jednak odpowiedniego doświadczenia i zdolności konspiracyjnych – zawiódł na całej linii. Na szczęście niebawem tematem zajął się „Śmigły”, który okazał się znakomitym organizatorem. Wzorował się na zasadach wprowadzonych przez Romualda Traugutta podczas powstania styczniowego, które Stefan Grot-Rowecki miał powtórzyć w trakcie następnej wojny.

Powstały cztery regionalne Komendy POW obejmujące nie tylko teren Królestwa Polskiego, lecz także Galicję, Wielkopolskę oraz obszary Rosji i Ukrainy. Rekrutacja przebiegała niezwykle sprawnie, pod koniec wojny stan POW zbliżał się do 30 tysięcy ludzi. W ciągu zaledwie kilku miesięcy „Śmigły” przemienił regionalną organizację paramilitarną w ogólnopolską konspirację o zasięgu środkowoeuropejskim.

POW dysponowała skuteczną łącznością, miała stabilną sytuację finansową oraz wspólną platformę polityczną. Okręgi organizacji dzieliły się na obwody i podobwody, którym podlegały kompanie, plutony i sekcje. Wyrabiano fałszywe dokumenty, ukazywała się podziemna prasa, działały konspiracyjne sądy, żandarmeria, a później także oddziały lotne. Zajmowały się one dywersją, likwidacją agentów i ekspropriacjami, czyli akcjami mającymi na celu zdobycie pieniędzy na działalność organizacyjną. POW miała być podstawą dla przyszłego Wojska Polskiego – i program ten konsekwentnie realizowano.

Sprawy konspiracji i tajemnicy traktowano bardzo poważnie, w efekcie nie pozostało zbyt wiele materialnych śladów po działalności POW. Nie wiadomo nawet, kiedy „Śmigły” objął nad nią komendę, trudno też określić, jak zmieniały się bieżące cele działalności organizacji. Sytuacja rozwijała się bowiem dynamicznie, tym bardziej że w Petersburgu doszło do przewrotu bolszewickiego. W efekcie, na mocy pokoju brzeskiego z marca 1918 roku, Rosja wyszła z wojny, a Ukraina stała się samodzielnym państwem.

Kijów po raz pierwszy

Niestety, POW zbyt późno uzyskała zdolność do działania. Rosja została już wyeliminowana z wojny, część jej terytorium była okupowana przez państwa centralne (Niemcy i Austro-Węgry) i Berlin mógł przerzucić na zachód ponad 40 dywizji. Niebawem zaczęła się tam wielka ofensywa

mająca na celu rozbicie Francji. W Berlinie zdawano sobie bowiem sprawę, że wojna – jeżeli miała się zakończyć pomyślnie dla Austrii i Niemiec – musiała zostać rozstrzygnięta, zanim do Europy dotrą wojska amerykańskie. W innym przypadku państwa centralne uległyby połączonym siłom Francji, Wielkiej Brytanii oraz Stanów Zjednoczonych.

W tym czasie na terenie Rosji pojawiły się polskie oddziały wojskowe, których formowanie rozpoczęto po obaleniu caratu w 1917 roku. Największe znaczenie miały trzy korpusy liczące łącznie ponad 40 tysięcy oficerów i żołnierzy. Niestety, działały one niezależnie od siebie, a większość tych żołnierzy traktowała je wyłącznie jako przystanek w drodze powrotnej do domu. W tej sytuacji wiosną 1918 roku POW podjęła działania mające na celu polityczne rozbudzenie polskich oddziałów na wschodzie. Sprzyjała temu sytuacja – bolszewicki przewrót wprowadził ferment polityczny, a polscy żołnierze musieli podjąć walkę przeciwko komunistom. W dodatku siły austriackie i niemieckie rozpoczęły przygotowania do rozbrojenia Polaków.

W kwietniu „Śmigły” wysłał emisariuszy, którzy mieli doprowadzić do podporządkowania POW polskich korpusów. Niestety, nie przyniosło to oczekiwanego efektu – jednostki zostały otoczone i rozbrojone, a ich żołnierze odesłani do domów. Sukcesem natomiast zakończyła się inna misja podjęta na polecenie pułkownika. Była nią próba nawiązania kontaktu z państwami ententy, co miało ogromne znaczenie dla sprawy polskiej. Była to bez wątpienia samodzielna decyzja „Śmigłego”, z perspektywy lat bardzo niedoceniana, a która być może odegrała decydującą rolę w odzyskaniu przez nasz kraj niepodległości.

Emisariusze „Śmigłego” nawiązali kontakt z wojskowymi francuskimi przebywającymi w Rumunii, którzy poszukiwali przeciwników dla Niemców na Ukrainie. Sytuacja okazała się rozwojowa i „Śmigły” podjął rozmowy osobiście. Przez Kijów ruszył do Rumunii, towarzyszyli mu Jędrzej Moraczewski i Michał Sokolnicki. Dotarli do mołdawskich Jass, a rozmowy tam przeprowadzone okazały się bardzo owocne. Trójce Polaków udało się przekonać Francuzów o wartości POW – otrzymali znaczne subsydia finansowe. Jeszcze ważniejsze było zaakceptowanie przez Paryż faktu, że działający na zachodzie Europy Komitet Narodowy Polski Romana Dmowskiego nie jest jedynym życzliwym Francji reprezentantem sprawy polskiej.

Marta Thomas-Zaleska

Pobyt w Kijowie okazał się ważny także z powodów czysto osobistych. Edward poznał tam Martę Thomas-Zaleską, wielką i jedyną miłość swojego życia. Kobietę, której pozostał wierny do ostatnich dni.

Wybranka komendanta POW pochodziła z Żytomierza i miała za sobą burzliwą przeszłość. Była córką miejscowego aptekarza, osobą niezwykle urodziwą i bardzo inteligentną. W gimnazjum poznała syna zamożnych miejscowych ziemian – Michała Zaleskiego. Młodzieniec zakochał się w niej bez pamięci i wkrótce po maturze poślubił dziewczynę.

Podobno małżonkowie byli ze sobą szczęśliwi, a Marta dobrze czuła się w nowym środowisku:

„(…) zamieszkali w naszych stronach w Sandrakach – wspominała ziemianka z Podola Helena Kutyłowska – i pewnego dnia złożyli rodzicom wizytę. Pani Marta, wesoła, przystojna, szybko weszła w rolę ziemianki i – choć w owych czasach taki związek uważano za mezalians, gdyż była córką aptekarza – została przez sąsiadów, szczególnie panów, mile przyjęta. Dobrze jeździła konno i często wpadała do Kumanowic, aby wziąć udział w naszych wycieczkach”[6].

Idyllę przerwał wybuch wojny, Zaleski został zmobilizowany i w stopniu oficera trafił do armii rosyjskiej. Nie chciał, by żona samotnie nudziła się w majątku, i na własne nieszczęście zaproponował jej przeprowadzkę do Kijowa. Osobiście przygotował wygodny apartament i wyjeżdżając, zalecił, by używała życia.

Marta przyjęła zalecenia męża bardzo dosłownie. Nie wiadomo, czy w ogóle go nie kochała, czy też była zbyt młoda na poważne uczucie, gdyż w chwili wybuchu wojny miała zaledwie 19 lat. Wdała się w romans z niejakim panem M. (nigdy nie ustalono jego personaliów) i całkowicie zapomniała o Zaleskim. Planowała unieważnienie małżeństwa i poślubienie kochanka, nie zdając sobie sprawy, że nowy partner traktuje cały romans wyłącznie w charakterze przygody.

Relacje co do dalszych wydarzeń pozostają sprzeczne. Nie wiadomo, czy Zaleski został poinformowany przez „życzliwych” przyjaciół, czy też przyjechał niespodziewanie i zastał żonę z kochankiem in flagranti. Zachował się jednak z ogromną klasą. Gdy uświadomił sobie, że Marta jest zakochana w panu M., udał się do jego pokoju hotelowego. Oznajmił, że nie zamierza stwarzać przeszkód zakochanym i będą mogli się pobrać.

Usłyszał szyderczą odpowiedź – rywal stwierdził, że nie planuje małżeństwa z Martą, a cała sprawa ograniczała się wyłącznie do seksu. Tego było za wiele dla polskiego szlachcica i rosyjskiego oficera. Zaleski wyciągnął rewolwer, a pan M. schował się pod kołdrę, która nie stanowiła jednak żadnej osłony przed pociskami…

Na pogrzebie kochanka Marta urządziła histeryczne sceny. Jej mąż stanął przed sądem. Otrzymał jednak stosunkowo łagodny wyrok: degradację i skierowanie na front, na co zapewne miało wpływ prowadzenie się Marty. Poza tym sądy carskie z reguły łagodnie traktowały zabójców, którzy swoje czyny popełnili pod wpływem miłości czy zazdrości.

Pani Zaleska pozostała w Kijowie z opinią femme fatale, opowiadano, że prowadziła dość swobodny tryb życia. Pod koniec wojny rozpoczęła współpracę z POW, a złośliwi szeptali, że główną przyczyną jej zainteresowania konspiracją był miejscowy dowódca tej organizacji. Faktycznie, pułkownik Leopold Lis-Kula był bardzo przystojnym mężczyzną, który zresztą u niej kwaterował. A może Marta po prostu chciała wypełnić nudę codziennego dnia? Okazało się jednak, że pisany był jej zupełnie inny los. We wrześniu do Kijowa przybył „Śmigły” – i stracił dla niej głowę.

Po powrocie Edwarda z Jass spędzili razem kilkanaście dni nad Morzem Czarnym. Nie znamy bliższych szczegółów ich związku w tym okresie, ale zapewne jeszcze przed wyjazdem na rozmowy z Francuzami doszło między nimi do pierwszych zbliżeń. Trudno się temu dziwić – epoka była wyjątkowo burzliwa i nie warto było tracić czasu na konwenanse. Marta zresztą zawsze uchodziła za osobę mało pruderyjną.

Niestety, „Śmigły” nie miał czasu, by dłużej rozkoszować się bliskością kochanki. Historia nagle przyspieszyła – w połowie września francuska Armia Orientu, stacjonująca dotychczas w Salonikach, rozpoczęła ofensywę na północ. Jej sukces przekroczył wszelkie oczekiwania; jeszcze przed końcem miesiąca zawieszenie broni podpisała Bułgaria, a zaraz potem Turcja. Gdy w październiku Francuzi przemierzali Bałkany, kierując się na Belgrad i Budapeszt, dla wszystkich stało się jasne, że klęska Austro-Węgier i Niemiec jest kwestią najbliższej przyszłości. Jak później to elegancko określono, monarchia Habsburgów „zaczęła się rozłazić jak stare gacie”, a Niemcy same nie mogły prowadzić wojny. Zresztą narastały tam rewolucyjne nastroje, a żołnierze kajzera nie chcieli już ginąć na froncie. W pierwszych dniach października Rada Regencyjna w Warszawie

zapowiedziała nawet utworzenie niepodległej Polski. W tej sytuacji „Śmigły” musiał porzucić kochankę i wracać do Warszawy.

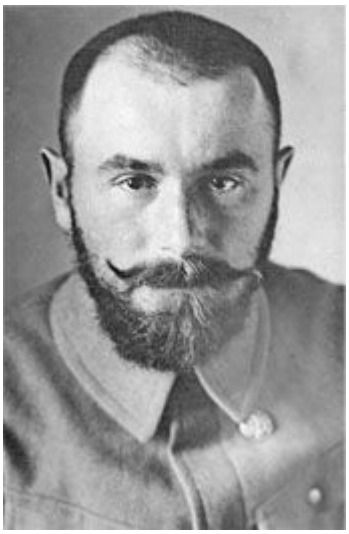

Edward Śmigły-Rydz w czasach Legionów

foto Instytut Józefa Piłsudskiego/NAC

foto Zbiory Danuty B. Łomaczewskiej/East News

Edward Śmigły-Rydz podczas I wojny światowej. Na dole wraz z Józefem Piłsudskim

foto Narodowe Archiwum Cyfrowe

Edward Śmigły-Rydz jako pułkownik I Brygady Legionów

foto Narodowe Archiwum Cyfrowe

Przyszły marszałek w towarzystwie znajomych i Marty Thomas-Zaleskiej

foto Muzeum Literatury w Warszawie/East News

W czasach legionowej epopei

foto Narodowe Archiwum Cyfrowe

Z Józefem Piłsudskim na warszawskiej Agrykoli, kwiecień 1917 roku

foto Narodowe Archiwum Cyfrowe

Oficerowie I Brygady Legionów

foto Narodowe Archiwum Cyfrowe

Portret Leopolda Gottlieba pędzla Śmigłego-Rydza, 1916 rok

reprodukcja Grzegorz Kozakiewicz/Forum

Reprodukcja pocztówki Legiony Polskie: Edward Śmigły-Rydz pierwszy od prawej w górnym rzędzie

reprodukcja Mirosław Stankiewicz/ Forum

Rozdział 3

Wielkie dni „Śmigłego”

POW w akcji

Deklaracja Rady Regencyjnej zapowiadająca utworzenie niepodległej Polski z dostępem do morza była dowodem dynamicznych zmian zachodzących w Europie Środkowej. Wojna dobiegała końca, a Rada Regencyjna przejęła oficjalną kontrolę nad Polską Siłą Zbrojną (Polnische Wehrmacht). Jednocześnie doszło do przesilenia rządowego – kojarzony ze współpracą z okupantami gabinet Jana Kantego Steczkowskiego miał zostać zastąpiony przez rząd Józefa Świeżyńskiego. Nowy premier, związany z Narodową Demokracją, poszukiwał poparcia także wśród piłsudczyków.

„Śmigły” nie miał wyboru i po powrocie z Kijowa przystąpił do negocjacji ze Świeżyńskim. Wbrew bowiem popularnym dzisiaj opiniom Rada Regencyjna posiadała legitymizację do sprawowania władzy w kraju, a powołane przez nią instytucje miały znacznie szerszy zakres rzeczywistych uprawnień niż gabinety rządowe z epoki PRL-u. A do tego cieszyły się większym szacunkiem wśród społeczeństwa.

Rozmowy nie były jednak łatwe, politycy z Rady wprawdzie zaoferowali Piłsudskiemu stanowisko ministra spraw wojskowych (które w zastępstwie miał sprawować „Śmigły”), była to jednak wyjątkowo niebezpieczna propozycja. Dawała bowiem niewielki rzeczywisty wpływ na rozwój sytuacji, a straty wizerunkowe mogły być ogromne. W razie bowiem wystąpienia niepokojów społecznych to właśnie minister spraw wojskowych był zobowiązany spacyfikować sytuację. Jednocześnie prowadzono też negocjacje z Narodową Demokracją – okazało się jednak, że jej politycy nie byli w stanie zagwarantować rzeczywistej pomocy w działaniach zmierzających do odzyskania niepodległości.

Negocjacje zostały ostatecznie zawieszone, czego oficjalnym powodem było ogłoszenie przez Radę Regencyjną poboru do wojska. Obserwatorom wydawało się, że „Śmigły” grał na zwłokę, oczekując powrotu Piłsudskiego, jednak przyczyny tego stanu były zupełnie inne.

Pułkownik zdawał sobie bowiem sprawę z postępującej katastrofy Austro-Węgier. Francuzi maszerowali przez Bałkany, Włosi przez Alpy, rozpadała się cesarsko-królewska armia, a jej oddziały przemieniały się w niezdyscyplinowane bandy. W tej sytuacji koniecznością stało się zdobycie władzy na terenach dotychczas okupowanych przez Austriaków. Miała to być demonstracja polskich ambicji niepodległościowych, a jednocześnie próba uchronienia ludności cywilnej przed rabunkami i gwałtami. Jedyną siłą, która mogła się podjąć tego zadania, była Polska Organizacja Wojskowa i stojący na jej czele pułkownik „Śmigły”.

Decyzję o rozbrajaniu Austriaków podjęto w ostatnich dniach października. Początek akcji zaplanowano na 1 listopada, dzięki czemu o kilka dni ubiegli nas Czesi, Słowacy, Chorwaci czy Serbowie. Jednak termin ten miał swoje realne uzasadnienie: „Śmigły” chciał poczekać do chwili, gdy austriacka administracja rządowa przyśle pieniądze na wypłaty pensji i zasiłków oraz regulację wierzytelności rządowych. Obalenie władzy okupanta oznaczało bowiem automatyczne odcięcie od finansów z Wiednia – wiele polskich rodzin znalazłoby się wtedy z dnia na dzień w tragicznej sytuacji. A tak uzyskano miesiąc na rozwiązanie tych problemów.

„Śmigły” i jego współpracownicy dysponowali sprawnym systemem komunikacji, tajnymi magazynami broni i kilkudziesięciotysięczną armią podziemną. Wszystko wskazywało, że akcja zakończy się sukcesem – i tak faktycznie się stało. Jako pierwsze polskie miasto, jeszcze 31 października, został wyzwolony Tarnów. Następnego dnia opanowano Kraków, a 3 listopada zwierzchnik okupacyjnych wojsk austriackich w Lublinie telegraficznie przekazał pełnię władzy Radzie Regencyjnej. Jeśli nawet „Śmigły” spodziewał się czegoś innego, to zapewne tej informacji nie zaakceptował z radością – znacznie utrudniła mu bowiem działanie.

Tego samego dnia w Warszawie nastąpiła próba obalenia rządu. Okazała się nieudana, jednak w jej wyniku gabinet Świeżyńskiego musiał podać się do dymisji. Świeżyńskiego zastąpił Władysław Wróblewski uznawany za „premiera tymczasowego”, gdyż stanowisko szefa rządu zarezerwowano dla arystokratów: Eustachego Sapiehy albo Zdzisława Lubomirskiego.

Decyzji nie zdołano jednak już podjąć, gdyż Rada Regencyjna dożywała swojego kresu.

Dla „Śmigłego” i jego współpracowników stało się jasne, że nadszedł czas powołania rządu niezależnego od polityków, którzy wcześniej współpracowali z okupantami. Uważali również, że taki gabinet powinien powstać na obszarze, gdzie nie stacjonowały obce wojska. W tej sytuacji na jego siedzibę wybrano Lublin, jednak tuż przed ogłoszeniem powstania nowej Rady Ministrów „Śmigły” zadbał jeszcze o sprawę najważniejszą, czyli przejęcie kontroli nad wojskiem. Zagrał va banque – wyraził oficjalną zgodę na podporządkowanie się Radzie Regencyjnej, a w zamian otrzymał zwierzchnictwo nad Polską Siłą Zbrojną. Dzięki temu stał się najważniejszą osobą w kraju i natychmiast rozpoczął organizację dodatkowych oddziałów, na których czele postawił oddanych sobie oficerów (m.in. Gustawa Orlicza-Dreszera i Janusza Głuchowskiego).

5 listopada do Lublina przybył generał Tadeusz Rozwadowski, pełniący dotychczas funkcję szefa sztabu Polskiej Siły Zbrojnej. Znacznie lepiej orientował się w sytuacji niż politycy z Rady Regencyjnej – zdjął więc „Śmigłego” ze stanowiska, nakazując mu wyruszenie do Lwowa na czele skoncentrowanych w Lublinie oddziałów POW, by pomóc miastu oblężonemu przez Ukraińców. W tej sytuacji pułkownik uznał, że nie można już dłużej czekać, i wysłał do Krakowa samochód po Ignacego Daszyńskiego. Kolejnego dnia przygotowywał przejęcie władzy w Lublinie i zadanie to bez przelewu krwi wykonano w nocy z 6 na 7 listopada. Akcję przeprowadziła Polska Organizacja Wojskowa, ale istotny był fakt, że została ona poparta nie tylko przez żołnierzy z lokalnego garnizonu Polskiej Siły Zbrojnej, lecz także przez batalion mający pierwotnie spacyfikować POW oraz „Śmigłego”. Dla jego żołnierzy pułkownik „Śmigły” znaczył bowiem dużo więcej niż generał Rozwadowski.

7 listopada ogłoszono powstanie Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej. Wówczas nazwa ta była odbierana inaczej niż obecnie: słowo „republika” oznaczało zerwanie z ideą monarchistyczną (czyli z Radą Regencyjną), a „ludowość” podkreślała idee sprawiedliwości społecznej i odrzucenie rządów arystokracji. Nowy rząd zapowiadał daleko idące reformy społeczne: upaństwowienie istotnych działów przemysłu i infrastruktury, reformę rolną po uprzednim wywłaszczeniu ziemian, bezpłatną edukację, obowiązkowe ubezpieczenia.

Premierem został Daszyński, a „Śmigły” ministrem spraw wojskowych. Chociaż zasięg realnej władzy gabinetu był raczej niewielki, miał on ogromne znaczenie. Jego powstanie całkowicie sparaliżowało Radę Regencyjną, a do tego wytyczono kierunek, w którym musiały pójść kolejne polskie rządy. Odrodzona Rzeczpospolita musiała się stać państwem o ustroju republikańskim i demokratycznym. Uniemożliwiono również bolszewizację Polski, gdyż niemal dla wszystkich stało się jasne, że reformy społeczne będą realizowane przez państwo, nie zachodzi zatem konieczność dokonania przewrotu komunistycznego – niepotrzebne są do tego żadne rady: robotnicze, chłopskie czy żołnierskie.

Skuteczne rozbrojenie Austriaków i zainstalowanie nowego rządu spowodowały, że „Śmigły” ponownie mógł się skupić na sprawach wojskowych. Wydał rozkaz mobilizacyjny i zajął się organizacją nowych formacji. Niejako przy okazji został też mianowany generałem – nie wypadało bowiem, by ministrem spraw wojskowych był pułkownik, który miał wydawać rozkazy oficerom wyższym stopniem. Ale najważniejszą sprawą była praca nad przygotowaniami do rozbrojenia Niemców wciąż okupujących znacznie obszary kraju. Rankiem 10 listopada „Śmigły” wydał pierwsze polecenia dotyczące zmobilizowania warszawskiej POW…

„Kury szczać prowadzać, a nie politykę robić”

Piłsudski i Sosnkowski zostali zwolnieni z internowania w Magdeburgu 8 listopada. Przewieziono ich do Berlina, skąd specjalnym pociągiem dojechali do Warszawy. W stolicy pojawili się rankiem 10 listopada 1918 roku, co przyjęto z dużym zaskoczeniem. Władze niemieckie zachowały bowiem ścisłą tajemnicę – o powrocie Komendanta wiedziało zaledwie kilka osób. Na peronie na Piłsudskiego oczekiwali: książę Zdzisław Lubomirski (członek Rady Regencyjnej) oraz szef miejscowej POW – Adam Koc. Nie zachowała się, niestety, żadna dokumentacja fotograficzna ilustrująca to wydarzenie, a reprodukowane w wielu wydawnictwach zdjęcie Piłsudskiego z Sosnkowskim otoczonych tłumem warszawiaków w rzeczywistości pochodzi z 12 grudnia 1916 roku.

Wiadomość o przyjeździe marszałka Józefa Piłsudskiego do Warszawy dotarła do Lublina telefonicznie w południe. W tej sytuacji „Śmigły” wysłał do Warszawy swojego zaufanego człowieka, Bogusława Miedzińskiego. Zdołał on jednak dotrzeć do Piłsudskiego dopiero następnego dnia.

Komendant planował wyjazd do Lublina, jednak sytuacja rozwinęła się w zupełnie nieoczekiwanym kierunku. Najbardziej aktywny z regentów, Zdzisław Lubomirski, zaprosił go na rozmowę, potem miały miejsce kolejne: ze współpracownikami z Polskiej Organizacji Wojskowej i z przedstawicielami niemal wszystkich środowisk politycznych. Jednak najważniejsze spotkanie odbyło się już w nocy – Komendant rozmawiał z przedstawicielami okupacyjnego garnizonu niemieckiego. Tematem negocjacji była ewakuacja Niemców z Polski. Piłsudski stał na stanowisku, że powinna być przeprowadzona jak najszybciej, by zdemoralizowane żołdactwo nie spustoszyło kraju. Niemcy jednak nie zamierzali wyjeżdżać w pośpiechu, pragnęli bowiem wrócić do domów z jak największymi łupami. Ponieważ rozmowy nie przyniosły rezultatu, planowano kontynuować je następnego dnia.

Tymczasem wydarzenia wymknęły się spod kontroli, bo już sama obecność Piłsudskiego w Warszawie wystarczyła, by zradykalizować nastroje. Odosobnienie w Magdeburgu przyniosło mu bowiem nieprawdopodobny kapitał polityczny. Cztery lata wcześniej przed jego strzelcami zamykano drzwi i okna – teraz stał się najważniejszą postacią w kraju, politykiem, z którym wiązano ogromne nadzieje. Internowanie usunęło zarzut współpracy z Niemcami, był postrzegany jako ofiara prześladowań, stał się symbolem walki z okupantem. Umiejętna akcja propagandowa kreowała go na wodza narodu, trafiła zresztą na odpowiednią chwilę dziejową. Nigdy wcześniej (ani później) Piłsudski nie był wśród rodaków tak popularny – wydawał się jedynym człowiekiem mogącym przejąć władzę w Polsce. I nie był to wyłącznie głos opinii publicznej, podobne zdanie wygłaszali politycy – od skrajnej prawicy po socjalistów.

Trudno się zatem dziwić, że gdy po Warszawie rozeszły się wieści o przyjeździe Piłsudskiego, mieszkańcy miasta zaczęli przybywać pod jego dom. Wkrótce zgromadzenie przemieniło się w stutysięczną manifestację patriotyczną. Stołeczna POW obsadziła niektóre punkty w mieście. Niemieccy żołnierze obawiali się nie tylko wyjść na ulice Warszawy, lecz także tego, że zrewoltowany lud krwawo się na nich zemści za trzy lata okupacji.

Z tego powodu 11 listopada niczego już nawet nie negocjowano, gdyż Niemcy oddali się pod opiekę Piłsudskiego, zgadzając się na wszystkie jego warunki. Uzgodniono, że opuszczą Królestwo Polskie w ciągu tygodnia,

pozostawiając całe wyposażenie wraz z bronią osobistą. Rozbrajanie rozpoczęto w Warszawie o godzinie 13 i przeprowadzono je bardzo sprawnie. Jednocześnie identyczna akcja odbyła się poza stolicą, graniczne stacje kolejowe obsadzili członkowie POW, a tory Polska Siła Zbrojna. Bardzo sprawnie działali również polscy kolejarze. W ciągu sześciu dni Warszawa została opróżniona z Niemców.

Tymczasem w Lublinie 11 listopada przed południem komendant POW Edward Śmigły-Rydz wydał rozkaz o scaleniu podległych sobie oddziałów z formacjami Polskiej Siły Zbrojnej, tworząc w ten sposób jednolitą armię. Wprawdzie dotyczyło to tylko terenów dawnej okupacji austriackiej, ale oznaczało początek istnienia Wojska Polskiego. Rozkaz ten o kilka godzin wyprzedził decyzję Rady Regencyjnej przekazującej władzę nad PSZ Józefowi Piłsudskiemu. Dlatego właśnie ta decyzja dała oficjalny powód do ustanowienia Dnia Niepodległości.

Z perspektywy czasu rola „Śmigłego” w demontażu znaczenia Rady Regencyjnej jest niedoceniana. To właśnie on utworzył konkurencyjny rząd i zapewnił jego bezpieczeństwo. Najważniejsze znaczenie miał jednak fakt, że żołnierze Polskiej Siły Zbrojnej, stanowiący teoretycznie zbrojne ramię Rady Regencyjnej, przeszli na jego stronę, gdy tylko wydał im takie polecenie. Również rozbrojenie Niemców w Warszawie było oczywistym dowodem na to, że główną siłą zbrojną w państwie jest Polska Organizacja Wojskowa, którą dowodził właśnie Edward Śmigły-Rydz.

Tuż po wydaniu rozkazu o połączeniu POW z PSZ „Śmigły” został wezwany do Warszawy. Po karkołomnej jeździe samochodem z Lublina stawił się przed północą u Piłsudskiego. Komendant podjął już wówczas decyzję o pozostaniu w stolicy, a w tej sytuacji rząd lubelski przestał być pomocą, stając się przeszkodą w prowadzeniu polityki. Podobno to właśnie wtedy padły słowa, że „wam kury szczać prowadzać, a nie politykę robić”. Wydaje się jednak, że nie dotyczyły one wcale „Śmigłego”, lecz cywilnych ministrów, a szczególnie Daszyńskiego, który nie chciał rozwiązać gabinetu. W tej sytuacji Piłsudski zwrócił się do „Śmigłego”, żądając od niego przekonania opornych członków rządu, a ten natychmiast przyjął polecenie Komendanta. Ostatecznie Daszyński podał się do dymisji wraz z całym gabinetem – chociaż początkowo miał stanąć na czele kolejnego rządu, stało się inaczej. Gdy bowiem okazało się, że polityk ten nie może liczyć na poparcie Narodowej Demokracji, nowym premierem został Jędrzej Moraczewski.

Pierwsze po wielu miesiącach spotkanie Piłsudskiego ze „Śmigłym” trwało bardzo krótko, zaledwie dwa lub trzy kwadranse. Generał dostał polecenie powrotu do Lublina i zajęcia się sprawami wojskowymi. Uczciwie trzeba przyznać, że Komendant potraktował „Śmigłego” dość ozięble, sprawiał wrażenie, jakby nie doceniał jego osiągnięć, a nawet nie tytułował generałem. Jeśli nawet tak było, „Śmigły” nie dał po sobie poznać urazy. Rozumiał, że jego samodzielność się skończyła; a stopień generalski potrzebny ministrowi spraw wojskowych Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej stawał się kłopotliwy, gdy naczelny dowódca Wojska Polskiego był tylko brygadierem (ktoś pośredni między pułkownikiem i generałem). Wiedział także, że komenda wojskowa w prowincjonalnym Lublinie była najważniejszym stanowiskiem dowódczym poza Warszawą. To właśnie tam należało zorganizować wojsko dla obrony Polski przed zagrożeniem ze wschodu.

Chwila oddechu podczas walk przeciwko Rosjanom

foto Zbiory Mariusza Kolmasiaka/East News

Józef Piłsudski i Edward Śmigły-Rydz na froncie w 1920 roku

foto Zbiory Mariusza Kolmasiaka/East News

Józef Piłsudski i Śmigły-Rydz, wojna polsko-bolszewicka 1919 roku

foto Instytut Józefa Piłsudskiego/NAC

Bankiet na cześć Józefa Piłsudskiego i oficerów Legionów, Warszawa, grudzień 1916 roku. Józef Piłsudski (za stołem piąty z lewej), Edward Śmigły-Rydz (za stołem czwarty z lewej), Walery Sławek (trzeci od lewej), Bolesław Wieniawa-Długoszowski (przed stołem czwarty od lewej)

foto Instytut Józefa Piłsudskiego/NAC

Rozdział 4

Najlepszy polski dowódca

Wołyń i Wilno

Polacy stali się obiektem obcej agresji już w październiku 1918 roku, gdy państwo polskie praktycznie jeszcze nie istniało. Ukraiński atak na Lwów i spowodowana tym konieczność zorganizowania odsieczy miasta stały się istotnym czynnikiem przyspieszającym zjednoczenie Królestwa Polskiego oraz Królestwa Galicji i Lodomerii. Warto bowiem pamiętać, że to właśnie Lwów był stolicą tej prowincji, a jednocześnie drugim pod względem rangi polskim miastem.

Na innych granicach powstającego państwa sytuacja wyglądała na względnie stabilną. Na zachodzie i północy rozciągały się Niemcy, wprawdzie pokonane w wielkiej wojnie, jednak wciąż znacznie silniejsze od Polski. Ale w Warszawie spodziewano się, że zgodnie z czternastoma punktami orędzia amerykańskiego prezydenta Woodrowa Wilsona odzyskamy ziemie „bezsprzecznie polskie" oraz dostęp do morza. Na południu sytuacja była zmienna: na gruzach monarchii austro-węgierskiej powstało państwo czeskie, z którym podpisano porozumienie w sprawie Śląska Cieszyńskiego. Niepewna była natomiast przyszłość Słowaków – nigdy wcześniej nie posiadali bowiem własnego państwa, a w Pradze projektowano federację czesko-słowacką. Natomiast na wschodzie, na terenach Litwy i Białorusi, jeszcze przez kilka miesięcy miały stacjonować okupacyjne wojska niemieckie, których obecność zapewniała tam względny spokój.

Jesienią 1918 roku wojna o granice trwała jedynie na południowym wschodzie, ale na szczęcie dla Polski Ukraińcy nie potrafili się zjednoczyć. Ich państwo powstało wprawdzie wcześniej, niż odrodziła się Rzeczypospolita, zorganizowano nawet ćwierćmilionową armię, ale kraj ten stał się areną krwawej wojny domowej, która zamieniła go w ruinę.

O władzę walczyło tam kilka rządów, dzięki czemu Polacy mogli stawić czoła podzielonemu i skłóconemu wewnętrznie przeciwnikowi. Lwów atakowały siły Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Ludowej, a Wołyń – Ukraińskiej Republiki Ludowej.

Główną odsiecz dla Lwowa organizowano w Krakowie. Przyczyny takiej decyzji były pragmatyczne – z Krakowa do Lwowa prowadziły dobrej jakości drogi i szlaki kolejowe, gdyż przez ponad stulecie oba miasta znajdowały się w granicach jednego państwa. Lublin natomiast był oddzielony od Lwowa dawną granicą rosyjsko-austriacką, co znacznie utrudniało komunikację. Dlatego też z Lublina można było wykonać wyłącznie pomocnicze uderzenie na Lwów i powstrzymywać Ukraińców na Wołyniu. Takie też zadanie otrzymał właśnie Edward Śmigły-Rydz.

17 listopada 1918 roku Piłsudski formalnie mianował go dowódcą lubelskiego Okręgu Generalnego, a cztery dni później wreszcie zatwierdził jego stopień generalski (jednocześnie awans dostał Kazimierz Sosnkowski). Nowa funkcja nakładała na „Śmigłego” zupełnie inne obowiązki niż dotychczas. Podczas wojny walczył na froncie i sprawdził się tam najlepiej z grona dowódców legionowych, potem przeszedł do konspiracji. Natomiast dowodzenie Okręgiem Generalnym oznaczało zwierzchnictwo nad administracją terenową wojska, a także organizację nowych formacji. Warto też zauważyć, że tylko jeden z pięciu powstałych wówczas okręgów miał prowadzić działania wojenne na terenie bezpośrednio sobie podległym – właśnie ten podporządkowany „Śmigłemu”. Piłsudski nigdy nie dokonywał nominacji bez głębszego uzasadnienia, najwyraźniej doceniał zarówno frontowe, jak i organizacyjne talenty nowo mianowanego generała.

Nie zawiódł się, „Śmigłemu” udało się zorganizować kilkanaście batalionów piechoty oraz kilka baterii artylerii (jedną z nich dowodził późniejszy minister spraw zagranicznych Józef Beck), które zostały skierowane na odsiecz Lwowa.

W dodatku, gdy tuż przed Bożym Narodzeniem na grypę hiszpankę zapadł dowódca warszawskiego Okręgu Generalnego Kazimierz Sosnkowski, „Śmigły” czasowo przejął jego obowiązki. Z tego powodu przez ponad miesiąc podróżował pomiędzy Lublinem a stolicą, przygotowując jednocześnie operację wymierzoną w zagrażające Lubelszczyźnie wojska Ukraińskiej Republiki Ludowej.

Starcia zbrojne na Wołyniu w niewielkim stopniu przypominały klasyczne wyobrażenia o współczesnej wojnie. Działania toczyły się na olbrzymim terenie, używano stosunkowo niewielkich sił. „Śmigły” dysponował zaledwie 5 tysiącami żołnierzy (Wołyńska Grupa Operacyjna), ale przewagę dawało mu posiadanie kilku samolotów. Dzięki rozpoznaniu lotniczemu mógł szachować wroga patrolami kawalerii, skupiając całość sił na pojedynczych akcjach.

Udało mu się ustabilizować sytuację, po czym zaatakował przeciwnika na południu. Oddziały „Śmigłego” weszły na tyły przeciwnika, odcinając mu dostęp do zaplecza, dzięki czemu pod koniec stycznia wyzwolono Włodzimierz Wołyński. Następnie opanowano Kowel, by wreszcie dotrzeć do nieprzebytych o tej porze roku bagien Polesia. Zdobyto wiele zapasów i sprzętu wojennego, ponoszono jednak też poważne straty. W Torczynie, pomiędzy Włodzimierzem Wołyńskim a Łuckiem, zginął legendarny pułkownik Lis-Kula, dawny lokator Marty Thomas-Zaleskiej. Miał zaledwie 23 lata, ale był już znakomitym żołnierzem i dowódcą.

I chociaż walki przeciwko Ukraińcom miały jeszcze trwać przez kilka tygodni, czasem przybierając dramatyczny przebieg, losy wojny były już rozstrzygnięte. Na początku kwietnia „Śmigły” został odwołany ze stanowiska – skierowano go bowiem do znacznie ważniejszych zadań.

Wilno po raz pierwszy

Niestety, wojna z Ukraińcami zapoczątkowała ciąg konfliktów zbrojnych z niemal wszystkimi sąsiadami odradzającego się państwa – władze w Warszawie nie miały zresztą wyboru. Czesi dążyli do aneksji całego Śląska Cieszyńskiego, gdyż przez ziemie zamieszkiwane przez Polaków przebiegała jedyna linia kolejowa łącząca ich terytorium ze Słowacją. Natomiast Niemcy nie zamierzali zrezygnować z Pomorza, Wielkopolski i ze Śląska.

Polscy politycy nie mogli tolerować ambicji sąsiadów, gdyż w ten sposób stworzyliby państwo składające się wyłącznie z Mazowsza (ale bez Suwalszczyzny i Podlasia) oraz z Małopolski (jednak bez Chełmszczyzny, Beskidów i Podhala). Taki twór nie mógłby oczywiście funkcjonować, a wielu naszych rodaków pozostałoby poza granicami odrodzonej Rzeczpospolitej.

Gdy wiosną 1919 roku „Śmigły” zakończył kampanię wołyńską, państwo polskie cieszyło się już uznaniem międzynarodowym, a nawet było traktowane jako jedno z pełnoprawnych państw ententy. Okrzepły również polskie siły zbrojne, a Józef Piłsudski, jako wódz naczelny Wojska Polskiego, objął bezpośrednie dowództwo nad Wojskiem Wielkopolskim oraz Błękitną Armią Hallera z Francji. Kraj czekała jednak wielka próba, gdyż w lutym 1919 roku doszło do pierwszych starć z bolszewikami.

Armia Czerwona stopniowo zajmowała teren opuszczany przez okupacyjne wojska niemieckie i niebawem weszła w kontakt operacyjny z Wojskiem Polskim. Początkowo walki toczyły się bez zbytniego zaangażowania, bolszewicy mieli własne problemy, w Rosji trwała wojna domowa. Nie oznaczało to jednak, że zaprzestali eksportu rewolucji na bagnetach Armii Czerwonej i gdy nadarzyła się okazja opanowania Wilna opuszczanego przez Niemców, natychmiast z niej skorzystali.

Piłsudski był realistą, doskonale wiedział, że kwestia zachodnich granic rozegra się na konferencji paryskiej i będzie zależała wyłącznie od woli zwycięskich mocarstw. Natomiast na wschodzie granice należało sobie wywalczyć, tym bardziej że sowieckie porządki oznaczały zagładę dla polskiego żywiołu na Kresach. Ponadto Komendant pochodził z Wileńszczyzny, w mieście nad Wilią spędził młode lata i miał do Wilna stosunek sentymentalny. Zdawał sobie także sprawę, że w polityce czasami liczą się fakty dokonane, postanowił zatem opanować to miasto wraz z okolicami. Obawiając się jednak reakcji Sejmu, bardziej zainteresowanego sprawami Lwowa i Galicji Wschodniej, zdecydował się przeprowadzić akcję wileńską podczas przerwy wielkanocnej.

Należało się spieszyć z jeszcze jednego powodu: Armia Czerwona, idąc na zachód, nie tylko niosła śmierć i pożogę, lecz także przejmowała pozostawione przez Niemców wyposażenie i uzbrojenie. Kilka miesięcy wcześniej Rosja bolszewicka mogła wystawić jedynie słabo uzbrojone bandy terrorystyczne, natomiast wiosną – już dobrze uzbrojoną armię. Dlatego pochód Sowietów należało zatrzymać jak najdalej od granicy Polski.

Wyznaczenie akcji na połowę kwietnia dawało szansę na zaskoczenie przeciwnika. Rosjanie (podobnie jak aspirujący do Wilna Litwini) wprawdzie spodziewali się polskiego ataku, jednak dopiero pod koniec maja. Do tego czasu miała poprawić się pogoda, Lwów zostać odblokowany, a z Francji przybyłaby Błękitna Armia.

Do marszu na Wilno skierowano grupę kawalerii pułkownika Władysława Beliny-Prażmowskiego oraz 1 Dywizję Legionów, której dowodzenie niedawno objął „Śmigły”. Akcję rozpoczęto 16 kwietnia, jednocześnie inne polskie oddziały opanowały Baranowicze i Lidę, poszerzając korytarz prowadzący do Wilna. Dywizja „Śmigłego” była osłabiona, musiał bowiem odesłać część sił na pomoc oddziałom walczącym o Lidę. Jednak odważnym szczęście sprzyja: rankiem 19 kwietnia do miasta dotarła kawaleria i wdała się w uliczne walki z Rosjanami. Wsparli ją mieszkańcy, a następnie piechota „Śmigłego”, nieco opóźniona z powodu fatalnej pogody. Wieczorem następnego dnia Wilno było już wolne.

Niemal natychmiast do miasta przybył Józef Piłsudski i wydał odezwę skierowaną do „mieszkańców byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego”. Było ona zgodna z federacyjnymi planami Marszałka, w rzeczywistości jednak okazała się chybionym zamierzeniem. Litwini chcieli powstania własnego państwa, Polacy pragnęli być obywatelami Rzeczypospolitej, a licznym w mieście Białorusinom i Żydom właściwie wszystko było obojętne. Marzyli tylko o spokoju i końcu wojny.

Polityka nie interesowała też „Śmigłego”, był wojskowym i wykonywał rozkazy. Dlatego gdy otrzymał polecenie obrony miasta przed bolszewikami, zamierzał jak najlepiej wywiązać się z zadania. Nie było ono jednak łatwe: Rosjanie skoncentrowali w pobliżu Wilna trzy grupy uderzeniowe, z których każda była silniejsza od całości sił polskich. W tej sytuacji generał postanowił zatem nie czekać na przeciwnika w mieście, tylko rozbić jego jednostki kolejno. Największe niebezpieczeństwo zagrażało z północnego wschodu, skąd do Wilna dochodziła linia kolejowa z Petersburga, dlatego wysłał tam majora Stefana Dęba-Biernackiego, by opóźnił bolszewicką koncentrację. Dzięki temu mógł spokojnie poczekać na pułki, które brały udział w zdobyciu Lidy. Jednocześnie bronił się przed atakami sowieckimi na pozostałych odcinkach i osiągnął pełny sukces. Gdy wojsko spod Lidy wreszcie się pojawiło, natychmiast przeszedł do kontrataku i odepchnął Rosjan na kilkadziesiąt kilometrów od miasta.

Nad Dźwiną

Sytuacja na Wileńszczyźnie wciąż była skomplikowana, wprawdzie Rosjanie przeszli do defensywy, jednak nadal posiadali wspólną granicę

z wrogo nastawioną do Polski Republiką Litewską. A skoro „wróg naszego wroga bywa naszym sojusznikiem”, to zamierzali wspomagać żądania terytorialne polityków z Kowna.

W tej sytuacji naturalnymi sprzymierzeńcami Polaków stawali się Łotysze, także walczący z bolszewikami. „Śmigły” miał jednak ograniczone możliwości i latem 1919 roku nie udało mu się nawiązać kontaktu operacyjnego z wojskami podległymi władzom w Rydze. W efekcie Dyneburg (obecnie Daugavpils), drugie co do wielkości miasto Łotwy, położone pomiędzy Moskwą a Kownem, wciąż znajdowało się w rękach Rosjan. Należało ich stamtąd wyprzeć, dlatego „Śmigły” przedstawił plan zaangażowania większych sił do operacji zdobycia Dyneburga. Jego zatwierdzenie nie było jednak łatwą sprawą.

Problemy stwarzał bowiem bezpośredni zwierzchnik „Śmigłego”, dowódca Frontu Litewsko-Białoruskiego, generał dywizji Stanisław Szeptycki. Zawodowy oficer wywodzący się z armii austriackiej i znacznie starszy od zdobywcy Wilna uważał go za niepoważnego amatora. Podobne zresztą zdanie miał o innych oficerach wywodzących się z Pierwszej Brygady, którym zarzucał, że nie posiadają wykształcenia wojskowego. Dużą rolę odgrywały także osobiste ambicje – Szeptycki chciał dowodzić uderzeniem na Dyneburg osobiście, a „Śmigłemu” pozostawić wyłącznie nadzór nad 1 Dywizją Piechoty Legionów.

Inny problem stanowiła sytuacja etniczna na terenie planowanej akcji. Miasto leżało po północnej stronie Dźwiny, a rozgraniczenie pomiędzy dawnymi guberniami rosyjskimi znajdowało się kilka kilometrów na południe od rzeki. Zwarte polskie osadnictwo sięgało jednak Dźwiny, naszych rodaków było tam cztery razy więcej niż Łotyszy. Mimo to rząd w Rydze uważał, że granica ich państwa powinna przebiegać zgodnie z rozgraniczeniem guberni, dlatego wkroczenie Polaków do Dyneburga mogło zostać potraktowane jako agresja. Tym bardziej że łączność dyplomatyczna pomiędzy Polską a Łotwą mocno szwankowała – kontakt drogą lądową blokowali bolszewicy, zaś Bałtyk kontrolowała Wielka Brytania. Prowadziła ona własną politykę, a Polska i Łotwa nie posiadały jeszcze własnej floty.

Ekspedycja na Dyneburg powinna więc zatrzymać się na Dźwinie. Ustalono także, że jeżeli sytuacja doprowadziłaby do jej przekroczenia, Polacy nie mogą wchodzić do miasta. Dowództwo ostatecznie powierzono „Śmigłemu” – otrzymał pod komendę dwie dywizje piechoty i Brygadę

Jazdy. Działania rozpoczęto 27 września i już po dwóch dniach wojsko dotarło do Dźwiny, zatrzymując się na jej brzegu. „Śmigły” pozostawił tam jedną dywizję piechoty, a z resztą sił powrócił do Wilna, obawiając się ataku Litwinów na miasto. Przy okazji warto dodać, że podczas walk o przyczółek mostowy w Dyneburgu szczególnie zasłużył się pewien młody podporucznik z Krakowa, August Emil Fieldorf…

W grudniu udało się wreszcie nawiązać bezpośrednią łączność z rządem łotewskim. Politycy z Rygi nie mieli oporów przeciwko wspólnej akcji przeciwko bolszewikom, ustalono, że rozpocznie się ona na początku stycznia następnego roku. Polaków miała wspomagać łotewska dywizja atakująca od północy.

„Śmigły” po mistrzowsku wykorzystał otrzymany czas. Uzupełniono stany osobowe oddziałów, żołnierze zdążyli się zregenerować. Dostarczono zimowe mundury i zapasy amunicji, a w akcji planowano wykorzystać również czołgi – miała to być pierwsza duża akcja zbrojna Wojska Polskiego z ich użyciem. Ponadto zadbano o przygotowanie sztabowe: plan był jasny i precyzyjny, a dowódcy znali swoje zadania.

Ofensywa rozpoczęła się 3 stycznia i chociaż temperatura spadła poniżej -30 stopni Celsjusza, została jednak przeprowadzona wręcz w modelowy sposób. Polska artyleria zneutralizowała rosyjskie linie obronne, bez trudu sforsowano zamarzniętą rzekę, a w mieście rolę bezpośredniego wsparcia przejęły czołgi. Postępy atakujących były tak szybkie, że miasto zostało zdobyte, zanim dotarli do niego Łotysze. W kolejnych dniach bolszewików wyparto dalej na wschód, a pod koniec miesiąca wojska sprzymierzonych dotarły do dawnego rozgraniczenia pomiędzy gubernią kurlandzką a pskowską, powszechnie uważanego za granicę młodego państwa łotewskiego.

28 stycznia 1920 roku „Śmigły” został nagrodzony najwyższym łotewskim odznaczeniem – Orderem Lāčplēsisa (Pogromcy Niedźwiedzia) I klasy. Takie samo odznaczenie otrzymał przybyły do miasta Piłsudski, który z kolei udekorował generała przyznanym już wcześniej Virtuti Militari V klasy. Stanisław Szeptycki musiał się zadowolić Orderem Pogromcy Niedźwiedzia II klasy, co oczywiście nie wzbudziło jego specjalnego entuzjazmu…

Ukraińskie dylematy

Na początku 1920 roku sytuacja Rzeczypospolitej powoli ulegała normalizacji. W lutym polska armia obsadziła Pomorze przyznane Polsce na mocy ustaleń traktatu wersalskiego, a na terenach spornych z Niemcami, Czechami i ze Słowacją miały się odbyć plebiscyty. Wyjaśniała się również sytuacja na wschodzie: Wojsko Polskie rozbiło Zachodnio-Ukraińską Republikę Ludową, Rosjanie – zarówno czerwoni, jak i biali – doprowadzili kijowską Ukraińską Republikę Ludową na skraj upadku. W rosyjskiej wojnie domowej sukces osiągnęli bolszewicy.

Piłsudski i jego współpracownicy za większego wroga niepodległości Polski uważali białych Rosjan. Anton Denikin i jemu podobni nigdy bowiem nie ukrywali, że ich celem jest odbudowa „jednej i niepodzielnej Rosji". Biali generałowie w najlepszym wypadku aprobowali powstanie państwa polskiego w ścisłych granicach etnograficznych (nawet bez Białegostoku) – w tym układzie nie było miejsca dla niepodległej Ukrainy czy państw bałtyckich, mających oddzielać Polskę od Rosji. Ponadto biała Rosja natychmiast uzyskałaby poparcie swoich długoletnich sojuszników: Francji i Wielkiej Brytanii. Zresztą gdyby spełniono wszystkie postulaty białych, okrojona Polska weszłaby w skład odrodzonego Imperium Rosyjskiego. Wówczas wszyscy w Europie byliby zadowoleni: Francuzi mieliby sojusznika szachującego państwo niemieckie, Brytyjczycy odbudowaliby kontakty handlowe, natomiast Niemcy nie straciliby tak wielu ziem na wschodzie. A „w Warszawie znów panowałby porządek" – jak po stłumieniu powstania styczniowego powiedział angielski ambasador…

Piłsudski uważał jednak system komunistyczny za przejściowy eksperyment, bez realnych szans na przetrwanie. W interesie Polski leżał zamęt w Rosji – maksymalne osłabienie imperium pozwalające na stworzenie systemu bezpieczeństwa na wschodniej granicy. Dlatego – chociaż państwa ententy nalegały na udzielenie pomocy Denikinowi – Komendant kluczył i znajdował przeciwwskazania.

Jeszcze wiosną 1919 roku pojawił się w Polsce Julian Marchlewski, który posiadał doskonałe znajomości w sferach rządowych, sięgające początku ruchu socjalistycznego. Skontaktował się z Józefem Beckiem – wiceministrem spraw wewnętrznych (ojcem przyszłego ministra spraw zagranicznych), swoim dawnym współpracownikiem z czasów Związku Robotników Polskich. Po wstępnych rozmowach przekroczył granicę frontu, a po uzyskaniu szerokich pełnomocnictw od Lenina przybył do

Białowieży na nieformalne rokowania. Dyskretne negocjacje kontynuowano w Mikaszewiczach na Polesiu (jako rozmowy Polskiego i Rosyjskiego Czerwonego Krzyża). Strona polska zobowiązała się do zatrzymania wojsk na zajmowanych aktualnie pozycjach, proponując Sowietom wycofanie się o 10 kilometrów w celu stworzenia pasa neutralnego. Od bolszewików zażądano natomiast przerwania agitacji komunistycznej w armii polskiej oraz nieatakowania sił ukraińskiego atamana Symona Petlury, podkreślając równocześnie poparcie dla łotewskich aspiracji do Dyneburga.

Piłsudskiego interesowała wyłącznie polska racja stanu, zignorował zatem żądanie ententy, by zaatakował Armię Czerwoną w okolicach Mozyrza, co Sowieci gorliwie wykorzystali. Denikin po latach żalił się, że z frontu polskiego ściągnięto 40 tysięcy żołnierzy, których udział w walkach rozstrzygnął losy wojny. Niedoszły dyktator białej Rosji poniósł klęskę i udał się na emigrację.

Naczelnik ze spokojem przyglądał się rozwojowi sytuacji – dla niego zarówno biali, jak i czerwoni byli wrogami Polski. Dlatego nie uderzył na Mozyrz, jak sobie tego życzyli Denikin i ententa, lecz zerwał rozmowy z bolszewikami. Realizując własną politykę, nie zamierzał się krępować żadnymi zobowiązaniami i rezygnować z planów.

Komendant jednak wiedział, że starcie z bolszewikami jest nieuniknione. Politycy z Kremla grali na zwłokę, składając stronie polskiej atrakcyjne propozycje pokojowe. W rzeczywistości dążyli do izolacji Ukrainy, której tylko Polska mogła udzielić pomocy. A dla Piłsudskiego niezależny rząd w Kijowie był podstawą bezpieczeństwa naszego kraju. Zresztą Sowieci nie zamierzali poprzestać wyłącznie na Ukrainie. Polska była dla nich nie tylko konkurentem do wpływów nad Dnieprem, lecz również odgradzała Rosję od zrewoltowanych Niemiec. A to uniemożliwiało eksport rewolucji w Europie.

Losy konfliktu polsko-bolszewickiego miały się rozstrzygnąć na Ukrainie, a Polacy mieli wystąpić w roli protektorów Ukraińskiej Republiki Ludowej i jej przywódcy, Symona Petlury. Na przełomie 1919 i 1920 roku było to jednak państwo nierokujące żadnych szans na przetrwanie, pod jego władzą znajdowały się tylko Kamieniec Podolski i skrawek ziem wzdłuż Zbrucza. Za rzeką rozciągały się już tereny obsadzone przez Wojsko Polskie. Petlura doskonale zdawał sobie sprawę, że w tej sytuacji tylko Piłsudski i jego podwładni mogą go uratować.

Przygotowania do akcji podjęto jeszcze zimą, a rokowania zakończyły się w nocy z 21 na 22 kwietnia podpisaniem „umowy politycznej pomiędzy Polską a Ukraińską Republiką Ludową”. Dwa dni później zawarto konwencję wojskową, Petlura zobowiązał się nie tylko do współpracy i wspólnej walki przeciwko Rosjanom, lecz również do wystawienia 300-tysięcznej armii. Na razie jednak jego siły zbrojne liczyły zaledwie kilka tysięcy żołnierzy, zatem Ukrainę wyzwolić musieli Polacy. W zamian uzgodniono, że wschodnia granica Polski przebiegnie wzdłuż Zbrucza.

Kijów po raz drugi

Sukcesy na froncie przyniosły „Śmigłemu” nie tylko odznaczenia, lecz także drugą gwiazdkę generalską i renomę doskonałego oficera liniowego. Nic zatem dziwnego, że jeszcze w marcu opuścił Wilno i wziął udział w planowaniu akcji zbrojnej na Ukrainie. Wciąż pozostawał dowódcą 1 Dywizji Piechoty Legionów, teraz miał dowodzić również niedoświadczoną 7 Dywizją Piechoty oraz 3 Brygadą Kawalerii. Zgrupowanie, określane jako Grupa Operacyjna „Śmigłego”, było podporządkowane 3 Armii Wojska Polskiego, którą osobiście dowodził Piłsudski. Gdy jednak na początku maja obowiązki Naczelnika Państwa wezwały go do Warszawy, zastąpił go „Śmigły”.

Wyprawa kijowska 3 Armii rozpoczęła się 25 kwietnia. Jako pierwszy zajęto Żytomierz leżący 80 kilometrów za linią frontu. Udało się zerwać komunikację pomiędzy formacjami Armii Czerwonej, w efekcie część z nich wycofywała się do Kijowa, a reszta na południowy wschód.

Edward Śmigły-Rydz miał już doświadczenie w zdobywaniu dużych miast (Wilno, Dyneburg), zatem spokojnie przygotowywał się do wyzwolenia Kijowa. Okazało się to jednak stratą czasu, Rosjanie bowiem zniknęli z miasta i rankiem 8 maja wjechał tam tramwajem (!) pierwszy patrol polskich ułanów. Następnego dnia „Śmigły” przyjął na Kreszczatiku, głównej ulicy ukraińskiej stolicy, defiladę podległych mu oddziałów. Bez problemu opanowano też mosty na Dnieprze, a polski dowódca po wielu miesiącach rozłąki spotkał się z Martą Thomas-Zaleską.

Wprawdzie osiągnięto zamierzony cel, jednak zwycięstwo nie było pełne. Nie rozbito bowiem armii bolszewickiej, wzięto do niewoli niewielu jeńców. Jeszcze gorsza okazała się bierność społeczeństwa ukraińskiego – administracja Petlury nie miała szans na odbudowanie struktur

państwowych. Wprawdzie ogłoszono pobór do wojska, lecz brakowało urzędników do jego przeprowadzenia i wojsko ukraińskie zostało zasilone jedynie nielicznymi ochotnikami. Co gorsza, na ziemiach wyzwolonych spod rosyjskiej okupacji władzę przejmowali lokalni watażkowie nierespektujący poleceń władz centralnych i niezamierzający dzielić się posiadanymi zasobami.

„Śmigły” zyskał jednak sławę zdobywcy Kijowa, a ostatnim wodzem Rzeczypospolitej, który dokonał identycznego wyczynu, był znany z Potopu hetman Janusz Radziwiłł w 1651 roku. Generał zdawał sobie sprawę, że chociaż zajęcie ukraińskiej stolicy wzbudziło ogromny entuzjazm w Polsce, nie miało jednak większego wpływu na losy wojny. Nad Dniepr zaczęły bowiem docierać posiłki bolszewickie ściągane z ogromnych obszarów Rosji, w tym również Armia Konna Siemiona Budionnego.

Mistrzowski odwrót

W polskiej literaturze historycznej możemy mnożyć przykłady „moralnych zwycięstw” czy też „zwycięskich odwrotów”. Tak naprawdę to chyba tylko jedna sytuacja z naszych dziejów zasługuje na to drugie określenie, szkoda jednak, że pozostaje niemal całkowicie nieznana. Mało kto zdaje sobie bowiem sprawę, że gdyby nie mistrzowskie (nie ma w tym słowie żadnej przesady) dowodzenie „Śmigłego” podczas odwrotu z Kijowa, losy bitwy warszawskiej zapewne potoczyłyby się inaczej. A wraz z nimi – także losy Europy i świata.

Front polsko-bolszewicki składał się z dwóch części rozdzielonych bagnami Polesia. Z północy, z terenów litewsko-białoruskich, nadchodziły informacje o olbrzymiej koncentracji sił rosyjskich przygotowujących się do potężnej ofensywy. W Warszawie zadecydowano o skierowaniu tam wszystkich możliwych wzmocnień, także z Ukrainy. Na południu miały pozostać znacznie skromniejsze siły obronne, niestety mobilizacja poborowych do oddziałów Petlury kompletnie się nie powiodła i polscy dowódcy zostali praktycznie pozostawieni sami sobie.

Ofensywa rosyjska na Ukrainie rozpoczęła się 26 maja 1920 roku, a jej głównym celem było zniszczenie 3 Armii generała Edwarda Śmigłego-Rydza stacjonującej wokół Kijowa oraz odepchnięcie 6 Armii (generał Wacław Iwaszkiewicz) zajmującej pozycje na południe od miasta.

Sowietami dowodził Aleksandr Jegorow, którego komisarzem politycznym był Józef Stalin. Planowano, że część sił rosyjskich zaatakuje Kijów i zwiąże „Śmigłego” walką, a w tym czasie reszta bolszewickich oddziałów otoczy miasto. Natomiast Armia Konna Budionnego miała za zadanie powstrzymać wszelkie próby odsieczy dla Kijowa.

Siły rosyjskie były trzykrotnie liczniejsze. Wprawdzie ich przewagę ilościową Polacy częściowo niwelowali lepszym wyszkoleniem i dobrą artylerią, jednak praktycznie każde z czterech bolszewickich ugrupowań atakujących Kijów powinno samodzielnie poradzić sobie z wojskami „Śmigłego”. Na szczęście generał miał po raz kolejny pokazać swoją prawdziwą wartość na froncie.

Przez pierwsze 10 dni postępy Sowietów były minimalne, „Śmigły” umiejętnie manewrował odwodami, wspierając zagrożone odcinki. Z tego powodu Naczelne Dowództwo w Warszawie zrezygnowało nawet z przysłania pod Kijów dodatkowych dwóch dywizji, kierując je w zamian na front białoruski. Były to jednak tylko przejściowe sukcesy, a niebawem „Śmigły” znalazł się w bardzo trudnej sytuacji.

Podstawowy problem stanowił bowiem kompletny brak łączności – „Śmigły” nie miał kontaktu ani z dowodzącym Frontem Ukraińskim generałem Antonim Listowskim, ani także z Piłsudskim w Warszawie. Używane w tych czasach telefony polowe nie pozwalały na rozmowy dalekodystansowe, telegraf drutowy nie działał, radiostacja nie miała zasięgu, a samoloty nie mogły wystartować z błotnistych lotnisk. Do „Śmigłego” docierały zaledwie strzępki informacji, zatem uznał, że aktualne są rozkazy z końca maja, czyli obrona Kijowa za wszelką cenę i oczekiwanie na posiłki. O tym, że wysłano je na Białoruś, „Śmigły” nie miał pojęcia.

Tymczasem Armia Konna przerwała polski front na styku pomiędzy 3 a 6 Armią – informacja o tym dotarła do Kijowa dopiero po 48 godzinach. Oznaczało to, że miasto mogło zostać odcięte. Na domiar złego niebawem nadeszła też wiadomość, że dowództwo frontu opuściło już swoją kwaterę w Żytomierzu. Oznaczało to prawdziwą tragedię dla oddziałów „Śmigłego”, gdyż przez Żytomierz położony o 130 kilometrów na zachód od Kijowa biegło bezpośrednie połączenie drogowe z Polską. W tej sytuacji pozostawał wyłącznie drugi szlak ewakuacyjny – droga i linia kolejowa prowadząca przez Korosteń leżący bardziej na północy.

„Śmigły” przywykł jednak do wykonywania rozkazów, wiedział też, że zapasy wystarczą mu na dwa tygodnie. Miał polecenie bronić miasta i zamierzał je respektować, tym bardziej że obiecane wzmocnienie miało przybyć do 15 czerwca. Drogą kolejową przez Korosteń rozpoczął ewakuację rannych, chorych i cywilów. Wówczas otrzymał od Listowskiego rozkaz opuszczenia Kijowa i uderzenia na Żytomierz.

Generał uznał to polecenie za niewykonalne i pamiętając o rozkazach od Naczelnego Wodza, zażądał jego powtórzenia przez dowództwo w Warszawie. Specjalnie w tym celu wysłano samolot z meldunkiem, a „Śmigły” sugerował, że szanse powodzenia ataku na Żytomierz są minimalne, poza tym przez miasto nie prowadziła linia kolejowa. W tej sytuacji musiałby porzucić tabory, rannych i cywilów, a odwrót zamieniłby się w ucieczkę. Twierdził także, że w Kijowie utrzyma się wystarczająco długo, by zdążyła nadejść odsiecz.

Kolejny rozkaz dotarł do Kijowa (samolotem) po południu 9 czerwca, podpisał go szef Sztabu Generalnego, generał Stanisław Haller. Nakazywano przeprowadzić odwrót w kierunku na Korosteń, co było możliwe do wykonania. „Śmigły” zrozumiał, że nie dostanie żadnych wzmocnień, i zarządził wysadzenie mostów na Dnieprze. Ta decyzja potwierdza, że zdawał sobie sprawę, iż ewakuacja Kijowa ma charakter ostateczny. Przez ostatnie sześć lat miasto przechodziło kilkanaście razy z rąk do rąk, ale nikt nigdy nie zniszczył przepraw mostowych. Wszyscy okupanci mieli bowiem nadzieję, że jeszcze powrócą do ukraińskiej stolicy, i nie chcieli sobie utrudniać życia.

Edward Śmigły-Rydz opuścił Kijów następnego dnia po południu. Jechał przez ulice miasta odkrytym samochodem, kierowca prowadził pojazd bardzo powoli, by nie wzbudzać niepotrzebnej paniki. Przez kilka kolejnych godzin generał zajmował się organizacją szyku i kolumn marszowych. Jeszcze przed zapadnięciem zmroku wojsko zaczęło wychodzić z miasta.

Odwrót przypominał prawdziwy exodus. Na czele szyku, wzdłuż torów kolejowych maszerowała 1 Dywizja Piechoty Legionów. Za nią kilometrami ciągnęły się tabory wojskowe i cywilne, wśród których straż pełniła ukraińska 6 Dywizja. Większość cywilów – zarówno obywatele Kijowa narodowości polskiej, jak i Ukraińcy oraz przedstawiciele dyplomatyczni przy rządzie Petlury – podróżowała kilkudziesięcioma pociągami jadącymi w tempie marszu pieszego. Od północy kolumnę

osłaniały pułki strzelców podhalańskich pułkownika Józefa Rybaka, a od południa 7 Dywizja Piechoty.

Przed południem 11 czerwca, zaledwie 20 kilometrów od Kijowa, natknięto się na bolszewików. Była to 25 Dywizja Strzelców, doborowa jednostka dowodzona niegdyś przez legendarnego Wasilija Czapajewa. Rosjanie obsadzali most kolejowy na rzeczce Zdwiż, blokując odwrót „Śmigłego". W normalnych warunkach opanowano by przeprawę, korzystając z przewagi w artylerii, niestety – nie można było użyć dział, gdyż pociski zniszczyłyby most i pociągi nie mogłyby przejechać dalej. Dlatego dopiero pod wieczór polskie oddziały zdobyły przeprawę i opanowały stację w pobliskiej Borodziance. Miejscowość ta pozostała jednak w rękach rosyjskich i prowadzono stamtąd ogień uniemożliwiający saperom naprawę uszkodzonego mostu.

Następnego dnia o świcie Polacy wznowili atak. Do walki przyłączyły się oddziały wysłane przez „Śmigłego" w górę rzeczki, które po jej sforsowaniu obeszły pozycje bolszewików. Pośpiech był konieczny, gdyż w kierunku placu boju szły sowieckie posiłki. Zresztą Rosjanie kontratakowali, nie zważając na straty – jeden z bolszewickich pułków właściwie przestał istnieć, rozstrzelany ogniem ponad setki karabinów maszynowych i kilkunastu dział.

Bojem piechoty legionowej pod Borodzianką dowodził pułkownik Stefan Dąb-Biernacki i znakomicie się spisywał. „Śmigły" nie musiał też się martwić o południowe skrzydło, gdzie marsz odbywał się bez zakłóceń. Natomiast grupa pułkownika Rybaka natknęła się na kolejne jednostki sowieckie i odeszła w kierunku południowym. W tej sytuacji „Śmigły" nakazał pułkownikowi jak najszybsze przybycie pod Borodziankę i wzmocnienie polskich sił. Chcąc ułatwić wykonanie rozkazu, polecił kolumnom taborowym zejście z drogi i przebijanie się leśnymi szlakami na zachód. Okazało się to szczęśliwym posunięciem – tabory nie natknęły się już na Rosjan i kilkanaście godzin później dołączyły do wojsk.

Nadejście podhalańczyków pułkownika Rybaka pozwoliło wreszcie odepchnąć Rosjan od mostu, który stał się przejezdny około godziny 18. Jako pierwszy przekroczył go pociąg pancerny „Paderewski", a za nim kolejne składy ewakuacyjne. Jednak dalsza wędrówka okazała się niemożliwa – całodobowy bój bardzo osłabił żołnierzy. Na szczęście równie wyczerpani byli bolszewicy, dlatego noc upłynęła spokojnie.

Rankiem zaatakowali Sowieci, doszło do jeszcze bardziej zażartych walk niż poprzedniego dnia. W pewnej chwili polskim karabinom maszynowym dosłownie zaczęły się przegrzewać lufy, a działom brakowało już amunicji. Tym razem decydująca okazała się kondycja polskiego piechura: Dąb-Biernacki zebrał odpowiednio silne odwody, a „Śmigły" rzucił je do boju we właściwym momencie. Legioniści wyparli rosyjską piechotę, zaś artyleria po uzupełnieniu amunicji rozbiła czerwoną konnicę. W południe bitwa była zakończona, Sowieci zostali zmuszeni do panicznego odwrotu na północ. „Śmigły" zakazał jednak pościgu, nie zapomniał bowiem, że jego celem było nie rozbicie wroga, lecz wyprowadzenie wojsk i cywilów w bezpieczne miejsce.

15 czerwca 3 Armia nawiązała bezpośrednią łączność z zapleczem, a trzy dni później osiągnęła rejon Korostenia, co oznaczało zakończenie pierwszej fazy odwrotu. Przy okazji jej południowe skrzydło natknęło się na jedną z konnych dywizji Budionnego i ją rozproszyło. Okazało się jednak, że zniszczenie Konarmii jest tak samo trudne jak zagonów tatarskich przed wiekami. Chociaż Polacy mieli przewagę ognia, to w chwili porażki podwładni Budionnego rozpraszali się, a potem ponownie odzyskiwali sprawność bojową.

Wymarsz z Kijowa i odejście 150 kilometrów na zachód dało „Śmigłemu" kilka dni wytchnienia. Odbudowano wówczas zdolność bojową, dokonano także reorganizacji dowodzenia. 15 czerwca „Śmigły" przestał być formalnym dowódcą 1 Dywizji Piechoty Legionów i mógł się skupić na dowodzeniu 3 Armią. Nie był to jednak koniec zmian – kilka dni później powierzono mu dowodzenie całym Frontem Ukraińskim, od tej chwili zaczęto używać określenia Front Śmigłego-Rydza, a później Front Południowo-Wschodni. „Śmigły" po raz kolejny pokazał swoją wyższość nad starszymi od niego oficerami z armii zaborczych. Warto też zapamiętać nazwiska oficerów podległych „Śmigłemu", którzy towarzyszyli mu w tym czasie. Poza wspomnianymi już Dębem-Biernackim i Rybakiem byli to: Juliusz Rómmel, Władysław Bortnowski i Tadeusz Kutrzeba. Czyli oficerowie, którzy mieli odgrywać pierwszoplanową rolę podczas odwrotu w trakcie wrześniowych walk 1939 roku…

Pierwszą decyzją „Śmigłego" jako dowódcy frontu była reorganizacja jazdy. Chociaż nie uważał, by miała ona zdolność do wykonywania samodzielnych operacji, to jednak do pokonania Konarmii potrzebna była podobna formacja. Dlatego generał wycofał na zachód znużone i zmęczone

pułki ułanów i połączył je w 1 Dywizję Jazdy, którą dowodzić miał Rómmel.

Tymczasem jednak sowiecki front przesuwał się na zachód – od Polesia po Dniestr. Polska 6 Armia generała Iwaszkiewicza wraz z sojuszniczymi wojskami ukraińskimi wycofały się w kierunku granicy państwowej na Zbruczu, a od północy, od strony Polesia, nadchodziły kolejne siły sowieckie. Ogółem bolszewicy mieli dwukrotną przewagę w dywizjach piechoty, a jeszcze większą w kawalerii. Wprawdzie uderzenie sowieckie na Białorusi zostało odparte, ale gdy 4 lipca tamtejsze siły pod wodzą Michaiła Tuchaczewskiego rozpoczęły nową ofensywę, odniosły ogromny sukces. Polskie wojska cofały się w tempie znacznie szybszym niż na Ukrainie i niebawem Sowieci stanęli na granicy dawnego Królestwa Kongresowego.

Tymczasem na początku sierpnia „Śmigłemu” udało się osaczyć Budionnego w Brodach. Jednocześnie na skrzydłach do uderzenia przeszły 3 i 6 Armia, wiążąc wojska rosyjskie i nie pozwalając im przyjść z pomocą Armii Konnej. Niestety, wówczas do sztabu 3 Armii, w którym przebywał Józef Piłsudski, dotarły wiadomości, że Władysław Sikorski utracił Brześć nad Bugiem, co oznaczało, że Armia Czerwona wyszła na tyły Frontu „Śmigłego”. W efekcie, zamiast zadać ostateczny cios Armii Konnej, „Śmigły” musiał przerwać walkę i odejść z dywizjami piechoty na zachód.

Pamięć o znakomicie przeprowadzonym odwrocie spod Kijowa jednak pozostała, a potwierdzeniem tego faktu była rozmowa z marca 1942 roku pomiędzy Józefem Stalinem a generałem Władysławem Andersem. Kremlowskiemu dyktatorowi najwyraźniej sprawa mocno zapadła w pamięć, gdy bowiem rozmowa zeszła na Śmigłego-Rydza, zauważył, że był on „niezłym dowódcą, w 1920 roku dobrze dowodził na Ukrainie”[1]. Rzadko zdarzało się, by Stalin wypowiadał się pozytywnie o swoich przeciwnikach, szczególnie jeżeli doznał z ich ręki niepowodzeń…

Przez całe lata trwała (i zapewne jeszcze długo potrwa) dyskusja na temat bitwy warszawskiej. Zawsze pada wówczas sakramentalne pytanie – kto był ojcem zwycięstwa? Kandydatów jest wielu: Józef Piłsudski, który bitwą dowodził; jego szef sztabu Tadeusz Rozwadowski; Maxime Weygand, który był słynnym gościem z zagranicy; a nawet Józef Haller, nominalny dowódca Armii Ochotniczej. Jednak prawdziwym architektem polskiego sukcesu był Edward Śmigły-Rydz. Gdyby jego wojska uciekały przed Jegorowem i Budionnym w takim samym tempie, jak na Białorusi

wycofywano się przed Tuchaczewskim, Warszawa bez problemu zostałaby zdobyta. Nie byłoby bowiem ani sił do wyprowadzenia uderzenia znad Wieprza, ani miejsca, skąd uderzenie to można by wyprowadzić.

Najważniejsze dni Europy i świata

U progu bitwy warszawskiej dywizje „Śmigłego” były jedynymi, które zachowały pełną wartość bojową i mogły zostać wykorzystane, by zadać druzgocący cios Sowietom. Doskonale zdawał sobie z tego sprawę Piłsudski, dlatego powierzył im uderzenie znad Wieprza na południowe skrzydło wojsk rosyjskich atakujących Warszawę. To miało zadecydować o losach bitwy, a przy okazji całego kontynentu.

6 Armię podległą Iwaszkiewiczowi wysłano na południe z zadaniem obrony Małopolski i Lwowa. Natomiast 3 Armia „Śmigłego” miała się oderwać od nieprzyjaciela i szybkim marszem dotrzeć nad Wieprz, by tam dołączyć do 4 Armii generała Leonarda Skierskiego. Z ich połączenia powstał nowy Front Środkowy – główna siła uderzeniowa przyszłej ofensywy. Jednak „Śmigły” nie mógł się skoncentrować wyłącznie na swoim odcinku, gdyż poważnie zachorował generał Iwaszkiewicz, wobec czego musiał przejąć część jego obowiązków. Było to konieczne, gdyż generał Józef Dowbór-Muśnicki, wyznaczony na zastępcę chorego dowódcy 6 Armii, odmówił objęcia stanowiska.

Najważniejsze było jednak przerzucenie wojsk z Wołynia nad Wieprz, gdzie miały stoczyć śmiertelny bój z Tuchaczewskim. Odwrót w ciągłej walce przebiegał planowo, 8 sierpnia rozbito rosyjską 24 Dywizję Strzelecką, po czym obie dywizje „Śmigłego” drogą kolejową dotarły do Lublina. Przy okazji generał dowiedział się, że w nadchodzącej bitwie będzie dowodził jedynie 3 Armią, a dowodzenie Frontem Środkowym ma przekazać Wodzowi Naczelnemu.

Polska ofensywa odniosła fenomenalny sukces. Rosjanie nie spodziewali się bowiem uderzenia znad Wieprza, szczególnie przeprowadzonego przez doborowe polskie formacje. Pierwszego dnia ofensywy pokonano ponad 50 kilometrów, a przez następne dni ponad 300, docierając nad granicę z Prusami Wschodnimi i odcinając drogę odwrotu Sowietom wycofującym się spod Warszawy.

Chwila oddechu pozwoliła na reorganizację – wojska „Śmigłego” otrzymały nazwę 2 Armii, dołączono do niej kolejną dywizję piechoty

złożoną z pułków podhalańskich walczących wcześniej pod jego dowództwem w Kijowie oraz dwie brygady kawalerii. Reorganizacja (nie tylko w oddziałach „Śmigłego”) była konieczna, gdyż w polskim Sztabie Generalnym zaczęto przygotowywać kolejną ofensywę. Planowano ostateczne rozbicie bolszewików i odzyskanie okupowanych przez nich ziem na wschodzie. Reorganizacja, marsze, odpoczynek, naprawa dróg i linii kolejowych trwały trzy tygodnie. Bezpośrednie przygotowania do bitwy odbywały się w tajemnicy: wojska zmieniały lokalizację tylko pod osłoną nocy, stacjonowały w lasach, a żołnierzom przekazano, że będą brali udział w ograniczonej akcji wyzwalania Suwalszczyzny okupowanej przez Litwinów.

Operacja niemeńska rozpoczęła się 20 września. 2 Armia „Śmigłego” stanowiła w niej najważniejsze zgrupowanie Wojska Polskiego wyposażone także w ciężką artylerię, co miało duże znaczenie przy zdobywaniu umocnionych odcinków przeciwnika. Zadaniem „Śmigłego” było uderzenie pomiędzy granicą Republiki Litewskiej a Grodnem, zdobycie przeprawy na Niemnie i dotarcie do Lidy leżącej 100 kilometrów za linią frontu. Tam miał się połączyć z nadchodzącymi od południa dywizjami 4 Armii, zaciskając pętlę okrążenia wokół wojsk Tuchaczewskiego.

Na początku rozgorzały zacięte walki o Grodno, polski atak zaskoczył Rosjan, gdy kończyli przygotowania do ofensywy. Żadnej ze stron nie udało się zdobyć przewagi, chociaż Tuchaczewski skierował do walki niemal wszystkie swoje siły, w tym – dywizje ściągnięte ze skrzydeł.

Okazało się to poważnym błędem, gdy czwartego dnia walk polska 4 Armia uderzyła na południe od Grodna i bez problemu przebiła się przez front. O wyniku bitwy zadecydowała jednak akcja na północy, gdzie zaatakowały dwie polskie dywizje piechoty i dwie brygady kawalerii. Z rąk Litwinów wyzwolono Sejny, a następnie obsadzono mosty w Druskiennikach. Wprawdzie Piłsudski nalegał, by zawrócić na południe i przyjść z pomocą wojskom atakującym Grodno, jednak „Śmigły” zdecydował się realizować pierwotny plan i maszerować w kierunku Lidy.

O wydarzeniach na północy Rosjanie dowiedzieli się ze znacznym opóźnieniem. Wprawdzie Tuchaczewski usiłował skierować tam dwie dywizje walczące do tej pory pod Grodnem, jednak manewr przerodził się w paniczną ucieczkę. To rozwiązało ręce „Śmigłemu” – atak na Lidę okazał się jak najbardziej uzasadniony. Wyjście na tyły bolszewików

spowodowało, że Armia Czerwona rozpoczęła generalny odwrót. Niebawem Grodno zostało zdobyte.

Do Lidy jako pierwsza dotarła 1 Dywizja Piechoty Legionów, jej żołnierze niemal natychmiast musieli rozpocząć obronę miasta przed wycofującymi się spod Grodna Sowietami. Lida była szturmowana cztery razy, jednak sowieckie siły nie potrafiły współpracować, a większość ich żołnierzy bardziej interesowała się dalszą ucieczką niż walką. Pomimo to w ręce polskie wpadło ponad 10 tysięcy jeńców oraz znaczna ilość sprzętu wojskowego.

Tuchaczewski nie zdołał już powstrzymać odwrotu swoich wojsk. Rosjanie wycofywali się na wschód, a za nimi rozwijał się polski pościg. Jednak coraz większą rolę zaczęły odgrywać zmęczenie i jesienna pogoda. Ostatecznie zawieszenie broni podpisano 18 października – „Śmigły” dotarł już wówczas do granicy z Łotwą, a 4 Armia zdobyła Mińsk Litewski. Niestety, znaczna część tych sukcesów została zmarnowana podczas rozmów pokojowych w Rydze, gdzie zawarto z Sowietami kompromis. Jednak dla większości żołnierzy, a także milionów cywilnych mieszkańców kraju najważniejszy był fakt, że wojna dobiegała końca. Wojsko powoli przechodziło w stan pokojowy i niebawem miała się odbyć wielka demobilizacja. Generał Edward Śmigły-Rydz po siedmiu latach spędzonych na wojnie musiał przestawić się na życie w zupełnie innych warunkach…

Generał Władysław Sikorski jako minister spraw wojskowych przyjmuje defiladę na placu Saskim w Warszawie, listopad 1925 roku

foto Narodowe Archiwum Cyfrowe

Emil
Fieldorf „Nil”
jako generał brygady

foto ADM/WAF

Rozdział 5

Zawsze wierny Marszałkowi

Przed burzą

Traktat w Rydze podpisany w marcu 1921 roku i kończący wojnę polsko-bolszewicką był osobistą porażką Piłsudskiego. Wprawdzie udało się ocalić kraj przed sowieckim podbojem, ale w gruzach legły federacyjne plany Komendanta. Nie powstał blok państw zaprzyjaźnionych z Polską i oddzielających nasz kraj od bolszewików. W zamian dokonano rozbioru Ukrainy i Białorusi, a z Litwą Polska była skłócona. Koniec wojny oznaczał też spadek znaczenia Piłsudskiego jako Wodza Naczelnego, wiadomo było również, że po uchwaleniu konstytucji będzie musiał złożyć urząd Naczelnika Państwa. Faktycznie, ustawa zasadnicza uchwalona rok po zawarciu traktatu w Rydze wprowadziła urząd prezydenta, którego prerogatywy były tak skromne, że Marszałek nawet nie zdecydował się kandydować na to stanowisko. W tej sytuacji w grudniu 1922 roku prezydentem został Gabriel Narutowicz, a po jego śmierci w zamachu – Stanisław Wojciechowski.

Odejście Piłsudskiego ze stanowiska Naczelnika Państwa oznaczało zmniejszenie wpływów całego środowiska legionowego. Wielu oficerów służących na wojnie od 1914 roku odsuwano na dalszy plan, zarzucając im brak formalnego wyszkolenia wojskowego. Ich miejsce zajmowali oficerowie wywodzący się z armii państw zaborczych i teraz to właśnie oni mieli odgrywać najważniejszą rolę w Wojsku Polskim. Walka o władzę, jaka w następnych latach miała się rozegrać w naszym kraju, była zatem spowodowana nie tylko dobrem państwa (jak twierdził Piłsudski) czy osobistymi ambicjami Marszałka (jak uważali jego przeciwnicy), ale również wynikała z troski o byłych podwładnych.

Problem dotyczył zresztą nie tylko oficerów pozostających w służbie – w najgorszej sytuacji znaleźli się legioniści, którzy przeszli do cywila,

bowiem kolejne rządy II RP nie potrafiły się uporać z problemem kombatantów legionowych. Znaczny ich procent stanowili reprezentanci rodzin inteligenckich, do okopów trafili z nieukończonymi studiami czy wręcz przed maturą, na froncie spędzili wiele lat, a po demobilizacji nie nadawali się już do życia w cywilu. Bez wykształcenia czy wyuczonego zawodu nie mogli znaleźć pracy, czasami zresztą odmawiano im zatrudnienia właśnie z powodu legionowej przeszłości. W okopach przystosowali się do specyficznego kultu Piłsudskiego („Komendant wie lepiej"), a teraz nie potrafili zrozumieć zawiłości życia politycznego. To właśnie z tej grupy mieli się wywodzić najwięksi zwolennicy powrotu Marszałka do czynnej polityki.

Oddzielny problem stanowiła sprawa kontroli nad armią. Praktycznie zawsze i wszędzie było to kłopotliwe zagadnienie, którego właściwie nigdzie nie udało się rozwiązać. Wojsko musi być bowiem jednolicie zarządzane, dowódca może być tylko jeden, a jego decyzje bezwzględnie respektowane, gdyż tylko taki układ gwarantuje sprawne funkcjonowanie sił zbrojnych. Jednak na wysokim szczeblu dowodzenia jest to niebezpieczne dla państwa – dowódca armii może bowiem za pomocą posłusznych mu wojsk przejąć władzę. Dlatego w wielu krajach regułą stało się powoływanie Rady Wojennej lub Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych, którego kompetencje lokowano pomiędzy ministrem spraw wojskowych a Sztabem Generalnym.

W niepodległej Polsce takiej instytucji nie było, a sytuację regulował tymczasowy dekret Naczelnego Wodza (Józefa Piłsudskiego) ze stycznia 1921 roku. Decydujące znaczenie miała zyskać Ścisła Rada Wojenna, której przewodniczącym był „generał przewidziany na stanowisko Naczelnego Wodza w czasie wojny", czyli… Piłsudski. Miał mu podlegać między innymi szef Sztabu Generalnego. W grudniu 1922 roku stanowisko to objął także… Piłsudski. Z dekretu wynikało (chociaż nigdzie nie napisano tego wprost), że minister spraw wojskowych powinien być podwładnym przewodniczącego Ścisłej Rady Wojennej. Ale ponieważ późniejsza nominacja Stanisława Szeptyckiego na ministra spraw wojskowych odbyła się bez konsultacji z przewodniczącym Ścisłej Rady Wojennej, stało się to powodem odejścia Komendanta ze stanowiska szefa Sztabu Generalnego czy „usunięciem się do Sulejówka" w połowie 1923 roku.

W tym czasie w parlamencie zdecydowaną przewagę mieli przeciwnicy Piłsudskiego, zatem Marszałek i jego podwładni skoncentrowali się na

pracy nad wizerunkiem Komendanta w społeczeństwie. Marszałek udzielał licznych wywiadów prasowych, negatywnie wypowiadając się o polskich obyczajach parlamentarnych i niedojrzałości sceny politycznej. Źródłem wszelkiego zła miała być endecja – właśnie pod jej adresem Piłsudski kierował najcięższe zarzuty. Jednocześnie otoczenie Komendanta umiejętnie kreowało legendę Legionów, tworząc obraz ludzi bezinteresownie zasłużonych dla kraju, potraktowanych w niepodległej Polsce niesprawiedliwie i okrutnie.

Znakomitą okazją do prowadzenia propagandy okazała się 10. rocznica wymarszu Pierwszej Kompanii Kadrowej z krakowskich Oleandrów, czyli – jak to określano – początek „czynu legionowego". Piłsudczycy rozpoczęli huczne obchody, które znalazły oddźwięk w prasie i przypomniały społeczeństwu o roli Marszałka w odzyskaniu przez Polskę niepodległości.

Natomiast jego przeciwnicy popełniali błędy. Najpoważniejsze konsekwencje miało postępowanie generała Franciszka Latinika, dawnego oficera zawodowego armii austriackiej pełniącego obowiązki dowódcy przemyskiego Okręgu Korpusu. Gdy bowiem odwiedzili go organizatorzy obchodów, nie tylko odmówił użyczenia im asysty wojskowej, lecz w dodatku stwierdził: „Dziś przychodzicie, panowie, z uroczystościami Legionów, a jutro przyjdą Żydzi ze zdobyciem Jerycha"… Przy okazji zauważył także, że legioniści, „którzy byli coś warci, zginęli, ci, którzy żyją, są nic niewarci". Słowa te wywołały skandal, rozdmuchany jeszcze przez żądną sensacji prasę. Dyskusja, a raczej wymiana wyzwisk trwała przez całe lato, a jesienią grupa piłsudczykowskich posłów z Bogusławem Miedzińskim na czele złożyła interpelację w Sejmie. Skierowano ją do ministra spraw wojskowych Władysława Sikorskiego, którego określono tam jako „żyjącego oficera legionowego". Minister nie odpowiedział – dyplomatycznie zachorował na grypę, a później udał się w długą podróż służbową.

W tej sytuacji w sprawę zaangażował się osobiście Edward Śmigły-Rydz pełniący funkcję Inspektora Armii w Wilnie. Oficjalną drogą złożył zażalenie do wiceministra spraw wojskowych Stefana Majewskiego, ten jednak także nie podjął tematu. Wobec tego pod koniec października „Śmigły" złożył dymisję, a jego śladem poszli inni oficerowie legionowi (m.in. Gustaw Orlicz-Dreszer i Felicjan Sławoj Składkowski). Sprawą zajęła się prasa, a jeden z endeckich tytułów stwierdził wręcz, że „na dymisji gen. Rydza-Śmigłego zyska może sztuka malarska", a „na pewno

zaś nic nie straci sztuka wojskowa”. Natomiast gazety piłsudczykowskie atakowały bez pardonu generała Latinika, przy okazji z lubością przekręcając jego nazwisko na „Latrynik”. Ostatecznie dowódca z Przemyśla podał się do dymisji, którą Sikorski skwapliwie przyjął, natomiast dymisję „Śmigłego” i jego kolegów odrzucił…

Wilno po raz drugi

Frontowe sukcesy „Śmigłego” nie mogły pozostać niezauważone przez Piłsudskiego. Po wojnie z bolszewikami przesunął się na pozycję numer jeden wśród polskich generałów, Komendant zdecydowanie zaczął go faworyzować kosztem Sosnkowskiego, który dotychczas uważany był za jego ulubieńca i potencjalnego następcę na stanowisku Naczelnego Wodza. Potwierdza to najlepsza opinia, jaką Piłsudski wystawił „Śmigłemu”, oceniając wszystkich (aż 95!) polskich generałów. Dlatego warto ją zacytować w dłuższych fragmentach:

„Silny charakter żołnierza, mocna wola i spokojny, równy opanowany charakter. (…) Wszystkie zadania, które mu stawiałem jako dywizjonerowi czy dowódcy armii, wypełniał zawsze energicznie, śmiało, zyskując w pracy zaufanie podwładnych, a rzucałem go wówczas na najtrudniejsze zadania. Pod względem mocy charakteru i woli stoi najwyżej spośród generałów polskich. Z podwładnymi jest równy, spokojny, zawsze pewny siebie i sprawiedliwy”[1].

Jednak Piłsudski dostrzegał także pewne wady „Śmigłego”. Zauważył bowiem, że wobec podwładnych z własnego sztabu bywał „kapryśny i wygodny, szukający ludzi, z którymi by nie potrzebował walczyć lub mieć jakiekolwiek spory”. Nie była to najlepsza cecha dla dowódcy, gdyż często dopiero w zajadłych dyskusjach z własnym sztabem pojawiają się najlepsze rozwiązania. Jednak Piłsudski zauważał też, że Śmigły nie zrażał się niepowodzeniami i szybko zyskiwał „duży wpływ moralny na podwładnych”. A do tego „pracował zawsze dla rzeczy, a nie dla ludzi”.

Komendant widział go jako „jednego ze swoich kandydatów na Naczelnego Wodza”, obawiał się jednak, że mógłby „nie dać sobie rady w obecnym czasie z rozkapryszonymi i przerośniętymi ambicjami generałów”. Poza tym nie był przekonany, czy „Śmigły” posiadał „umiejętność mierzenia sił nie czysto wojskowych, lecz z całego państwa swojego i nieprzyjaciela”[2].

Piłsudski był konsekwentny, zatem gdy doszło do reorganizacji sił zbrojnych i powoływano Inspektoraty Armii, generał otrzymał najtrudniejszy przydział. Skierowano go do Wilna, do najpóźniej powstałego Inspektoratu (połowa października 1922 roku). Opóźnienie miało jednak realne przyczyny – do wiosny tamtego roku Wileńszczyzna zachowywała specyficzny status polityczny (tzw. Litwa Środkowa) i dopiero po jej oficjalnym przyłączeniu do Polski można było zorganizować tam polskie siły zbrojne i samorząd.

Łącznie na terenie kraju powołano pięć Inspektoratów Armii, jednak to „Śmigłemu" bez wątpienia przypadło najważniejsze zadanie. Wileńszczyzna była bowiem zagrożona nie tylko przez Sowietów, lecz także przez żądnych odwetu Litwinów. Rząd z Kowna dla odzyskania Wilna sprzymierzyłby się z samym diabłem, a nie tylko z bolszewikami czy Niemcami. Poza tym wojsko nie może funkcjonować w oderwaniu od zaplecza gospodarczego, a sytuacja miasta nad Wilią i jego okolic była wyjątkowo trudna, co wynikało ze specyficznego położenia Wileńszczyzny.

Były to tereny słabo zurbanizowane, niezamożne i pozbawione większego przemysłu, wciśnięte pomiędzy Litwę a ZSRS. Przez poprzednie stulecia tworzyły wraz z nimi jeden organizm gospodarczy, a teraz zostały odcięte szczelnym kordonem granicznym.

„Brak wymiany handlowej z Rosją – relacjonowano na łamach »Przeglądu Wileńskiego« w listopadzie 1925 roku – oraz odcięcie przez Litwę kowieńską od najbliższych portów morskich (Lipawa, Kłajpeda, Królewiec), oddalonych o 300 kilometrów, i konieczność korzystania z Gdańska, oddalonego o 800 kilometrów, spowodowały, że Wileńszczyzna okazała się zamknięta jak w worku na najbardziej oddalonym krańcu Rzeczypospolitej"[3].

Na domiar złego władze centralne pozostawały głuche na protesty przedsiębiorców i handlowców, nie zamierzając interweniować w ich sprawie. Nawet II Rzeczpospolita nie była więc pozbawiona pewnych absurdów gospodarczych, kojarzących się zazwyczaj z epoką PRL-u. Poznań, Lwów czy Kraków leżały ponad 600 kilometrów od Wilna, a powyżej tej odległości opłaty kolejowe za każde dodatkowe 10 kilometrów transportu były nieproporcjonalnie wyższe niż na krótszych trasach. W efekcie towary wileńskie nie mogły być konkurencyjne nawet na rynkach krajowych – w zamian w zastraszającym tempie rosły przemyt i nielegalny handel z Sowietami. Z kontrabandą wiązały się też kwestie

znacznie większego zagrożenia szpiegostwem i dywersją, nic zatem dziwnego, że na Wileńszczyźnie obowiązywały stan wojenny i sądownictwo doraźne.

Inna sprawa, że Polacy z Wilna mieli zresztą ustaloną renomę w innych dzielnicach kraju. Uważano ich za osoby stałe w poglądach i uczuciach, ale niezwykle konserwatywne. Mieczysław Lepecki, adiutant Piłsudskiego, odwiedzając razem z nim Wilno, zauważył, że wilniuki nawet Marszałkowi kłaniali się we właściwy sobie sposób.

„Robili to powoli, systematycznie, jakby z namaszczeniem. Wileński człowiek nie uznaje żywych ruchów ani pośpiechu. Musi długo namyślać się, ale namyśliwszy się, twardo stoi przy powziętym postanowieniu”[4].

Oddzielnym problemem była specyficzna sytuacja narodowościowa miasta i okolicy. W najmłodszym województwie II Rzeczypospolitej Polacy stanowili około 60 proc. ludności, a drugą narodowością pod względem liczebności byli Żydzi (około 30 proc.). Wbrew pozorom mieszkało tam niewielu Litwinów (zaledwie niecałe 2 proc.).

„Miasto Wilno Żydzi europejscy nazywali Jeruzalem Północy – wspominał Czesław Miłosz – i słusznie widzieli w nim swoją stolicę kulturalną. Tutaj mieściły się instytucje naukowe przeniesione następnie do New Yorku, tutaj rozwijał się silny ośrodek hebraistycznego ruchu, a uczniowie tutejszych szkół hebrajskich najbardziej chyba przyczynili się do odrodzenia języka Biblii w Izraelu”[5].

Miejscowi starozakonni zdecydowanie różnili się od Żydów warszawskich, lwowskich czy łódzkich. Nad Wilią nie było praktycznie Polaków semickiego pochodzenia, miejscowi Żydzi nie ulegali asymilacji, a na co dzień posługiwali się językiem rosyjskim, rzadziej jidysz. Unikali również polskich placówek edukacyjnych, w państwowych szkołach uczyły się dzieci Karaimów, Tatarów czy Rosjan, natomiast Żydzi preferowali własne szkolnictwo.

Fatalna sytuacja gospodarcza i bardzo niepewna polityczna powodowały, że miejscowy Inspektor Armii czasami pełnił funkcję zbliżoną do generała-gubernatora zagrożonej prowincji. Zapewne zresztą dlatego Piłsudski uznał, że „Śmigły” będzie właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Faktycznie, po raz kolejny nie zawiódł Marszałka, a we wrześniu 1924 roku otrzymał „jednoosobowe kierownictwo akcji przeciwpartyzanckiej” na obszarze „województw: białostockiego, nowogródzkiego, poleskiego i okręgu wileńskiego”. Wiązało się to z uprawnieniami do wydawania

zarządzeń „władzom administracyjnym w zakresie bezpieczeństwa i spokoju publicznego oraz dysponowania całością sił zbrojnych na tych terenach”[6].

Nietypowy związek

Marta Thomas-Zaleska opuściła Kijów razem z wojskami „Śmigłego”. Zamieszkała w Warszawie, a generał wystąpił dla niej o Krzyż Walecznych za zasługi dla ojczyzny. Odznaczenie oczywiście otrzymała, a złośliwi szeptali, że była to nagroda za wykonywanie indywidualnych zleceń generała. W tym czasie uważano ich już za małżeństwo.

Formalnie jednak nim nie byli i nikomu nigdy nie udało się odnaleźć żadnego dowodu, że w ogóle zalegalizowali swój związek. Bez wątpienia problemem był fakt, że wciąż żył mąż Marty (zmarł w 1939 roku), a w Polsce nie istniała instytucja rozwodu cywilnego. Jednak nie takie problemy wówczas rozwiązywano! Ponieważ kościelne unieważnienie małżeństwa było bardzo kosztowne, zawsze pozostawała jeszcze zmiana wyznania. W ten sposób zawierali małżeństwa: Wieniawa-Długoszowski, Orlicz-Dreszer, Sławoj Składkowski, Beck, a nawet sam Piłsudski. Dlaczego zatem Marta i Edward nie zdecydowali się na tę drogę? Czyżby Zaleski stawiał zbyt wygórowane żądania?

Oboje raczej unikali tego tematu w rozmowach z postronnymi, wiadomo też, że gdy po zawarciu pokoju z bolszewikami „Śmigły” przyjechał z Martą do Brzeżan, nic nie wspominał przyjaciołom o ślubie z partnerką. Jednak wśród elit politycznych i wojskowych II Rzeczypospolitej nie stanowiło to większego problemu. Ostatecznie Piłsudski przez kilkanaście lat pozostawał w nieformalnym związku z Aleksandrą Szczerbińską (miał z nią dwoje dzieci), Daszyński spłodził nieślubnego syna, a Sikorskiego szantażowano ujawnieniem jego zdrad małżeńskich i atmosfery domowej. Dlatego Marta i Edward mogli być uważani za małżeństwo nawet bez formalnego potwierdzenia związku.

Bez wątpienia „Śmigły” bardzo ją kochał, była miłością jego życia, jednak związek z Martą stanowił niełatwą próbę. Uchodziła bowiem za osobę znerwicowaną, nie potrafiła kontrolować swojego zachowania i łatwo wpadała w histerię. Chociaż powszechnie uważano ją za bardzo atrakcyjną fizycznie, na zachowanych zdjęciach jej uroda wydaje się dyskusyjna. Być

może nie była fotogeniczna, ale na pewno miała znakomitą figurę, co dodatkowo podkreślała ówczesna moda.

„Wówczas to zaczynał wchodzić w modę fokstrot – wspominała generałowa Anna Regina Hubicka. – Marta wtedy też tańczyła, a wszystkim rzucały się w oczy jej lisie ruchy. Była niesympatyczna. Udawała wielką arystokratkę, choć wiedzieliśmy, że jest córką aptekarza z Żytomierza. Bardzo zgrabna, odznaczała się wielką urodą, choć miała brzydką cerę, nieco piegowatą. Mimo to kochało się w niej mnóstwo mężczyzn. Po prostu było w niej coś. Nazywają to seksapil”[7].

Na pewno nie cieszyła się też dobrym zdrowiem. Cierpiała na niedowład ręki (złośliwi nazywali ją „suchą rączką”), przeszła kilka operacji, które jednak nie przyniosły efektu. Na domiar złego nie mogła mieć dzieci, co zapewne wpłynęło na jej charakter i relacje z otoczeniem. A chociaż „Śmigły” uwielbiał dzieci (potwierdza to wiele relacji), wcale nie myślał o porzuceniu partnerki. I to chyba najlepiej potwierdza jego uczucie do Marty.

Do tego bardzo różnili się charakterami. „Śmigły” zawsze uchodził za niezwykle sympatycznego i skromnego człowieka, zaś Marta – za rozkapryszoną i wiecznie niezadowoloną z życia. Na domiar złego miała słabość do alkoholu. Zdarzało się, że na przyjęciach w kasynach pułkowych podczas wyjazdów inspekcyjnych z partnerem nadużywała mocnych trunków. Gdy nie było takiej okazji, wymykała się w ustronne miejsce, a zawsze nosiła w torebce piersiówkę z alkoholem. Sytuacja stała się wreszcie na tyle kompromitująca dla „Śmigłego”, że przestał z nią wyjeżdżać[8].

Natomiast „Śmigły” zawsze zachowywał się z klasą wobec otoczenia, bez względu na pozycję społeczną osób, z którymi się kontaktował. Przyjeżdżając z Wilna do Warszawy, zatrzymywał się z reguły w mieszkaniu siostry Marty:

„O swej wizycie zawsze uprzedzał telegramem lub przez adiutanta. Zdarzało się, że zjawiał się pod nieobecność pani Reginy i Leona Rożałowskich [siostra Marty i jej mąż – S.K.]. Honory domu pełniła wówczas mieszkająca z nimi kuzynka Zofia Trentowska. Wiedząc o przyjeździe generała, przed wyjściem nakrywała do śniadania, a gość sam się obsługiwał. Gdy wracała do domu, naczynia były zawsze pozmywane, stół sprzątnięty, a cała zastawa ułożona na miejsce w kredensie. Trentowską

zdumiewało, że generał i inspektor armii jest takim bezpośrednim, skromnym i mało wymagającym człowiekiem”[9].

Plotki na temat Marty mnożyły się, opowiadano o niej najdziwniejsze historie. Podobno w Wilnie, udając się na zakupy, czasami nie zabierała ze sobą służącej i powracając do domu obładowana paczuszkami, upatrywała młodego oficera, prosząc o pomoc w odniesieniu zakupów. Po drodze przedstawiała się jako panna (była przecież atrakcyjną kobietą), a na schodach, śmiało flirtując, rozpinała mundur ofiary, obiecując ciąg dalszy w mieszkaniu. I nagle na dźwięk dzwonka drzwi otwierał generał „Śmigły”. Wykorzystani w ten sposób młodzi oficerowie stawali nagle przed swoim dowódcą z rozpiętym mundurem (czy też spodniami), ze stertą paczek w rękach. Jedni mdleli, inni wpadali w histerię. Podobno któryś z tych oficerów usiłował niezwłocznie, jeszcze na schodach, popełnić samobójstwo[10].

Wydaje się, że tego rodzaju historie były raczej jednak zwykłymi pomówieniami. W tamtych czasach kobieta wychodząca sama na zakupy i flirtująca z oficerami mogła uchodzić co najwyżej za przedstawicielkę półświatka. Poza tym obowiązujące przepisy nie pozwalały oficerowi w mundurze nosić jakichkolwiek paczek, nie mówiąc już o tym, że drzwi otwierałaby służąca, a nie „Śmigły”. I raczej każdy oficer w Wilnie wiedział, gdzie mieszka jego dowódca…

Podobno był też okres, gdy Marta pojawiała się na przyjęciach w rękawiczkach, tłumacząc otoczeniu, że musi je nosić, gdyż ma alergię na partnera (!). Niektórzy uważają te słowa za przykład publicznego upokarzania „Śmigłego”, ale czy tak było naprawdę? Niejedna para lubi szokować otoczenie swoim zachowaniem względem siebie i obserwuje reakcje innych. Być może dotyczyło to również wzajemnych relacji Marty i Edwarda, chociaż pewne opinie wskazują, że faktycznie źle działo się w prywatnym życiu „Śmigłego”.

„(…) zmienił się nie do poznania – wspominał jego przyjaciel Franciszek Studziński. – Co wpłynęło na to – nie wiem. Małżeństwo czy choroba, czy coś innego. Stał się jakby zgaszony, apatyczny, pasywny, nic – przynajmniej tak to wyglądało – go nie interesowało poza partyjką brydża i rozmówkami z kilkoma przyjaciółmi”[11].

Tuż przed przewrotem

„Śmigły” zajmował się sprawami wojska i kłopotami prywatnymi, ale pilnie obserwował też wydarzenia w kraju. Tymczasem sytuacja wewnętrzna uległa gwałtownemu pogorszeniu, hiperinflacja sparaliżowała gospodarkę, w październiku 1923 roku ceny w sklepach wzrastały w ciągu dnia o 10, a nawet 20 proc. Dochodziło do tragikomicznych sytuacji, gdy pracownikom wypłacano wynagrodzenie dwa razy dziennie i natychmiast umożliwiano im wyjście do miasta, by mogli dokonać zakupów, zanim dojdzie do kolejnej podwyżki. Kraj ogarnęła fala strajków, a władze odpowiedziały mobilizacją pracowników kluczowych sektorów. Kolejarzy powoływano do wojska, po czym wysyłano ich (jako żołnierzy) na swoje stanowiska pracy. Kulminacja niezadowolenia społecznego nastąpiła na początku listopada 1923 roku w Krakowie, gdzie do tłumienia protestów robotniczych użyto wojska wyposażonego w samochody pancerne! W efekcie zginęły 32 osoby, z czego 14 żołnierzy.

Polską rządził wówczas koalicyjny rząd stworzony przez endecję i PSL-Piast (tzw. rząd Chjeno-Piasta), premierem był Wincenty Witos. Dla szerokich mas społeczeństwa rząd ten stał się symbolem krwawego terroru, a dymisja premiera, która nastąpiła kilka tygodni później, niewiele zmieniła. Tym bardziej że nawet uporanie się z hiperinflacją przez rząd Władysława Grabskiego nie przyniosła na dłuższą metę uspokojenia sytuacji. Klęska nieurodzaju i wojna gospodarcza z Niemcami spowodowały załamanie kursu złotówki. Powiększało się bezrobocie, banki nie udzielały kredytów, masowo bankrutowały przedsiębiorstwa. Czasami zdarzały się absurdalne sytuacje, gdy padały firmy realizujące zlecenia państwowe, bowiem nie zapłaciły należnych podatków. Nie mogły ich jednak zapłacić, gdyż rząd nie uregulował wobec nich na czas swoich zobowiązań…

Powszechne niezadowolenie potęgowała sytuacja międzynarodowa. Nastąpiło zbliżenie brytyjsko-niemieckie, Francja traciła wpływy w Europie. Latem 1925 roku zakończyła się okupacja Zagłębia Ruhry, a jesienią w Locarno Niemcy zaakceptowały utratę Alzacji i Lotaryngii. Francja zignorowała polskie postulaty – zachodnia granica naszego kraju znalazła się w niebezpieczeństwie.

Zwolennicy Piłsudskiego otwarcie głosili, że to właśnie wyeliminowanie Marszałka z życia politycznego skierowało Polskę na niebezpieczną drogę. Państwo chyliło się ku upadkowi, a kłótnie partyjne groziły ostateczną

klęską. Argumentacja tego rodzaju trafiała do wielu ludzi, nawet wcześniej niechętnych Piłsudskiemu.

Wiosną 1925 roku do zdecydowanych działań przystąpiło środowisko byłych legionistów. Adam Skwarczyński nawoływał do utworzenia z podwładnych Komendanta „przewodniej siły narodu", a Walery Sławek głosił, że „legioniści powołani są do sanacji stosunków w Polsce". Sikorski, będący wówczas ministrem spraw wojskowych, wydał oficjalny zakaz udziału oficerów służby czynnej w zjazdach dawnych formacji, co miało zapobiec aktywności piłsudczyków. Oczywiście nie przyniosło to większych efektów.

Oficerowie byli pragmatykami – Komendant cieszył się coraz większym uznaniem społeczeństwa zmęczonego rządami prawicy. Proponował program negujący poczynania rządu i parlamentu, zamykający się w haśle: „Bić kurwy i złodziei". A tego rodzaju maksymy zawsze cieszyły się poparciem opinii publicznej.

Trudno jednoznacznie określić, kiedy rozpoczęto przygotowania do przejęcia władzy. Felicjan Sławoj Składkowski wspominał o zebraniach w prywatnych mieszkaniach, na których bywało nawet po kilkadziesiąt osób. Podobno nie toczono wtedy „żadnych dyskusji. Padały jedynie ścisłe, rzeczowe polecenia i rozkazy Komendanta", a zebrani słuchali go „jak wyroczni".

„(…) Komendant uporczywie walczy – wspominał Składkowski – o konieczne prawa dla naczelnego wodza, bo pierwsza rzecz to utrzymanie niepodległości, która może być zagrożona w każdej chwili. Ta walka będzie ciężka, ale poprowadzi ją Komendant sam. My mamy, o ile nie zostaniemy wyrzuceni, pozostać w wojsku i pracować jak najlepiej, bo chodzi tu o służbę Polsce. Żadnych agitacji w wojsku mamy nie prowadzić! Komendant sam nada tempo walce w miarę rozwijającej się potrzeby. Mamy mu w tym nie przeszkadzać"[12].

W przygotowaniach do przewrotu nie brał jednak udziału jeden z najbardziej zaufanych oficerów Piłsudskiego. Kazimierz Sosnkowski, legendarny „Szef", współtowarzysz jego internowania w Magdeburgu, miał coraz gorszy kontakt ze swoim pryncypałem. Przejawiał własną inicjatywę, a jego koncepcje polityczne nie zawsze były zgodne z wolą Marszałka. W rozmowach prywatnych wspominał nawet, że to „nie był już jego Piłsudski, z którym rozumiał się w pół słowa". Do niemal otwartego konfliktu doszło, gdy wbrew woli Komendanta nie podał się do dymisji ze

stanowiska ministra spraw wojskowych (luty 1924 roku). Uważał, że odbędzie się to ze szkodą dla kraju, a jego interesy zawsze stawiał na pierwszym miejscu. Piłsudski potrzebował jednak wykonawców poleceń, ludzi niezadających pytań, a Sosnkowski był legalistą.

Nie wiadomo natomiast, kiedy i w jaki sposób do konspiracji przystąpił „Śmigły". To właśnie na wojska jemu podległe szczególnie liczył Piłsudski – rozkład dowodzenia w Inspektoratach Armii i Okręgach Korpusów wskazywał bowiem, że większość sił znajduje się w rękach przeciwników Marszałka.

„Śmigły" w tych latach miał częsty kontakt z Piłsudskim. Uczestniczył w posiedzeniach Kapituły Orderu Virtuti Militari, której przewodniczącym był właśnie Komendant. Piłsudski jeździł z wykładami i odczytami po kraju, odwiedzał też Wilno. W sierpniu 1925 roku „Śmigły" towarzyszył mu podczas wizyty na Wołyniu, razem z nimi był też generał Gustaw Orlicz-Dreszer, późniejszy dowódca wojsk rebeliantów podczas przewrotu majowego. Szczególne znaczenie miał trzydniowy pobyt marszałka w Wilnie w połowie kwietnia 1926 roku. Gdy Piłsudski wracał do Warszawy, odprowadzał go „Śmigły", a obserwatorzy odnotowali kilkuminutową rozmowę w cztery oczy. Na jaki temat rozmawiali, możemy się tylko domyślać…

Maj 1926

20 listopada 1925 roku Sejm powołał nowy rząd, którego premierem został Aleksander Skrzyński. Był to rząd wielkiej koalicji, w której skład wchodziły i Związek Ludowo-Narodowy Romana Dmowskiego, określany wciąż jako endecja, i Polskie Stronnictwo Ludowe „Piast" Wincentego Witosa, i Polska Partia Socjalistyczna sympatyzująca z Józefem Piłsudskim. Rząd wielkiej koalicji był koniecznością: nastąpiło załamanie polskiej waluty, skokowo wzrosło bezrobocie, przez kraj przetaczały się niepokoje społeczne. Wciąż trwało również zamieszanie związane z brakiem ustawy o naczelnych władzach wojskowych, a do dyskusji włączył się nie tylko życzliwy Piłsudskiemu minister spraw wojskowych Lucjan Żeligowski, lecz także prezydent Stanisław Wojciechowski.

Rząd Aleksandra Skrzyńskiego upadł już wiosną 1926 roku, a 10 maja zaprzysiężono nowy gabinet, którego premierem został Wincenty Witos.

Był to kolejny rząd Chjeno-Piasta, a w kraju wszyscy doskonale pamiętali wydarzenia z Krakowa sprzed trzech lat.

Na dzień przed swoim oficjalnym zaprzysiężeniem Witos stwierdził, że „niechże wreszcie Marszałek Piłsudski wyjdzie z ukrycia, niechże stworzy rząd, niech weźmie do współpracy wszystkie czynniki twórcze, którym dobro państwa leży na sercu. Jeśli tego nie zrobi, będzie się miało wrażenie, że nie zależy mu naprawdę na uporządkowaniu stosunków w państwie". Do publicznej wiadomości nie podano jednak następnego zdania premiera: skoro opowiadają, iż „Piłsudski ma za sobą wojsko, a jeśli tak, to niech bierze władzę siłą… ja bym się nie wahał tego zrobić; jeśli nie zrobi tego, to, zdaje się, nie ma jednak tych sił za sobą"[13].

Tymczasem Marszałek nie próżnował. Zaraz po powrocie z Wilna ówczesny minister spraw wojskowych, generał Lucjan Żeligowski, wydał polecenie o rozpoczęciu 10 maja ćwiczeń na poligonie w Rembertowie. Jednocześnie poprosił Komendanta o objęcie dowodzenia nad zgromadzonymi tam formacjami. Tuż przed rozpoczęciem manewrów Marszałek udzielił „Kurierowi" wywiadu, odpowiadając niejako nowemu premierowi. Piłsudski stwierdził, że gotów jest „do walki, jak i poprzednio, z głównym złem państwa: panowaniem rozwydrzonych partii i stronnictw nad Polską, zapominaniem o imponderabiliach, a pamiętaniem tylko o groszu i korzyści"[14]. Następnego dnia – 11 maja – na polecenie rządu nakład gazety, w której ukazał się wywiad z Piłsudskim, został skonfiskowany. Jednocześnie nowy minister spraw wojskowych, generał Juliusz Malczewski, postawił w stan gotowości garnizon Warszawy oraz wydał Piłsudskiemu rozkaz zakończenia ćwiczeń.

Wincenty Witos rozgrywał właśnie partię życia, stawiając Piłsudskiego w bardzo trudnej sytuacji. Marszałek miał do wyboru dwie opcje: mógł się upokorzyć i wykonując rozkaz młodszego stopniem oficera, wykonać polecenie Witosa lub złamać prawo i podjąć wyzwanie. Szans na zwycięstwo nie miał jednak wiele, niemal wszystkie pułki w Warszawie, oprócz szwoleżerów, miały dowódców niechętnych lub wrogich Piłsudskiemu. Dla pewności generał Malczewski przygotował się do ściągnięcia do Warszawy kolejnych pułków wiernych rządowi, tym razem z Wielkopolski i Małopolski.

O całej sprawie nie poinformowano prezydenta Wojciechowskiego, który tuż przed północą wyjechał na odpoczynek do letniej rezydencji

prezydentów RP w Spale. W najbardziej kluczowej chwili głowa państwa znalazła się o 100 kilometrów od stolicy (!).

Tymczasem w Warszawie narastało podekscytowanie, grupy młodzieży krążyły po ulicach i lokalach z okrzykami: „Niech żyje Marszałek!”, „Precz z Witosem!”. W kawiarniach śpiewano *Pierwszą Brygadę*, siedzący przy stolikach wstawali, niemal oficjalnie sprzedawano skonfiskowane wydanie „Kuriera”. Po ulicach krążyły patrole policji, obawiano się aresztowań. Stronnicy Marszałka nie nocowali w domach, podobnie zresztą jak jego najbardziej zajadli przeciwnicy.

Nad ranem po stronie Piłsudskiego opowiedziały się stacjonujące w stolicy: 36 Pułk Piechoty i 1 Pułk Szwoleżerów. W Siedlcach 22 Pułk Piechoty pod groźbą użycia siły rozpoczął załadunek na stacji kolejowej. Marszałek dysponował poważną siłą zbrojną w bezpośredniej bliskości Warszawy, a do tego miał pewność, że kolejarze sparaliżują transport oddziałów wiernych rządowi. Demonstracja zbrojna, którą rozpoczynał, miała poważne szanse powodzenia.

Poranna prasa przyniosła informację o rzekomym ostrzelaniu willi Piłsudskiego w Sulejówku. Ta wiadomość jeszcze bardziej podgrzała nastroje, sytuacja w stolicy groziła wybuchem antyrządowych rozruchów. Marszałek pragnął jednak uniknąć otwartej walki, a w jego otoczeniu panowało przekonanie, że demonstracja siły wymusi dymisję rządu. Zapewne stąd wzięła się niemal całkowita improwizacja w działaniach rebeliantów.

Rankiem 12 maja Piłsudski przyjechał do Belwederu, by przedstawić swoje żądania Wojciechowskiemu. Chciał z nim omówić postępowanie Witosa, który zaczął wydawać rozkazy wojsku, co było nie tylko wbrew dekretowi z 1921 roku, ale również niezgodne z konstytucyjnymi uprawnieniami prezydenta. Zawiodło jednak rozpoznanie: Komendant nie zastał Wojciechowskiego i w tej sytuacji powrócił do Rembertowa, wydając Orliczowi-Dreszerowi rozkaz obsadzenia stołecznych mostów.

Do rozmowy z prezydentem doszło dopiero około godziny 17, gdy wezwany przez Witosa Wojciechowski powrócił do Warszawy. Niemal już na rogatkach miasta czekał na niego premier – i to właśnie jego wersję wydarzeń usłyszał prezydent jako pierwszą. Na spotkanie z Komendantem udał się już uprzedzony i zażądał od niego wypełnienia poleceń premiera.

Panowie nie doszli do porozumienia, a kilkadziesiąt minut później opowiadająca się po stronie rządu Oficerska Szkoła Piechoty ruszyła do

ataku na most Poniatowskiego. Natarcie nie przyniosło ofiar, piłsudczycy bez walki wycofali się na praski brzeg. Dwie godziny później rebelianci przepuścili bez strzału powracającą do Warszawy Szkołę Podchorążych. Piłsudski miał jeszcze nadzieję na bezkrwawe zakończenie konfliktu.

Marszałek znalazł się w trudnej sytuacji. Miał zbyt słabe siły, by prowadzić otwartą walkę, ale nie mógł się już wycofać. W przypadku rezygnacji straciłby autorytet w społeczeństwie, dożywając swoich dni w niesławie, internowany w Sulejówku. Znacznie gorszy los czekałby wiernych mu oficerów. Porażka rebelii oznaczałaby dla nich usunięcie z armii, a dla przywódców – sąd wojskowy z jedynym możliwym wyrokiem. I chociaż Marszałek wciąż wahał się, nie chcąc rozlewu krwi, to jego podkomendni podjęli już decyzję.

Gdy padły pierwsze strzały, Piłsudski przebywał w koszarach 36 Pułku Piechoty na Pradze. Gustaw Orlicz-Dreszer (jego szefem sztabu był Józef Beck) skierował podległe sobie oddziały na most Kierbedzia. Tam doszło do starcia, jednostki rządowe wsparte ogniem artyleryjskim z placu Zamkowego i dwoma samochodami pancernymi zaatakowały piłsudczyków. Rebelianci odpowiedzieli skutecznym ogniem, po obu stronach byli zabici i ranni. Lojaliści wycofali się, a piłsudczycy otworzyli sobie drogę w głąb miasta.

W centrum stolicy także padły ofiary. Legaliści wycofali się z mostu Poniatowskiego i w okolicach placu Trzech Krzyży doszło do walk z 1 Pułkiem Szwoleżerów. Strona rządowa wzięła pierwszych jeńców, a generał Malczewski osobiście zrywał aresztowanym oficerom naramienniki, wyzywając ich od skurwysynów i zdrajców. To jeszcze bardziej wzmocniło determinację rebeliantów.

W mieście panował chaos, na ulicach trwały antyrządowe demonstracje. Tłumy okazywały wrogość gabinetowi Witosa, a sympatię buntownikom. Nie przeszkadzało to jednak stronie rządowej, która po ewakuacji do Belwederu ściągała posiłki z prowincji. Rząd liczył również na załogę warszawskiej Cytadeli (3 tysiące żołnierzy), której dowódca był przeciwnikiem Piłsudskiego. Właśnie do niego generał Rozwadowski skierował nocą rozkaz, żądając podjęcia działań przeciwko buntownikom.

Nakazał „zlikwidowanie 1 Pułku Szwoleżerów w koszarach”, a szczególne wrażenie wywołuje polecenie, by „dostać w swoje ręce przywódców ruchu, nie oszczędzając ich życia”. Generał polecił dokonanie egzekucji bez sądu, zamordowanie Piłsudskiego i ludzi z jego otoczenia.

Rozkaz nie dotarł jednak do dowódcy garnizonu, zresztą działania pułkownika Izydora Modelskiego w dniach zamachu były pokazem nieudolności. Ostatecznie zwolennicy Piłsudskiego bez walki opanowali Cytadelę, przejmując jej załogę pod swoje rozkazy. A sam dowódca został zamknięty przez swoich oficerów… w toalecie.

Rozkaz Rozwadowskiego nie był wyjątkiem. Nowo mianowany dowódca lotnictwa, generał Włodzimierz Zagórski, wydał polecenie przybycia do Warszawy uzbrojonym dywizjonom lotniczym z Poznania. Zamierzał bombardować stanowiska rebeliantów w gęsto zabudowanym mieście, nie zwracając uwagi na ludność cywilną. A metody nalotów, szczególnie zaś celność bombardowania, były w tamtych latach dalekie od doskonałości…

Sytuacja wciąż nie była jeszcze przesądzona, jednak stało się jasne, że o wszystkim zadecydują posiłki z prowincji dla obu stron. I właśnie wtedy nadeszła wielka chwila „Śmigłego”, który jako pierwszy rozpoczął zdecydowane działania. Jeszcze w nocy ogłosił alarm w podległych sobie wojskach, a już o 8.40 wyruszyły pierwsze pociągi wiozące legionistów: 5 i 6 Pułki piechoty oraz artylerię. Wileński okręg wojskowy był zagrożony zarówno przez Republikę Litewską, jak i Związek Sowiecki, „Śmigły” zatem nie mógł wysłać wszystkich swoich wojsk. Ciągłe zagrożenie wojenne sprawiało jednak, że wileńskie pułki miały dwukrotnie wyższy stan liczebny niż analogiczne oddziały w głębi kraju, były również lepiej wyposażone i miały zdecydowanie lepszych dowódców. Co więcej, pułki wileńskie były nielicznymi w Wojsku Polskim formacjami szkolonymi do walki w obszarze zabudowanym – Wilno uznawano wówczas za „obóz warowny” i żołnierzy szkolono w specyficznych metodach prowadzenia działań. Błyskawiczne dotarcie do Warszawy żołnierzy 1 Dywizji Piechoty Legionów miało zatem decydujące znaczenie.

Pierwsze transporty kolejowe z Wilna dotarły do stolicy jednak nieco później, niż się spodziewano, bo dopiero 14 maja około godziny 2.40. Atak planowano na godzinę 4, lecz z powodu spóźnienia został przypuszczony kilkadziesiąt minut później. Przez kilka kolejnych godzin rebelianci powoli posuwali się naprzód, nie atakowano jednak gęsto zabudowanego Śródmieścia, w zamian opanowując zachodnie dzielnice Warszawy, niemal nieobsadzone przez lojalistów. W ręce piłsudczyków wpadł kolejowy Dworzec Zachodni – odcięto w ten sposób stolicę od Wielkopolski, a godzinę później zdobyto także lotnisko na Polu Mokotowskim oraz

tamtejszą radiostację. Była to jedyna w stolicy radiostacja o dużym zasięgu, z której dotychczas korzystała strona rządowa. Piłsudskiego poparli również kolejarze i 14 maja ogłosili strajk. Wczesnym popołudniem dla Witosa i jego zwolenników stało się już oczywiste, że nie tylko nie utrzymają stolicy, lecz także nie mogą nawiązać kontaktu ze światem zewnętrznym, a nawet opuścić miasta.

Drogę ucieczki wskazał dostojnikom ówczesny pułkownik Władysław Anders. Cała grupa zdołała opuścić pałacyk belwederski i dojść do oddalonego o 7 kilometrów pałacu w Wilanowie. Stamtąd nie było już gdzie się udać, zatem o 17.30 Witos podał się do dymisji, a prezydent Stanisław Wojciechowski zrezygnował z urzędu, przekazując obowiązki Marszałkowi Sejmu Maciejowi Ratajowi.

„Śmigły" po raz kolejny nie zawiódł Piłsudskiego. Gdyby działał wolniej, do stolicy zapewne zdążyłyby dotrzeć pułki z Wielkopolski, które przesądziłyby o losach rebelii. Trudno w tym miejscu nie pozwolić sobie na dygresję, że Komendant od kilku lat większość sukcesów zawdzięczał właśnie Edwardowi Śmigłemu-Rydzowi, na którego lojalności i umiejętnościach zawsze mógł polegać.

Natomiast na drugim biegunie znalazł się Kazimierz Sosnkowski, pełniący w tym czasie obowiązki dowódcy poznańskiego Okręgu Korpusu. Generał wypełniał także misję dyplomatyczną (był przedstawicielem Polski przy Lidze Narodów na konferencję rozbrojeniową) i tuż przed wybuchem rebelii dostał polecenie wyjazdu do Genewy. Zapewne stał za tym Piłsudski, który chciał oszczędzić „Szefowi" bolesnego wyboru.

Czasami o przebiegu wydarzeń decydują jednak przypadki i Sosnkowski pojawił się w stolicy na dzień przed zamachem (następnego dnia miał pociąg do Genewy). 12 maja po południu padły w Warszawie pierwsze strzały, a strona rządowa wydała pułkom poznańskim polecenie przybycia do stolicy.

W tej sytuacji Sosnkowski powrócił do Poznania, gdzie stanął przed tragicznym dylematem:

„(…) zjawił się zaraz generał Edmund Hauser – wspominała Jadwiga Sosnkowska – który zastępował męża (…) i przyniósł dwie depesze. Jedna i druga żądały wysłania pułków poznańskich z pomocą do Warszawy. Mąż mój stanął przed straszliwym wyborem: komu pomagać? Czy zdradzić swojego Komendanta, czy zadać gwałt prawu? Stał, jak to mówiono, już to skamieniały, już to rozdarty. Wreszcie wezwał oficerów (…), zreferował

sytuację i oświadczył, by postąpili zgodnie z własnym sumieniem. Po tej krótkiej odprawie został sam, kompletnie sam i, jak mówił, z uderzającą pustką wokół. Czy myślał wówczas o rodzinie? Być może, ale był on jak i jego Komendant z tego gatunku mężczyzn, których największą miłością była ojczyzna”[15].

Kazimierz Sosnkowski strzelił sobie z rewolweru w serce. Nie wiadomo jednak, czy specjalnie źle wymierzył, czy nerwy ostatnich dni spowodowały, że drgnęła mu ręka. Został ciężko ranny, ale przeżył. Gdy pojawiła się przy nim zawiadomiona o wszystkim żona, wyszeptał: „Czy rozumiesz? Polacy zabijają się nawzajem. Polacy się biją”.

Piłsudski właściwie nigdy mu tego nie wybaczył. Chociaż Sosnkowski powrócił do służby, za następcę Komendanta w sprawach wojskowych zaczęto już uważać Śmigłego-Rydza. W odróżnieniu bowiem od „Szefa” na pierwszym miejscu stawiał lojalność wobec Komendanta…

Generał Juliusz Rómmel

foto Wikipedia.pl

Józef Piłsudski w Druskiennikach, obok marszałka Kazimierz Bartel, pierwszy z prawej Józef Beck, wrzesień 1926 roku

foto Narodowe Archiwum Cyfrowe

Wincenty Witos w otoczeniu ministrów na dzień przed rozpoczęciem walk w maju 1926 roku

foto Narodowe Archiwum Cyfrowe

Generał Stanisław Szeptycki

foto Narodowe Archiwum Cyfrowe

Wizyta polskich lotników wojskowych w Hiszpanii, generał Włodzimierz Zagórski, Madryt, sierpień 1925 roku

foto Narodowe Archiwum Cyfrowe

Marszałek Józef Piłsudski na moście Poniatowskiego, przed rozmową z prezydentem Wojciechowskim, 12 maja 1926 roku

foto Narodowe Archiwum Cyfrowe

Posterunek wojskowy na rogu ulic Marszałkowskiej i Nowogrodzkiej podczas przewrotu majowego w Warszawie

foto Narodowe Archiwum Cyfrowe

Pogrzeb żołnierzy żydowskich poległych w przewrocie majowym

foto Narodowe Archiwum Cyfrowe

Józef Piłsudski na trybunie honorowej, poniżej czwarty z lewej Edward Śmigły-Rydz

foto Narodowe Archiwum Cyfrowe

Prezydent Ignacy Mościcki i Józef Piłsudski na dziedzińcu Zamku Królewskiego w Warszawie, czerwiec 1926 roku

foto Narodowe Archiuwm Cyfrowe

Marta Thomas-Zaleska

foto czasopismo „Świat” 34/1939

Rozdział 6

Czas sanacji

Krajobraz po zamachu

Przewrót majowy był ewenementem w dziejach świata. Rebelianci odnieśli zwycięstwo, ale nie zawieszono konstytucji, nie rozwiązano parlamentu i nie wprowadzono stanu wyjątkowego na terenie całego kraju. Więzienia nie zapełniły się pokonanymi, a triumf Piłsudskiego natychmiast został zalegalizowany. Ustąpił tylko rząd i prezydent, a złośliwi komentowali, że przelewano krew wyłącznie po to, by Piłsudski został ministrem. A przecież stanowisko to proponowano mu już wcześniej.

Trzydniowe walki przyniosły jednak tragiczny bilans. Zginęło 379 osób (w tym 164 cywilów), a 920 było rannych. 17 maja w stolicy odbył się uroczysty pogrzeb poległych, ogłoszono oficjalną żałobę, w świątyniach wszystkich wyznań odbyły się nabożeństwa. Podczas jednego z nich, w kościele garnizonowym, przed Orliczem-Dreszerem stanął kapelan legionowy, ksiądz Józef Panaś. Zerwał z sutanny wszystkie odznaczenia bojowe i rzucił je pod nogi generałowi.

Piłsudski był nieobecny na pogrzebie. Na cmentarz wojskowy przybyły delegacje oddziałów obu walczących stron, w uroczystościach uczestniczył także nowy gabinet rządowy z premierem Kazimierzem Bartlem na czele. Pogrzeb miał wykazać, że zwycięska strona jednakowo traktuje poległych bez względu na ich przynależność.

Marszałek nie przeprowadził czystki w armii, co więcej – dołożył wszelkich starań, by jak najszybciej zapomniano o bratobójczej walce. Nic nie przeszkodziło w karierze majorowi Marianowi Porwitowi, który na czele Oficerskiej Szkoły Piechoty odmówił przepuszczenia wojsk Marszałka przez most Poniatowskiego, a następnie wyparł rebeliantów za Wisłę. Świetne kariery zrobili najbardziej zasłużeni legaliści, pułkownicy Paszkiewicz i Anders. Nic złego nie stało się również pułkownikowi

Stanisławowi Grzmotowi-Skotnickiemu, jednemu z ulubieńców Marszałka z czasów Legionów. Choć ten dawny ułan Beliny – postępując zgodnie ze złożoną przysięgą – sprzeciwił się teraz ze swoim pułkiem Komendantowi, awansował jednak w normalnym trybie (i w stopniu generalskim poległ nad Bzurą we wrześniu 1939 roku).

Usunięto natomiast ze stanowiska dotychczasowego dowódcę Cytadeli, pułkownika Modelskiego. Chociaż jego chwiejnej postawie Piłsudski zawdzięczał sukces, to jednak uznał, że ten człowiek nie powinien pełnić odpowiedzialnej funkcji. A sam Modelski miał się zemścić na zwolennikach Komendanta po klęsce 1939 roku. Jako doradca Sikorskiego traktował wyjątkowo podle i małostkowo oficerów piłsudczykowskich…

Poprawę nastrojów wśród kadry oficerskiej zapewniła poważna podwyżka uposażeń. Marszałek pamiętał o swoich obietnicach, a dobrze wiedział, że nic tak nie pacyfikuje sytuacji jak podniesienie stopy życiowej. Ideologia z reguły przegrywa z prozą życia…

Piłsudski nie zapomniał też o swoich osobistych wrogach w korpusie oficerskim. Stanisław Szeptycki i Stanisław Haller na własną prośbę odeszli z armii, Sikorskiego po dwóch latach odwołano ze stanowiska dowódcy Inspektora Armii we Lwowie, chociaż podczas przewrotu zachował neutralność. Nadano mu status generała bez przydziału, co w praktyce oznaczało przedwczesną emeryturę.

Abolicja w armii nie objęła czterech generałów: Malczewskiego, Rozwadowskiego, Zagórskiego i Jaźwińskiego. Osadzono ich w wojskowym areszcie na Antokolu w Wilnie pod zarzutem popełnienia pospolitych przestępstw (Zagórski był zamieszany w aferę Francpolu – firmy zajmującej się dostawami dla lotnictwa wojskowego). W praktyce miała to być zemsta na przeciwnikach politycznych – piłsudczycy chcieli bowiem wyrównać z generałami dawne rachunki, wszak w dniach zamachu cała czwórka do końca walczyła po stronie rządu: Zagórski zamierzał przecież bombardować Warszawę z samolotów, Rozwadowski wydał rozkaz fizycznej eliminacji przywódców zamachu, a Malczewski zrywał naramienniki wziętym do niewoli oficerom.

Oskarżeni spędzili ponad rok za kratami, żaden z nich nie powrócił już do życia publicznego. Więzienie złamało ich fizycznie i psychicznie; Rozwadowski niebawem zmarł, kilka lat później podobny los spotkał sparaliżowanego Jaźwińskiego. Do dzisiaj natomiast nie wyjaśniono ostatecznie losów Zagórskiego – generał zaginął bowiem po przewiezieniu

z Wilna do Warszawy. Rozesłano za nim listy gończe, prasa czasami informowała, że widziano go gdzieś za granicą. Opozycja nie miała wątpliwości: Zagórski został zamordowany przez piłsudczyków. I prawdopodobnie mieli rację. Generał, jako dawny oficer wywiadu austriackiego, zbyt dużo wiedział na temat Marszałka i jego otoczenia. Podobno pisał pamiętniki (zaginęły wraz z nim), zamierzając je opublikować. A do tego w sierpniu 1915 roku chciał postawić Komendanta przed sądem wojskowym za samowolny wyjazd do Warszawy… Nie wiadomo, czy Marszałek znał plany morderców, ale odpowiedzialność i tak spada na jego osobę. Nie uczynił zresztą nic, by odnaleźć i ukarać sprawców, starając się maksymalnie wyciszyć sprawę.

Bezpośrednio po zamachu przeprowadzono czystkę w administracji państwowej. Chociaż przy zmianie ekipy rządzącej jest to normalna procedura, wywołała spore oburzenie opozycji. Zwycięzcy bowiem błyskawicznie obsadzili kluczowe stanowiska administracyjne swoimi zwolennikami. W ciągu kilku miesięcy wymieniono większość wojewodów i ponad 1/3 starostów. Przy okazji (jak zwykle w takich sytuacjach bywa) nagradzano też ludzi wiernych Marszałkowi. Do zwycięzców tłumnie zresztą napływali zwykli karierowicze, spragnieni awansów i stanowisk. Nic dziwnego, że nazywano ich pogardliwie IV Brygadą…

Po maju 1926 roku zmieniła się sytuacja w kraju. W sierpniu znowelizowano konstytucję, dając prezydentowi (został nim Ignacy Mościcki) więcej uprawnień, czym ustabilizowano wewnętrzną scenę polityczną. Choć premierzy i ministrowie zmieniali się nawet częściej niż przed 1926 rokiem, to jednak prowadzili dużo bardziej konsekwentną politykę. Wielki strajk górników brytyjskich pozwolił na zwiększenie eksportu polskiego węgla, na kilka lat poprawiła się koniunktura gospodarcza, spadło bezrobocie. Unormowała się również sytuacja międzynarodowa, a wrodzy nam sąsiedzi zajęli się swoimi wewnętrznymi problemami. Nastąpiło uzdrowienie sytuacji w kraju – sanacja, jak po łacinie określił ją Adam Skwarczyński, najważniejszy chyba ideolog wśród stronników Józefa Piłsudskiego.

Wzmocnienie władzy prezydenta polegało również na unormowaniu spraw zarządzania wojskiem. Utworzono stanowisko Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych – oficera przewidzianego na Naczelnego Wodza czasu wojny. Inspektor nie był odpowiedzialny przed Sejmem i rządem (podlegał bezpośrednio prezydentowi) i za pośrednictwem jego oraz

ministra spraw wojskowych głowa państwa sprawowała zwierzchnictwo nad siłami zbrojnymi w czasie pokoju.

Obie funkcje objął Piłsudski, skupiając się na bardzo ważnym zagadnieniu obronności państwa. Oczywiście zachował decydujący wpływ na inne sprawy państwowe – właściwie nic w kraju nie mogło się dziać bez jego zgody. Dwukrotnie też chwilowo obejmował tekę premiera. Zwolennicy szufladkowania dziejów określają ten system jako autorytaryzm. W rzeczywistości jednak pod wieloma względami niewiele różni się on od współczesnej, XXI-wiecznej demokracji.

Wciąż jednak trwały spory parlamentarne, a sanacja nie miała większości. W trwaniu jej rządów pomagała obawa przed powtórzeniem się chaosu sprzed 1926 roku oraz osłabienie przeciwników politycznych. Roman Dmowski, który podczas przewrotu majowego zachował bierność, utracił niemal cały autorytet. Wielu działaczy popierających go wcześniej w ramach Chrześcijańskiego Związku Jedności Narodowej przeszło na stronę sanacji, a ludowcy Witosa stracili sporo wyborców. Piłsudczycy utworzyli Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem, na czele którego stanął Walery Sławek, i utrzymali władzę. Wprawdzie po kilku latach PPS przestała popierać Piłsudskiego, lecz nie zmieniło to sceny politycznej.

Warto też pamiętać, że rozprawa sanacji z opozycją skupioną w ramach Centrolewu zakończona procesem brzeskim nie była – jak to kiedyś uważano – niezgodna z obowiązującym prawem. Opozycjoniści z Witosem na czele, uwięzieni we wrześniu 1930 roku w twierdzy brzeskiej, faktycznie zamierzali obalić siłą ustrój państwa. Najlepszym dowodem na poparcie tej tezy jest nieudana próba rehabilitacji opozycjonistów podjęta w latach 2005-2008. Pomimo wielu starań nie znaleziono jednak podstaw prawnych, by zrehabilitować Witosa i innych polityków Centrolewu. A przecież próby te popierały niemal wszystkie ugrupowania polityczne od lewicy do prawicy, chcąc w ten sposób zakończyć sprawę brzeską.

Generał Edward Śmigły-Rydz powrócił do dowodzenia wojskiem, zmieniła się jednak jego sytuacja. Do tej pory pełnił funkcję jednego z pięciu Inspektorów Armii, któremu podlegały dwa Dowództwa Okręgów Korpusu. Od sierpnia 1926 roku było już jednak dziesięciu Inspektorów Armii, z czego siedmiu rezydowało w stolicy. Połowa z nich zajmowała się granicą wschodnią, a druga połowa – zachodnią. Na czas wojny przewidywano wystawienie pięciu armii. W przypadku konfliktu ze Związkiem Sowieckim ich dowódcami zostawali ci inspektorzy, którzy

zajmowali się problemami związanymi z tym państwem, do nich należał także „Śmigły”. Natomiast na wypadek wojny przeciwko Niemcom generał pozostałby albo bez przydziału, albo trafiłby pod komendę jednego z dowódców armii. Rok 1926 oznaczał więc dla niego, przynajmniej formalnie, spowolnienie kariery wojskowej. Ale ważniejsze było to, że coraz powszechniej uważano go za następcę Piłsudskiego w sprawach wojskowych. Tym bardziej że został oficjalnie wyznaczony na zastępcę Komendanta „w sprawach regulowania prac wschodniej grupy generałów” opracowujących plany operacyjne na wypadek wojny z ZSRS[1].

W Warszawie

Było to tym ważniejsze, że „Śmigły” cieszył się autentyczną popularnością w armii. Szczególnie podkreślano jego przystępny i miły charakter, w czym zdecydowanie górował nad Sosnkowskim. Uwidoczniło się to podczas letnich podróży taktycznych Wyższej Szkoły Wojennej:

„Podróże te odbywały się na terenie całej Polski – wspominał Marian Romeyko. – Wszyscy pamiętali długie pociągi Czerwonego Krzyża załadowane słuchaczami i wykładowcami, tygodniami stojące na bocznych torach różnych stacyjek. Do takiego pociągu na czas podróży taktycznej generał Śmigły doczepiał swój mały i skromny wagonik-salonik, własność wojska. Całe dnie spędzał w terenie, jak i wszyscy. Był obecny (…) na każdym ćwiczeniu, na każdym omówieniu. Wnikliwie wsłuchiwał się w odpowiedzi słuchaczy, nigdy nie przerywał, nigdy nie wnosił zamętu swoją osobą. Zawsze wypoczęty, mile uśmiechnięty, nigdy swoją obecnością nie peszył słuchacza. Gdy dochodziło do końcowej fazy ćwiczeń (…), mówił spokojnie, ważąc każde zdanie, ciekawie, trafnie wyciągając wnioski. Wyznam szczerze: rzadko kiedy obecność tak »wysokiego naczalstwa« tak dodatnio wpływała na wszystkich. Lubili go wszyscy, po prostu lubili – i słuchacze, i wykładowcy”[2].

Podobne zdanie wyrażał Léon Noël, ambasador francuski w Polsce, zauważając „bezpośredniość i szczerość” „Śmigłego”. Według francuskiego dyplomaty Rydz był „pozbawiony większych ambicji, o prostych gustach, raczej nieśmiały, unikał przyjęć, ceremonii i parad”.

Najbliższe otoczenie Piłsudskiego przejawiało prawdziwą obsesję uczciwości w korzystaniu z finansów państwowych. Podobnie zachowywał się wówczas „Śmigły”. Romeyko wspominał, jak w 1925 roku trafił do 19

Pułku Artylerii w Lidzie. Dowódca jednostki był zaaferowany organizacją przetargu na odbiór końskiego nawozu. Zapytany o zainteresowanie postępowaniem, wyjaśniał Romeyce:

„(…) właściwie kupujący jest tylko jeden: teść generała Rydza, którego Rydz osadził na swojej resztówce koło Lidy, niedaleko od nas. Proponowałem mu wielokrotnie, żeby nawóz zabierał za darmo bądź kupował z wolnej ręki. Odmówił, bo Rydz zapowiedział mu, że wyrzuci go z resztówki, jeżeli będzie korzystał z jakiejkolwiek uprzejmości wojska”[3].

Gdy do „Śmigłego” zwróciła się o protekcję jego kuzynka, pani Waksmundzka (chodziło o przeniesienie jej krewnej będącej nauczycielką gdzieś na Kresach), kategorycznie odmówił. Uczynił to zdecydowanie, ale jednak spokojnie i z dużym taktem.

Zachowywał się zawsze w sposób wzbudzający uznanie. Gdy w lipcu 1930 roku wziął udział w zjeździe koleżeńskim z okazji 25-lecia egzaminu maturalnego, do Brzeżan przybył w ubraniu cywilnym. Kategorycznie nie zgodził się na oddanie mu honorów wojskowych, odbył też spotkanie ze znajomymi w kasynie 51 Pułku Piechoty. Natomiast w tym czasie Marta zarabiała na swój jak najgorszy wizerunek.

„Wydarzyło się to pod koniec lat dwudziestych – wspominała Regina Hubicka. – Marta pracowała wtedy w jednej z instytucji związanej z wywiadem. Przed zamknięciem urzędu kasjer policzył banknoty, skleił je dokładnie banderolą i rzekł:

– Teraz wiem, że nic nie zginie. Nie sposób z tego wyjąć choćby jedną stuzłotówkę.

– Założę się, że to możliwe – stwierdziła Marta.

– Dobrze.

– Ale jeśli wyciągnę sto złotych, pieniądze są moje.

Zgodził się pewien swego. Wówczas wzięła szpilkę do włosów, wygięła ją, uchwyciła koniec banknotu i skręcając, wysunęła stuzłotówkę. Po czym najspokojniej schowała ją do kieszeni. Była to suma odpowiadająca połowie pensji kasjera. Wszyscy przyjęli to z oburzeniem”[4].

Opowiadano, że Marta była zawiedziona faktem, iż jej partner zbyt mało zarabia. Oczywiście pensja generalska była znaczna, Edward otrzymywał mniej więcej pięciokrotność ówczesnej średniej pensji (ok. 3 tys. euro), do tego dochodziły jeszcze różne dodatki służbowe. Dla Marty była to jednak kwota niewystarczająca – dziwiła się, że partner nie korzysta z posiadanych możliwości, by nielegalną drogą powiększyć swe dochody. Jednak

„Śmigły”, jako człowiek uczciwy do bólu, w tej kwestii potrafił się przeciwstawić partnerce. Inna sprawa, że nie wiadomo, czy zdawał sobie sprawę, że Marta nie tylko nadużywa alkoholu, lecz także eksperymentuje z narkotykami. Zapewne wpływ na to miały problemy z ręką – by oszczędzić sobie bólu, zaczęła zażywać morfinę. Niebawem się od niej uzależniła.

W tym czasie pogorszyło się również zdrowie „Śmigłego”. Ludzie znający go od lat zaczęli dostrzegać pewne niepokojące objawy.

„(…) od zimy 1933/1934 zauważyliśmy, że osłabł fizycznie – wspominał generał Jerzy Kirchmayer. – Stał się wrażliwy na zimno, niepogody i ujawniał troskę o swoje zdrowie, czego nie można było zauważyć poprzednio. Nie robił wcale, ale to wcale wrażenia człowieka o silnym charakterze, który w razie potrzeby przyginał drzewa do ziemi”[5].

Ostatnie miesiące Komendanta

„Śmigły” borykał się ze swoimi problemami, jednak nie mógł nie dostrzegać faktu, że Piłsudski starzał się w zastraszającym tempie. Marszałek coraz częściej zapadał też na różnego rodzaju schorzenia, stało się to szczególnie widoczne po zakończeniu jego kilkuletniego związku z młodszą o blisko 30 lat lekarką Eugenią Lewicką. Już wcześniej, w kwietniu 1928 roku, Piłsudski przeszedł atak apopleksji (udar). Porażenie prawej części ciała cofnęło się względnie szybko, ale chory nie odzyskał już dawnej sprawności w ręce. Obawiano się powtórzenia ataku w znacznie groźniejszej formie.

„Komendant już pracować nie może – zwierzał się »Śmigły« byłemu oficerowi Pierwszej Brygady, generałowi Kordianowi Zamorskiemu – i do pracy się zmusza – dzięki swojej litewskiej naturze przejawia we wszystkim dużo (…) w stosunku zarówno do przyjaciół, jak nieprzyjaciół, a wreszcie metodzie zdążania najkrótszą i najprostszą drogą do celu przeciwstawia zawsze doktrynerski pryncypializm, męczenie tematu na wszelkie możliwe sposoby i unikanie ostatecznej decyzji i unikanie konkretnego załatwienia sprawy”[6].

Jesienią 1931 roku Piłsudski wyjechał na wypoczynek do Rumunii. Nad Morzem Czarnym dostał wysokiej gorączki, a lekarze rozpoznali zapalenie płuc. Chory miał już 64 lata, co przy ówczesnym stanie medycyny nie dawało większych nadziei na wyzdrowienie. Na domiar złego Piłsudski był

wyjątkowo trudnym pacjentem: nie przyjmował lekarstw, nie respektował zaleceń medycznych i odmówił hospitalizacji. Ostatecznie umieszczono go w polskim poselstwie w Bukareszcie, gdzie podejrzliwie obserwował zabiegi lekarzy. Pewnego dnia polecił swojemu adiutantowi wziąć rewolwer i „strzelać do każdego doktora, który się zjawi”!

Piłsudski przeżył, ale dla otoczenia było widoczne, że opada z sił. Inna sprawa, że z upływem lat stawał się coraz trudniejszym partnerem do współpracy. Spotkania elity piłsudczyków przestały przypominać dyskusje – Komendant wzywał współpracowników i wydawał polecenia. Czasami stawiał pytania, wysłuchiwał opinii, ale nie zdradzał własnych argumentów. Decyzje podejmował samodzielnie, a rolę otoczenia zredukował wyłącznie do wprowadzania swojej woli w życie. Jednak podwładni nie próbowali nawet dyskutować z Marszałkiem.

Problemem stała się nie tylko kondycja fizyczna Piłsudskiego, lecz także jego stan umysłowy. Cierpiał na bezsenność, zasypiał z dużym trudem, do wczesnych godzin porannych często prowadził dyskusje z kimś nieobecnym. Wspomnienia jego adiutanta z GISZ-u, kapitana Mieczysława Lepeckiego, są przerażającym dowodem na osamotnienie i problemy psychiczne Marszałka u schyłku życia.

„Siedząc w swoim pokoju – wspominał adiutant – słyszałem głośną rozmowę, jaką prowadził z samym sobą, słyszałem bicie pięścią w stół i przejmujące słowa nagany. Już trzecia wybiła, a Marszałek wciąż jeszcze miotał się w swojej samotni i dopiero wczesny czerwcowy poranek, wdzierający się przez szpary między roletami i oknami, skłonił Go do przejścia do sypialni.

Jak każdej nocy, tak i tej, zgasiłem światło w gabinecie i położyłem rewolwer na nocnym stoliku Marszałka.

Było wpół do piątej rano”[7].

Zdarzyło się nawet, że Piłsudski (w maju 1933 roku) wezwał do siebie „Śmigłego” i Sosnkowskiego. Obaj stawili się u niego i dość długo czekali na przyjęcie przez Komendanta. Gdy po pewnym czasie adiutant przypomniał o sprawie Marszałkowi, ten „oburzył się i nic konkretnie nie powiedział”[8].

W ostatnich latach życia Marszałek bez wątpienia miewał chwile zaćmienia umysłowego, co potwierdzono w wielu relacjach. Ale mimo to potrafił się zdobyć na genialne posunięcia polityczne, jak nikt przed nim ani po nim. Doprowadził do podpisania paktów o nieagresji z Niemcami

i Rosją Sowiecką, wymusił na senacie Wolnego Miasta Gdańska przedłużenie konwencji regulującej używanie miejscowego portu przez polskie okręty wojenne. Jednocześnie przejawiał zaskakująco trzeźwe spojrzenie na politykę zagraniczną – po latach wzbudza to szczególne uznanie. Po podpisaniu paktu z Berlinem w styczniu 1934 roku twierdził bowiem, że „dobre stosunki pomiędzy Polską a Niemcami mogą trwać może jeszcze cztery lata, ze względu na przemiany psychiczne, które dokonują się w narodzie niemieckim (…)”[9].

Marszałek przejawiał czasami irytujące poczucie nieomylności, ale tym razem wykazał się nieprawdopodobnie trafną oceną. Swoim rozmówcom dał do zrozumienia, że za kilka lat zabraknie go już wśród żywych i wówczas sami będą musieli się martwić o los kraju. Nie widział jednak w swoim otoczeniu godnego następcy.

„Wstałem, pragnąc go pożegnać – wspominał Janusz Jędrzejewicz rozmowę z maja 1934 roku – zatrzymał mnie jednak, wskazując na krzesło. Usiadłem. Twarz Marszałka, dotychczas łagodna i uśmiechnięta, zmieniła się nagle. Rysy się osunęły, gęsta siateczka zmarszczek stała się bardziej wyrazista, spod krzaczastych, nastroszonych brwi patrzyły na mnie oczy człowieka cierpiącego, zgnębionego. To nie gorycz, nie żal wyzierały, ale niepewność i obawa. Do końca życia nie zapomnę wyrazu tej twarzy zbolałej i zmęczonej, którą miałem w owej chwili przed sobą. Po dłuższej chwili usłyszałem szeptem wypowiedziane słowa: »Ach, ci moi generałowie. Co oni zrobią z Polską po mojej śmierci?«. Powtórzył te słowa po raz drugi i trzeci (…). Dalszych słów Marszałka powtarzać nie mogę. Siedziałem zmartwiały i przerażony”[10].

Podczas rozmowy ze Świtalskim i Sławkiem Piłsudski wyrażał się negatywnie o generałach pochodzenia legionowego, odbierając im przekonanie, że „któryś z oficerów mógłby Komendanta zastąpić”. Inna sprawa, że „Śmigły” już od dawna sugerował w zaufanym gronie, że poczytalność Marszałka bywa mocno dyskusyjna. Powiedział nawet kiedyś, że według niego Piłsudski to „człek nienormalny, co ukryć się nie da, a skoro się wyda, uważać nas będą za trzodę głupców (…)”[11].

Trudno się „Śmigłemu” dziwić, bowiem Piłsudski czasami nie hamował się nawet publicznie. Na początku 1934 roku wezwał go do Belwederu razem z innymi generałami (Sosnkowskim, Berbeckim i Rybakiem). Podczas raportu obrzucił „Śmigłego” obelgami, nie zwracając uwagi na fakt, że w spotkaniu uczestniczą dwaj oficerowie niżsi stopniem od

zdobywcy Kijowa. Nic zatem dziwnego, że później „Śmigły” skarżył się, iż Komendant „potraktował go – i to wobec większej ilości generałów – w sposób szczególnie przykry”[12].

11 listopada 1934 roku, w rocznicę odzyskania niepodległości, odbyła się defilada na Polach Mokotowskich. Podczas uroczystości Piłsudski stracił równowagę i resztę defilady przyjął, siedząc na krześle. Był to pierwszy sygnał dla społeczeństwa, że zdrowie Marszałka poważnie szwankuje.

Informacje na ten temat utajniono, sam Piłsudski nie znał prawdy o sobie – inna sprawa, że nigdy się tym nie interesował. Do tego dochodziła jeszcze jego wspomniana awersja do lekarzy i ich zaleceń. Zdrowie Marszałka coraz bardziej się pogarszało.

Regularnie miewał stany podgorączkowe, pojawiła się opuchlizna nóg, coraz częściej w ogóle nie potrafił zasnąć. W styczniu 1935 roku przyszły ataki bólu, który uśmierzano gorącymi kompresami. Gdy stwierdzono powiększenie wątroby, Marszałek odłożył badania specjalistyczne na później. Pojawiły się torsje – chory rozpoczął głodówkę leczniczą, co początkowo przyniosło poprawę. Lekarze byli przerażeni, ale Piłsudski się uparł. W tamtych czasach podobne terapie cieszyły się popularnością, a ich zwolenniczką była Eugenia Lewicka… Niestety, wraz z głodówką przyszło osłabienie – chory nie mógł utrzymać w ręku kart do ulubionego pasjansa. Na jego prośbę Lepecki i Woyczyński układali mu karty, nie chcąc go męczyć.

W lutym 1935 roku zmarła siostra marszałka, Zofia Kadencowa. Pogrzeb odbył się w marcu w Wilnie i Piłsudski – mimo znacznego osłabienia – pojechał na uroczystość. Z tamtego czasu zachowały się dwa zdjęcia, które zrobiono w odstępie sześciu tygodni, dokumentujące postępy choroby. 6 lutego sfotografowano Komendanta na Dworcu Głównym, po eksportacji zwłok siostry do Wilna. Marszałek szedł wówczas wyprostowany, o własnych siłach, jego kondycja fizyczna sprawiała wrażenie zadawalającej. Ale 21 marca, po powrocie z ostatniej w życiu wizyty w Wilnie, na dworcu już Piłsudskiego podtrzymywano. Twarz ściągnięta cierpieniem, zmieniona nie do poznania, pochylona sylwetka. Ostatnie zdjęcie żyjącego Marszałka sprawia przejmujące wrażenie.

Święta wielkanocne 1935 roku Piłsudski spędził w Belwederze, wyraził wówczas zgodę na konsultację lekarską. Z Wiednia przyjechał profesor Karel Wenckebach, który w towarzystwie polskich lekarzy dokładnie

zbadał Piłsudskiego. Diagnoza była porażająca: nowotwór złośliwy wątroby, niekwalifikujący się do operacji.

Choroba czyniła coraz większe spustoszenie, chwilami Piłsudski zachowywał się wręcz niepoczytalnie. Brutalnie traktował żonę i współpracowników, nie hamował się przy nikim. Jedyną osobą, która wywoływała uśmiech na twarzy konającego Marszałka, był Wieniawa-Długoszowski. Ale akurat jego Komendant zawsze traktował na specjalnych warunkach…

Józef Piłsudski zmarł w Belwederze 12 maja 1935 roku o godzinie 20.45. Uroczystości pogrzebowe trwały sześć dni, ciało Marszałka spoczęło na Wawelu. We Francji, w Niemczech i ZSRR ogłoszono tygodniową żałobę narodową. Rok później w Wilnie pochowano przewiezione z Litwy szczątki matki Marszałka i – zgodnie z jego życzeniem – do grobu włożono też urnę z jego sercem.

„Nie było systemu pomajowego – podsumowywał dyplomata Kajetan Morawski. – Był tylko najpierw Piłsudski, genialny szlachcic o intuicji męża stanu i temperamencie rewolucjonisty, wielkopański i rubaszny, równie bliski trywialności legendy, dla którego Polska była jakimś wielkim Zułowem czy Pikieliszkami, że chodził po niej, gderząc i dziwacząc, i kijem sękatym poganiał lub przepędzał parobków i ekonomów. Swą renesansową bujnością i litewskim uporem, szerokością swych koncepcji i małostkową mściwością, swą osobą i legendą przysłonił i przytłoczył cały okres dziejów Polski i wdarł się w życie każdego z nas. Wszyscy ci, co chcieli i nie chcieli, bardziej niż sobą samym byliśmy jego współczesnymi. A potem był Piłsudski stary i chory, a potem były walki diadochów”[13].

Zjazd legionistów w Radomiu. Na trybunie stoją od lewej: marszałek Józef Piłsudski, generał Władysław Bończa-Uzdowski, pułkownik Walery Sławek i generał Edward Śmigły-Rydz, sierpień 1930 roku

foto Archiwum Karlicki/East News

Marszałek Józef Piłsudski przy eksportacji zwłok siostry Zofii Kadencowej ze szpitala na Dworzec Główny, Warszawa, 6 lutego 1935 roku

foto Narodowe Archiwum Cyfrowe

Jedno z ostatnich zdjęć Marszałka Piłsudskiego, Dworzec Wschodni, Warszawa, 20 marca 1935 roku

foto Narodowe Archiwum Cyfrowe

Aleksandra Piłsudska idąca w kondukcie pogrzebowym. Wdowę prowadzi generał Edward Śmigły-Rydz, za nimi generał Kazimierz Sosnkowski

foto Narodowe Archiwum Cyfrowe

Generałowie znoszą trumnę ze zwłokami Marszałka Piłsudskiego do krypty św. Leonarda. Z przodu Edward Śmigły-Rydz i Kazimierz Sosnkowski

foto East News

Edward Śmigły-Rydz podczas uroczystości ku czci Michała Pyrza, który w 1624 roku odparł najazd Tatarów

foto Narodowe Archiwum Cyfrowe

Edward Śmigły-Rydz z Martą Thomas-Zaleską oddają głosy w wyborach parlamentarnych

foto Narodowe Archiwum Cyfrowe

ŻOŁNIERZ POLSKI
WE WŁOSZECH

Generał
Józef Haller

foto Narodowe Archiwum Cyfrowe

Rozdział 7

Wojna diadochów

Krajobraz bez Marszałka

Śmierć Piłsudskiego stanowiła wyraźną cezurę w dziejach II Rzeczypospolitej. Osobę Marszałka utożsamiano z niepodległością kraju, powszechnie też uważano, że potrafił zapewnić Polsce bezpieczeństwo. I chociaż „nie był ojcem dla wszystkich, ale był nim dla wielu milionów. Ojcem wybranym i przybranym, surowym i bezwzględnym, czasami zdało się, że nieczułym", ale jednak ojcem. Piłsudski zresztą zadowalał się stanowiskami dopuszczonymi przez obowiązujące prawo, zupełnie nie dbając o zaszczyty, tytuły czy wizualną oprawę władzy. Wszyscy i tak wiedzieli, że Polska była największą miłością jego życia – było to jego szczęście i przekleństwo zarazem. I że nikt nie będzie miał już takiego autorytetu jak samotnik z Belwederu.

„Gdy w państwie umiera jeden z ministrów – potwierdzał Roman Dmowski – powstaje tylko kwestia postawienia innego na jego miejsce. Zgon wszakże ministra spraw wojskowych Rzeczypospolitej wytworzył kwestie niewspółmiernie większe. Człowiek, który formalnie zajmował skromne stanowisko ministra, był w istocie głową władzy w Polsce. (…) Sam rząd legitymował się tym, że jest jego woli wykonawcą. (…) Gdy pytano o program, odpowiedź była: »Idea marszałka Piłsudskiego«. Wyznawcy tej idei nie ważyli się jej tłumaczyć. (…) Dziś, gdy mózg, który tę ideę stworzył i rozwijał, przestał działać, spadkobiercy jej będący w rządzie czy poza rządem są zmuszeni sformułować ją w program, o ile się bowiem zdaje, nie ma wśród nich nikogo, którego nazwisko za program by starczyło"[1].

Największą porażką Piłsudskiego był brak sukcesora. Ten człowiek tak bardzo przerastał współczesnych, że nie znalazł w swoim otoczeniu nikogo, kto mógłby go zastąpić. I chociaż zdawał sobie z tego sprawę, poszukując

rozwiązania, popełnił błąd, który zaważył na losach Polski. Nie wziął pod uwagę podstawowego czynnika: ludzkich ambicji.

Marszałek nie zostawił pisemnego testamentu politycznego. Prawdopodobnie zaplanował harmonijną współpracę prezydenta (miał nim zostać Walery Sławek) z Generalnym Inspektorem Sił Zbrojnych („Śmigły” lub Sosnkowski) oraz rządem. Nie dał żadnych dyspozycji co do osoby premiera, uznając to za sprawę drugorzędną. Ale zrobił jeden wyjątek: na stanowisku ministra spraw zagranicznych widział Józefa Becka – i w tym przypadku wola ta miała być uszanowana. W innych okolicznościach raczej nikt specjalnie nie zwracałby na nią uwagi.

Generalny Inspektor Sił Zbrojnych

Śmierć Piłsudskiego zapoczątkowała walkę o władzę w kraju – był to jednak proces trwający miesiące, a nawet lata. Podstawowy problem, który należało natychmiast rozwiązać, stanowiło obsadzenie stanowisk: Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych i ministra spraw wojskowych. Wymagało tego bezpieczeństwo państwa. Z nominacją na ministra nie było problemu – został nim Tadeusz Kasprzycki, przez kilka poprzednich lat pełniący funkcję pierwszego wiceministra. Był generałem brygady, w 1914 roku dowodził Pierwszą Kompanią Kadrową, później działał w POW, pełnił funkcję szefa adiutantury Naczelnego Wodza, skończył Wyższą Szkołę Wojenną w Paryżu i dowodził 19 Dywizją Piechoty w Wilnie. Był zatem generałem bojowym, wykształconym, doświadczonym zarówno w walce, jak i działaniach administracji państwowej oraz długoletnim podwładnym Edwarda Śmigłego-Rydza.

Większy problem stanowiła obsada wakatu Generalnego Inspektora, najważniejszego wojskowego stanowiska w kraju. Miała o tym zadecydować zwołana natychmiast po śmierci Marszałka Rada Gabinetowa z udziałem prezydenta Mościckiego. Podczas nocnych obrad wysunięto początkowo dwie, a potem nawet trzy kandydatury. Rozpatrywano osobę Sosnkowskiego, który jeszcze kilka lat wcześniej wydawał się naturalnym sukcesorem Piłsudskiego. Wprawdzie od zamachu majowego Marszałek zdecydowanie preferował „Śmigłego”, jednak w kwestiach wojskowych mimo wszystko zachował dużo zaufania do dawnego współpracownika. Wyjeżdżając bowiem na kilkumiesięczny wypoczynek (na Maderę, do

Egiptu), powierzał kierownictwo Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych właśnie Sosnkowskiemu, co zapewne nie było przypadkiem.

Jednak zdawał sobie sprawę z jego wad i w opinii na temat „Szefa" uwypuklił niepokojące cechy osobowości:

„Charakter niezbyt silny. Łatwo może stracić wiarę w siebie przy niepowodzeniach i nieszczęściach. Wtedy prędko by zrzucał z siebie odpowiedzialność na wszelkiego rodzaju rady wojskowe. (…) Dla podwładnych zbyt względny. Dla podtrzymania braków charakteru wymaga otoczenia, z którym by żył osobiście dobrze i które by wytwarzało atmosferę ciepła i pociechę w niepowodzeniach"[2].

Dla Mościckiego i Sławka niezwykle ważny był także fakt, że Sosnkowski miał doświadczenie polityczne – wcześniej dwukrotnie pełnił funkcję ministra spraw wojskowych. Taki człowiek nie był im potrzebny, chcieli bowiem umocować w GISZ-u wojskowego fachowca, który nie będzie mieszał się do polityki. Dlatego Sławek zaproponował generała Gustawa Orlicza-Dreszera, zwycięzcę z maja 1926 roku. Nieco młodszy od Sosnkowskiego, popularny w wojsku, nie posiadał żadnego zaplecza politycznego. Gdy jednak Sławek zorientował się, że Mościcki nie forsuje kandydatury Sosnkowskiego, szybko doszedł do porozumienia z prezydentem i podpisał nominację dla „Śmigłego".

Nominacja „Śmigłego", ogłoszona dzień później w „Dzienniku Personalnym Ministerstwa Spraw Wojskowych", spotkała się z przychylnym przyjęciem grupy pułkowników, czyli najbliższych współpracowników zmarłego Marszałka.

„[Beck] informuje mnie o pierwszych zarządzeniach – wspominał dyplomata Jan Szembek – wydanych w związku ze śmiercią Marszałka. Wyraża wielkie zadowolenie z nominacji generała Śmigłego-Rydza. Mimo wielkiego wstrząsu, jaki przeżywał kraj w związku ze śmiercią Marszałka, wojsko pozostało nietknięte. Marszałek pozostawił je w całkowitym porządku, poza tym pragnąc zawsze, by po jego śmierci przede wszystkim sprawy wojskowe zostały natychmiast załatwione, dał Prezydentowi Mościckiemu w tej mierze bardzo szczegółowe informacje, dotyczące także personalii"[3].

Chociaż nowy Generalny Inspektor był doskonale znany w armii i sferach rządowych, dla większości społeczeństwa pozostawał jednak postacią anonimową. I to nie tylko dla przeciętnego Polaka, lecz także dla ludzi na co dzień mających styczność z polityką.

„Śmigły jest radykałem i lewicowcem – pisał prymas Polski, August Hlond do arcybiskupa Teodorowicza – ale w gruncie rzeczy porządnym człowiekiem. Niestety, wojskowo zdolny, ma być zupełnym analfabetą w rzeczach politycznych”[4].

Faktycznie, „Śmigły” od czasów rządu lubelskiego zdecydowanie unikał polityki – nie była to jego dziedzina. Jako wojskowy osiągnął właśnie najwyższą z możliwych funkcję w kraju. Niebawem okazało się jednak, że polityka także miała go wciągnąć. Zresztą na stanowisku Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych było to nieuniknione…

Obsesje Walerego Sławka

Przez ostatnie dwa lata życia Piłsudski powtarzał swoim zwolennikom, że „gdy zostanie uchwalona nowa konstytucja, głową państwa zostanie Walery Sławek”. Mościckiemu, aktualnemu prezydentowi, oznajmił to w nieco bardziej dyplomatyczny sposób, mówiąc: „Gdy będziesz już bardzo zmęczony, na twoje miejsce powinien przyjść Sławek”.

W kwietniu 1935 roku uchwalono konstytucję, niespełna miesiąc później zmarł Piłsudski, a Mościcki wcale nie poczuł się zmęczony. I właśnie to stanowiło podstawowy problem w realizacji zamierzeń Marszałka, gdyż doszło do „pęknięcia magicznej obręczy: zespół dotąd karnie idący w zaprzęgu – w pracy dla państwa – rozpadać się zaczął wkrótce na kilka grup, różniących się co do metod rozwiązania głębokiego kryzysu, jaki śmierć Piłsudskiego wywołać musiała. Później też odezwały się i ambicje osobiste”[5].

Wszystkiemu zawinił kalendarz, ale nie ten zwykły, który wskazywał, że Mościcki zbliża się do 70. roku życia, lecz polityczny. Kadencja parlamentu dobiegała końca, a wybory zostały zaplanowane na koniec lata 1935 roku. W tej sytuacji naturalnym rozwiązaniem było przeprowadzenie wszystkich zmian dopiero po głosowaniu. Jednak kilka miesięcy wystarczyło, by pojawiły się pytania, czy Walery Sławek na stanowisku prezydenta jest rzeczywiście najlepszym rozwiązaniem dla Polski.

Konstytucja kwietniowa była w tamtych latach jedną z najlepszych ustaw zasadniczych na świecie. Uwidoczniało się to szczególnie w porównaniu z krajami ościennymi, które były dalekie od demokracji, a władzę sprawowano tam z całkowitym lekceważeniem parlamentu i społeczeństwa. W Berlinie i Moskwie panował totalitaryzm, a z przeciwnikami

politycznymi rozprawiano się za pomocą egzekucji i obozów. Z kolei w Bukareszcie po dyktatorsku rządził król Karol, regularnie dokonywano tam morderstw politycznych, a parlamentarną większość miała partia wybrana przez monarchę. W rzekomo demokratycznej Czechosłowacji władza nie zmieniała się w ogóle i przez cztery kadencje (chociaż konstytucja zezwalała jedynie na dwie) prezydentem był Tomáš Masaryk, który swoje decyzje czasami konsultował z szefami pięciu największych partii politycznych, zapominając w ogóle o parlamencie. Podobna sytuacja miała miejsce u naszych północnych sąsiadów: na Łotwie i w Republice Litewskiej, gdzie prezydenci zdobyli dyktatorską władzę.

Natomiast w Rzeczypospolitej rola parlamentu zawsze była znacząca, co potwierdza postępowanie Piłsudskiego. Wprawdzie Marszałek niemal zawsze walczył z Sejmem, obrzucając przy tym posłów niewybrednymi wyzwiskami, ale nigdy go nie lekceważył. Nawet rozprawę z opozycją zakończoną procesem brzeskim rozpoczął po wygaśnięciu immunitetu byłych posłów. Nowa konstytucja utrzymywała wysoką pozycję parlamentu, ministrowie wciąż byli przed nim odpowiedzialni.

Zmiana dotyczyła roli, jaką powierzono prezydentowi – mógł odtąd wydawać dekrety i mianować w czasie pokoju Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych, a w czasie wojny Wodza Naczelnego armii. W przypadku konfliktu zbrojnego prezydent mógł też wyznaczać swojego następcę. Warto pamiętać, że Konstytucja kwietniowa została opracowana przez Marszałka i jego pułkowników, czyli ludzi doskonale pamiętających, że Polska musiała stoczyć wojnę w obronie niepodległości. Nic zatem dziwnego, że ich priorytetem była dbałość o sprawne funkcjonowanie mechanizmów państwa podczas zawieruchy wojennej. Wybiegając nieco w niespokojną przyszłość – pod tym względem konstytucja zdała egzamin doskonale.

Walery Sławek przez wiele lat stał wiernie u boku Józefa Piłsudskiego, będąc jego najbliższym współpracownikiem i powiernikiem. Trzykrotnie pełnił funkcję premiera, powołał też Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem, który stał się najbardziej znaczącą siłą w parlamencie. Nie stworzono piłsudczykowskiej partii politycznej – Marszałek, uważając system partyjny za zło konieczne, traktował go z najwyższą nieufnością. Natomiast Sławek był fantastą, marzył o całkowitej likwidacji partii politycznych i po śmierci Marszałka coraz głośniej o tym mówił. Proponował zastąpienie ich organizacjami społecznymi, opartymi na

lokalnych i ogólnopaństwowych autorytetach. Wizja Polski bez partii politycznych była wprawdzie pociągająca niemal dla wszystkich (poza ich przywódcami), ale całkowicie nierealna. Likwidacja partii zdezorganizowałaby życie polityczne, wprowadzając zamęt, który doprowadziłby do katastrofy. Widzieli to wyraźnie współpracownicy Walerego Sławka, wskazując, że należy raczej rozszerzać bazę partyjno-polityczną obozu rządzącego, a nie dokonywać jego dezintegracji.

Sławek był jednak głuchy na wszelkie sugestie i całkowicie zatracił się w pracy nad nową ordynacją wyborczą, która miała zrealizować jego wizję Polski rządzonej przez organizacje społeczne. Uczciwie trzeba przyznać, że pułkownik miał także dobre pomysły: ograniczono liczbę posłów, a sam pięcioprzymiotnikowy proces ich wyboru spełniał wszelkie standardy demokratyczne. Wątpliwości natomiast wzbudzała kwestia wyznaczania kandydatów do Sejmu. Dotychczas listy były układane przez partie polityczne, a właściwie przez ich przywódców, co do dzisiaj uważa się za jedną z największych wad systemu partyjnego. Próbę zmiany podjął Walery Sławek, ale – jak można było przypuszczać – okazała się ona całkowicie nieudana.

Według premiera kandydatów miały wyznaczać lokalne zgromadzenia wyborcze, składające się z przedstawicieli samorządu terytorialnego, gospodarczego i zawodowego, przedstawicieli związków zawodowych i organizacji społecznych oraz dużych grup obywateli. Było to rozwiązanie kompletnie nieudane, jednak zostało zaaprobowane przez Sejm; opozycja była zbyt słaba, a sfery rządowe popierały Sławka jako następcę Komendanta. Przez przeciwników sanacji nowa ordynacja niemal natychmiast została uznana za niedemokratyczną. I chyba całkiem słusznie.

Wszystkie partie opozycyjne ogłosiły bojkot wyborów, do urn poszła mniej niż połowa uprawnionych do głosowania. Obecnie uznano by to za całkiem niezły wynik, jednak w tamtych czasach głosowało prawie 3/4 wyborców. Dlatego, chociaż wybory zakończyły się zwycięstwem sanacji, wizerunkowo była to jednak porażka – sanacji i Walerego Sławka.

Narodziny nowego układu

Konstytucja kwietniowa dawała ogromną władzę prezydentowi, a Mościcki nie chciał już dłużej być marionetką. Doskonale pamiętał, że latami był lekceważony przez elitę sanacji („tyle znacy, co Ignacy, a Ignacy gówno

znacy”), po śmierci Piłsudskiego poczuł się w końcu pierwszą osobą w państwie i nie zamierzał zrezygnować z urzędu. Chociaż jego pozycja nie była jeszcze ugruntowana i „najsłabszy nacisk zmusiłby go do ustąpienia”, to Sławek, zajęty wyborami, nie potrafił się zdobyć na działanie. Złudzeń nie mieli inni piłsudczycy, a Ignacy Matuszewski powiedział wprost, że „miejsce w tramwaju się ustępuje, a nie władzę w kraju”. Nie pomogło również ultimatum postawione Sławkowi przez innego z pułkowników, Bogusława Miedzińskiego („albo obejmiesz władzę, albo ja wysunę kogo innego na wodza obozu legionowego”). A może po prostu premier wiedział, że nie nadaje się na stanowisko głowy państwa obdarzonej realną władzą? Aleksander Prystor wspominał, że „jeżeli stawiał po śmierci Marszałka jakiś problem Sławkowi, to miał wrażenie, że Walery sięgnie za chwilę do telefonu, by prosić Komendanta o przyjęcie”.

Jeszcze w połowie lipca Mościcki udekorował Sławka najwyższym cywilnym odznaczeniem – Orderem Orła Białego. Odpowiednio uhonorowani zostali też jego współpracownicy, ale był to tylko nic nieznaczący gest w brutalnej grze o władzę.

Prezydentowi sprzyjał fakt, że Sławek był zdeklarowanym państwowcem i uznawał, że nie można zmuszać do ustąpienia głowy państwa. Konstytucja oddawała władzę w kraju prezydentowi i tylko on mógł podjąć decyzję o rezygnacji ze stanowiska. Inne działania uznawał za niedopuszczalny atak na głowę państwa, nie do zaakceptowania w kraju obowiązującego prawa. Tego przede wszystkim chciał uniknąć – zarówno z własnego przekonania, jak i ze względów wizerunkowych. Za jedyną dopuszczalną możliwość objęcia władzy uznawał sytuację, gdy Mościcki – zgodnie z wolą Piłsudskiego – sam zrezygnuje ze stanowiska.

Dlatego w połowie października, już po ukonstytuowaniu się Sejmu, Sławek spotkał się z prezydentem na Zamku Królewskim w Warszawie. Przypomniał mu o decyzji Komendanta, natomiast Mościcki zauważył, że miał odejść dopiero wtedy, gdy poczuje się zmęczony. A wcale takim się nie czuł – wydawało się nawet, że właśnie przeżywa drugą młodość. Ten rówieśnik Piłsudskiego zaskakiwał otoczenie swoim wigorem, dwa lata wcześniej poślubił młodszą o blisko 30 lat Marię Dobrzańską (małżeństwo było bardzo udane), a teraz brał odwet za lata upokorzeń. Zawsze zresztą doskonale czuł się na stanowisku prezydenta, sprawiając wrażenie, „jakby urodził się w pobliżu tronu”. Miał idealną prezencję, doskonałe maniery, a teraz poczuł się najważniejszą osobą w kraju.

„Był to piękny, rasowy okaz Polonusa – wspominał dziennikarz Konrad Olchowicz – z mlecznobiałą czupryną i takimż wąsem, jakby żywcem z dawnych wieków we współczesność przeniesiony, dopiero co z kontusza w modnie skrojony frak czy żakiet przebrany, obdarzony przy tym szlachetną wyniosłością postawy i dostojeństwem w posuwistych (…) polonezowych ruchach”[6].

Prezydent kategorycznie odmówił ustąpienia ze stanowiska, ale zaproponował Sławkowi pozostanie na urzędzie premiera. Do rządu miał jednak także wejść Eugeniusz Kwiatkowski – jako minister skarbu i wicepremier zajmujący się sprawami ekonomicznymi. Pułkownik odmówił, nie tyle nawet z powodów ambicjonalnych, ile grożąc dymisją, chciał wymusić na prezydencie odejście ze stanowiska. Nic nie osiągnął, Mościcki wyznaczył na premiera byłego ministra spraw wewnętrznych, Mariana Zyndrama-Kościałkowskiego. Poza stopniem wojskowym nie miał on nic wspólnego z grupą pułkowników.

W tej sytuacji Sławek zwrócił się o interwencję do Becka, którego pozycja nie podlegała dyskusji. Beck faktycznie początkowo odmówił wejścia do nowego gabinetu i nawet nakłaniał Sławka do bardziej energicznych nacisków na prezydenta, by ten spełnił wolę zmarłego Marszałka. Sławek jednak nie zdecydował się na podjęcie walki politycznej, twierdząc, że „nie może się zdobyć na tak ostre działanie, jeśli może być podejrzewany o ambicje osobiste”[7]. Wobec tego Beck zgodził się więc na ponowne objęcie stanowiska ministerialnego, a za nim poszli inni pułkownicy.

Sytuacja układała się po myśli Mościckiego, bowiem po dwóch tygodniach Sławek w akcie desperacji rozwiązał Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem. Było to jego samobójstwo polityczne, gdyż pozbawił się jakiegokolwiek wpływu na politykę Rzeczypospolitej. Wprawdzie planował powołanie nowej organizacji społecznej, jednak nie zdawał sobie sprawy z faktu, że Mościcki niebawem uzyska nowy atut w walce o władzę. Doszedł bowiem do wniosku, że samotnie nie wygra rywalizacji i potrzebne jest mu poparcie Śmigłego-Rydza. Miał mu do zaoferowania nie tylko podzielenie się władzą w kraju, lecz także awans, o jakim marzy każdy zawodowy wojskowy…

Msza na dziedzińcu wawelskim z udziałem premiera Walerego Sławka i Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych Edwarda Śmigłego-Rydza, Kraków, 6 sierpnia 1935 roku

foto Narodowe Archiwum Cyfrowe

Rozdział 8

Czas wielkiej polityki

Człowiek wygodny dla wszystkich

Nowy premier Marian Zyndram-Kościałkowski nie miał łatwego zadania. Sytuacja finansowa państwa była w opłakanym stanie (wielki kryzys w Polsce trwał do 1935 roku), a do tego scena polityczna była daleka od stabilizacji. Na domiar złego bardzo duże ambicje przejawiał wysoko ceniony przez prezydenta wicepremier Eugeniusz Kwiatkowski – polityk ten starał się zmonopolizować wszystkie decyzje gospodarcze, a nawet chętnie by objął stanowisko prezesa Rady Ministrów.

W tym czasie nowy Generalny Inspektor, generał Edward Śmigły-Rydz, zajmował się sprawami wojska i wypełniał liczne funkcje reprezentacyjne. Przewodniczył stowarzyszeniom kombatanckim, spotykał się z członkami organizacji społecznych i młodzieżowych, przemawiał na oficjalnych uroczystościach. Nie brał udziału w rozgrywkach politycznych, chociaż niemal wszystkie środowiska w kraju wiązały z nim duże nadzieje.

Narodowcy uważali, że generał – jak przystało na patriotę – podziela przekonania nacjonalistyczne. Socjaliści dostrzegali w nim skłonności lewicowe, a ludowcy sympatię do chłopów. Opozycyjna prasa informowała o rzekomych atakach „Śmigłego” na ministra Becka, a plotki te przekazywali do swoich stolic ambasadorowie akredytowani w Warszawie. Niewiele było w tym wszystkim prawdy. Chociaż „Śmigły” faktycznie był patriotą i zdarzyło mu się piastować stanowisko ministra w socjalistycznym rządzie Daszyńskiego, a do chłopów rzeczywiście odnosił się z sympatią, to oczekiwania opozycjonistów pozostawały tylko pobożnymi życzeniami. Generalny Inspektor bardzo rzadko wypowiadał się na tematy polityczne, a jego przemówienia były komponowane w taki sposób, by nie zrazić żadnego środowiska i nie mieszać wojska do bieżących spraw.

Także dla polityków popierających rząd „Śmigły” był bardzo wygodną osobą. Tzw. grupa zamkowa prezydenta Mościckiego widziała w nim człowieka, który nie przepadał za pułkownikami, gdyż został przez nich odsunięty od bliskich kontaktów z Piłsudskim. Tymczasem sami pułkownicy uważali go za przyjaciela zmarłego Marszałka, który nie przepadał za cywilami z otoczenia Mościckiego.

W rzeczywistości „Śmigły” nie był zachwycony powołaniem Kościałkowskiego na stanowisko premiera i dał to odczuć Mościckiemu. Prezydent jednak postawił na swoim, co spotkało się z niechęcią generała. Ale ponieważ prawdziwi politycy nigdy nie chowają długo urazy (zwłaszcza gdy nadarza się okazja do zysku), dlatego narastający konflikt pomiędzy Mościckim a pułkownikami spowodował, że na Zamku zaczęto myśleć o zdobyciu poparcia „Śmigłego”.

Pomysł spotkał się z żywiołowym poparciem wicepremiera Kwiatkowskiego, a jego słowo wiele znaczyło u prezydenta. Także w otoczeniu Rydza narastało przekonanie, że generał powinien czynnie włączyć się do polityki. Wprawdzie początkowo „rachunek na »Śmigłego« był robiony przypuszczalnie bez »Śmigłego«”, ale szef armii miał podstawy do niezadowolenia z rządu. Sytuacja finansowa państwa, czyli także wojska, była katastrofalna i nic nie zapowiadało jej poprawy. „Śmigły” uważał również, że Beck niedostatecznie informował go o inicjatywach dyplomatycznych, co było kluczowe dla sprawy obronności kraju. W efekcie stało się to, co musiało się stać.

W grudniu 1935 roku doszło do nieformalnego porozumienia pomiędzy generałem a prezydentem. Było ono tak tajne, że właściwie niewiele o nim wiadomo, znane są tylko następstwa rozmów pomiędzy Mościckim a „Śmigłym”. Miały one określić sytuację w kraju na najbliższe lata.

Sprawa słynnego okólnika

Wiosną 1936 roku doszło do wydarzeń, które zadecydowały o losach rządu Zyndrama-Kościałkowskiego. Niemal w całym kraju strajkowali robotnicy, a protesty kończyły się ofiarami śmiertelnymi. W marcu policja rozbiła strajk w Krakowie, gdzie zginęło ośmiu protestujących, miesiąc później we Lwowie padło kolejnych dziewięć ofiar, a miasto zostało zdemolowane i splądrowane. Zwiększenie podatków i zamrożenie płac wywołały

wściekłość robotników, a w dodatku zmniejszyły aktywność kupców i rzemieślników. Kasa państwa wciąż była pusta.

Należało zmienić politykę ekonomiczną, a przy okazji rząd. Kościałkowski nie uchodził za specjalnie zdolnego polityka, złośliwi twierdzili, że „nie mógł przeprowadzić swej woli ani w stosunku do własnej żony, ani jako premier". W tej sytuacji na czele gabinetu musiał stanąć ktoś inny i rolę tę wyznaczono sprawdzonemu wykonawcy poleceń Piłsudskiego, generałowi Felicjanowi Sławojowi Składkowskiemu. „Śmigły" poinformował go o tym osobiście.

„(…) wprowadzony zostałem – wspominał Składkowski – (…) do gabinetu generała, który bez żadnych wstępów oświadczył mi, iż premier Kościałkowski podał się do dymisji i że Pan Prezydent Rzeczypospolitej, w porozumieniu z generałem, postanowił powierzyć mi uformowanie rządu, w charakterze premiera. Generał dodał z uśmiechem, iż kosztowało go »nieco« trudu przekonanie Pana Prezydenta o celowości powołania mnie na prezesa Rady Ministrów i że wobec dotychczasowych prac nad życiem gospodarczym Państwa minister skarbu Kwiatkowski wejdzie do mojego gabinetu jako wicepremier gospodarczy z zadaniem koordynowania prac finansowych i gospodarczych rządu i prowadzenia Komitetu Ekonomicznego Ministrów"[1].

Nowy rząd był typowym gabinetem technicznym, w którym rozgrywki polityczne zeszły na dalszy plan. Składkowski już wcześniej dość skutecznie pełnił funkcję ministra spraw wewnętrznych, a następnie długoletniego II wiceministra spraw wojskowych i szefa Administracji Armii. Ten mało efektowny tytuł oznaczał, że na jego barkach spoczywały sprawy administracyjne wojska – zatem ciężka, żmudna i niewdzięczna praca, którą rzadko ktoś dostrzegał. Dlatego też Składkowski idealnie nadawał się na prezesa Rady Ministrów powołanej po to, by zakończyć spory polityczne.

W połowie lipca 1936 roku nowy premier opublikował okólnik, czyli rodzaj oficjalnego pisma z zaleceniami dla podległych mu urzędników. Jego treść do dzisiaj wzbudza zajadłe spory, nie brakuje bowiem badaczy, którzy uważają, że Składkowski złamał konstytucję.

„Zgodnie z wolą Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Ignacego Mościckiego zarządzam, co następuje: Generał Śmigły-Rydz, wyznaczony przez Pana Marszałka Józefa Piłsudskiego, jako Pierwszy Obrońca Ojczyzny i pierwszy współpracownik Pana Prezydenta Rzeczypospolitej

w rządzeniu państwem, ma być uważany i szanowany jako pierwsza w Polsce osoba po Panu Prezydencie Rzeczypospolitej. Wszyscy funkcjonariusze państwowi z prezesem Rady Ministrów na czele okazywać Mu winni objawy honoru i posłuszeństwa”[2].

Według najbardziej rozpowszechnionej wersji okólnik Składkowskiego miał potwierdzać jego służalczość wobec przełożonych i rodzące się ambicje polityczne „Śmigłego”. W rzeczywistości jednak sformułowanie premiera ogłaszające Rydza „drugą osobą w państwie” dotyczyło wyłącznie sprawy precedencji, czyli kwestii typowo proceduralnych, takich jak: pierwszeństwo i kolejność witania oraz zabierania głosu i zajmowania miejsc podczas oficjalnych spotkań. Precedencja to kwestia protokołu dyplomatycznego, sprawa bardzo istotna w polityce międzynarodowej.

Dotychczas w Polsce obowiązywał protokół dyplomatyczny opracowany w 1924 roku przez Stefana i Rajnolda Przeździeckich, jednak w chwili, gdy powstawał, nie istniało jeszcze stanowisko Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych. Twórcy protokołu nie przewidywali również, że na czele Rady Ministrów stanie generał dywizji, a ministrami będą oficerowie. Zatem komu mieli salutować jako pierwszemu? Bezpośredniemu przełożonemu cywilnemu, czyli generałowi-premierowi, czy też dowódcy sił zbrojnych? Okólnik rozwiązywał takie problemy w sposób jednoznaczny.

Trudno nie mieć poważnych zastrzeżeń do jego treści, a szczególne zdziwienie wywołuje polecenie okazywania posłuszeństwa przez wszystkich funkcjonariuszy państwowych. Było ono bez wątpienia niezgodne z obowiązującym prawem, gdyż Generalny Inspektor funkcjonował jako przełożony sił zbrojnych, a nie cywilnej administracji. Do tego słowa użyte w okólniku były wyjątkowo niezręczne, nic zatem dziwnego, że urzędnicy kancelarii prezesa Rady Ministrów protestowali przed opublikowaniem dokumentu w takiej formie. Premier Składkowski jednak niemal dosłownie zacytował słowa Mościckiego.

„Gdy przyjechałem służbowo – wspominał premier – odwiedzić Prezydenta na zamku w Wiśle, wyraził on życzenie, aby marszałek Śmigły był drugą po nim osobą w państwie, a to jako przygotowanie do wyboru Śmigłego Prezydentem Rzeczypospolitej w 1940 roku. Na tej zasadzie, po powrocie do Warszawy wydałem tak zwany Okólnik o drugiej osobie w państwie, za niezręczność i brak celowości którego ponoszę wyłączną odpowiedzialność”[3].

Na wydaniu okólnika najwięcej stracił minister skarbu i wicepremier Eugeniusz Kwiatkowski, gdyż właściwie jego działalność w zakresie finansów dla wojska została podporządkowana Generalnemu Inspektorowi. Natomiast zyskiwali wszyscy pozostali: „Śmigły” (także ze względów prestiżowych), Składkowski jako jego człowiek, a najwięcej sam prezydent. Od tej chwili miał dwóch cennych sprzymierzeńców w rozgrywce wewnątrz własnej grupy oraz w rywalizacji z pułkownikami.

Mościckiemu było potrzebne poparcie „Śmigłego” – stąd też wziął się pomysł, by generał w 1940 roku przejął od niego stanowisko głowy państwa. Prezydent miałby wówczas już 73 lata i nadchodził dla niego czas na polityczną emeryturę. Na razie jednak zadbał, by zaspokoić typowo oficerskie ambicje Rydza, tym bardziej że bieżąca sytuacja wymagała pilnego uregulowania kwestii stopnia wojskowego Generalnego Inspektora.

Buława marszałkowska

W chwili śmierci Piłsudskiego w Wojsku Polskim służyło kilkudziesięciu generałów, z czego większość była generałami brygady (jedna gwiazdka na pagonach), a dziewięciu generałami dywizji (dwie gwiazdki). Natomiast żaden oficer nie nosił najwyższego stopnia generalskiego, czyli generała broni.

W efekcie dywizjami dowodzili generałowie brygady lub nawet pułkownicy, co wynikało także z zasady ograniczenia liczby pośredników pomiędzy wodzem naczelnym a dowódcą związku taktycznego. Tymczasem w armiach naszych sojuszników nie przejmowano się takimi sprawami i awanse generalskie stanowiły dodatkowy splendor dla najwyższej kadry oficerskiej. Czasami rodziło to jednak problemy natury protokolarnej, szczególnie podczas rozmów na najwyższym szczeblu wojskowym. Nie było kłopotu, gdy Polskę reprezentował marszałek Piłsudski, ale jego następca miał już znacznie trudniejszą sytuację. Królestwo Rumunii posiadające nieco mniejszą armię od polskiej miało kilku czterogwiazdkowych generałów i dwóch marszałków. We Francji także było dwóch marszałków oraz generałowie noszący na pagonach cztery i pięć gwiazdek. Gdy zatem w 1936 roku doszło do bezpośrednich kontaktów pomiędzy dwoma najstarszymi stopniem oficerami Francji i Polski pozostającymi w służbie czynnej, to pięciogwiazdkowy generał armii Maurice Gamelin rozmawiał z dwugwiazdkowym generałem dywizji

Edwardem Śmigłym-Rydzem. We Francji i w większości krajów świata dwugwiazdkowi generałowie dowodzili bowiem dywizją, a nie całością sił zbrojnych!

Sytuacja wymagała więc pilnego rozwiązania i koniecznością stał się awans „Śmigłego” – najlepiej od razu na stopień marszałka. Nie było to jednak łatwym zadaniem, gdyż już przyjęcie przez Piłsudskiego tego stopnia w 1922 roku wywołało ostre protesty prawicy. Teraz niezadowolenie mogliby okazywać także zwolennicy Komendanta, powołując się na jego słowa, gdyż faktycznie wyraził się kiedyś, że Polska nie powinna mieć marszałków, gdy nie pozostaje w stanie wojny. Ale Piłsudski miał specyficzny stosunek do własnego stopnia wojskowego, nie bez powodu był „pierwszym marszałkiem Polski”, czyli tak naprawdę „jedynym marszałkiem” (stopień nadany Ferdinandowi Fochowi miał bowiem charakter tytularny). Nowe czasy wymagały jednak nowych rozwiązań, z czego doskonale zdawał sobie sprawę „Śmigły”. Poza tym który oficer oparłby się pokusie takiego awansu?

Problem stanowił także generał Sosnkowski, o takim samym stopniu i starszeństwie jak Rydz. Wprawdzie deklarował pełną lojalność wobec nowego szefa GISZ-u, lecz nigdy nie pozbył się ambicji, a na pewno był bardzo czuły na punkcie awansów i splendorów. Dlatego postarano się, by awans „Śmigłego” odbył się pod nieobecność Sosnkowskiego w kraju.

„Jak pamiętam – opowiadała Jadwiga Sosnkowska – była wtedy jesień i wraz z mężem wybieraliśmy się na Węgry. Mąż cierpiał na ischias, a zabiegi na wyspie świętej Małgorzaty robiły mu bardzo dobrze. Mieliśmy jechać w pierwszych dniach listopada, gdy tu raptem z Kancelarii Prezydenta i adiutantury Śmigłego zaczęli przychodzić rozmaici oficerowie, oferując pomoc w tym i w tym. To był pretekst. Chodziło o upewnienie się, czy wyjeżdżamy rzeczywiście i jaki jest termin wyjazdu. Mąż w tym czasie już wiedział, powiedział mu to prezydent, że otrzyma awans na generała broni i że podobny awans otrzyma Śmigły”[4].

Mościcki dotrzymał słowa, ale nie powiedział Sosnkowskiemu całej prawdy. Generał dowiedział się o sprawie w najgorszy z możliwych sposobów. Pani Jadwiga kupiła w Budapeszcie egzemplarz „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” z informacją o wydarzeniu:

„Mąż wziął gazetę do ręki i zbladł, nie powiedział nic, tylko poszedł do drugiej części apartamentu i przesiedział tam samotnie, bez słowa, chyba z pół dnia, tak że bałam się, czy coś mu się nie stało. Jego jedyny

komentarz głosił: dokładnie pół roku po pogrzebie serca Piłsudskiego pogwałcona została jego wola”[5].

Uroczystość odbyła się 10 listopada 1936 roku i otrzymała bogatą oprawę. Buławę marszałkowską poświęcono w kaplicy Zamku Królewskiego w Warszawie, a przekazanie jej „Śmigłemu” odbyło się na dziedzińcu budowli. Brali w niej udział przedstawiciele rządu, delegacje pułków, duchowieństwo i dyplomaci. Jednak nie brakowało sceptycznych głosów nawet wśród przedstawicieli i zwolenników sanacji. Szczególnie „starzy” piłsudczycy uważali, że godność ta należała się jedynie Piłsudskiemu, a „Śmigły” nie zasługiwał na takie wyróżnienie. Walery Sławek uznał datę mianowania nowego marszałka za „najsmutniejszy dzień w swoim życiu”, a złośliwi nazywali podwójną promocję Generalnego Inspektora „buławizacją”. Popularność zyskało też powiedzenie, że „pierwszy marszałek skazał Polskę na wielkość, a drugi ją z tego wyroku ułaskawił”…

Ulica Klonowa

Edward i Marta początkowo korzystali w Warszawie ze służbowego mieszkania odziedziczonego po Sikorskim (generał nigdy nie darował „Śmigłemu”, że musiał zwolnić lokal), później przenieśli się na ulicę Klonową. Zamieszkali w willi położonej niemal dokładnie naprzeciwko Belwederu, zajęli pierwsze piętro budynku, na dole mieściły się mieszkania adiutantów. Część parteru zajmował (wraz z rodziną) chorąży Walenty Wójcik – szef belwederskiej ochrony marszałka Piłsudskiego.

Wspomnienia jego syna potwierdzają przyjazny stosunek „Śmigłego” do otaczających go ludzi, a do dzieci w szczególności. Marszałek, wracając z pracy (lub do niej wychodząc), zawsze znalazł czas na chwilę rozmowy czy wręcz zabawy z najmłodszymi. A w najgorszym przypadku krótko obserwował dzieci z uśmiechem na twarzy. Zupełnie inaczej zachowywała się jego partnerka. Z reguły przechodziła w milczeniu, nie dostrzegając nikogo. Natomiast zwracała wyjątkową uwagę na ogrodników czy członków ekip remontowych. Często dzwoniła do nadzorującego prace inżyniera Zygmunta Protassewicza (męża Jadwigi Smosarskiej), zarzucając mu wyimaginowane niedociągnięcia.

We wspomnieniach współczesnych trudno znaleźć jakąkolwiek pozytywną opinię na temat Marty. Luciana Frassati zapisała, że „żona

Rydza-Śmigłego, osoba inteligentna i bardzo chorowita, cały wolny czas poświęcała na konsultacje z chiromantami; straszna to i bezskuteczna mania…”. Z kolei Jan Gawroński wspominał, że Marta, przebywając w 1936 roku w Wiedniu, „całymi tygodniami mojej żonie po prostu żyć nie dawała, wymagając ciągłego asystowania jej i drobnych usług, które samą swą ilością i częstotliwością stały się dla nas nader uciążliwe. Szczęściem, w końcu się obraziła”.

Edward mimo wszystko bardzo kochał kobietę swojego życia i martwił się jej postępującą chorobą i uzależnieniem. U Marty zdiagnozowano bowiem zanik nerwów w ręce, a ówczesna medycyna nie dawała nadziei na wyleczenie. Zachowały się relacje, że nie mogła już grać fortepianie, co bardzo przeżywała. Nic zatem dziwnego, że wokół „Śmigłego” i jego partnerki zaczęły krążyć dziwne osoby, które próbowały wyleczyć Martę niekonwencjonalnymi metodami.

Jedną z nich był niejaki Władysław Jaworowicz (czy też Jaworowski), który pojawił się w otoczeniu „Śmigłego” jeszcze pod koniec życia Piłsudskiego i szybko stał się niemal domownikiem.

„(…) Dzięki Władysławowi Jaroszewiczowi, warszawskiemu komisarzowi rządu – wspominał generał Kordian Zamorski – wtrynił się do Śmigłych znachor, Jaworowicz, pospolity żulik, były farmaceuta, podający się za tybetańskiego lekarza, który miał się nauczyć sztuki leczenia u jakiegoś Hindusa w Wiedniu. Mimo różnych ostrzeżeń Marta i Edward Śmigłowie wierzą mu i ten drab dniem i nocą u nich siedzi”[6].

Jaworowicza określano jako „jakiegoś ni to Niemca, ni Polaka”, ale rzeczywiście miał ponoć pewne osiągnięcia medyczne. Podejrzewano go jednak, że być może pracował dla obcego wywiadu, ewentualnie w przyszłości mógł szantażować „Śmigłego” i jego partnerkę. Nic zatem dziwnego, że objęto go dyskretną obserwacją.

Inwigilacja przyniosła zaskakujące rezultaty. Ustalono, że znachor w rzeczywistości był kapralem w batalionie sanitarnym w Poznaniu, a w Warszawie oprócz Marty „leczył jeszcze wiele innych prominentnych osobistości”. Wprawdzie nic nie wskazywało, by miał kontakty z obcymi agenturami, jednak już wcześniej dał się poznać na Pomorzu jako oszust i ciążyły nawet na nim wyroki skazujące. Nie przeszkadzało to jednak Marcie w wożeniu go służbowym samochodem męża, co legitymowało Jaworowicza w kręgach towarzyskich stolicy i zapewniało nowych pacjentów. Wprawdzie opowiadano, że znachor „głównie leczył

wzrokiem”, a nawet „podejmował się leczenia garbatych tą samą metodą”, lecz przedstawione dowody oszustwa wzbudziły w „Śmigłym” powątpiewanie w „prawdziwość przedstawionych mu ustaleń”[7]. Inna sprawa, że w pewnej chwili Jaworowicz zniknął z otoczenia Generalnego Inspektora, lecz zapewne przyczyną tego był fakt znikomej skuteczności jego kuracji, a nie brak zaufania do jego uczciwości.

Jaworowicz to niejedyna podejrzana postać zajmująca się medycyną niekonwencjonalną w otoczeniu „Śmigłego”. Pojawiał się tam także niejaki Woynowski próbujący leczyć wszystkie schorzenia miksturami własnej produkcji. „Śmigły” namówił nawet na kurację generała Zamorskiego, ten jednak uznał, że nie było „skutków żadnych, a nawet pogorszenie” stanu zdrowia…[8].

Tymczasem Marta nadal poszukiwała pomocy i ulgi w cierpieniu. Kolejną dziwną postacią, jaka pojawiła się w jej otoczeniu, była mistyczka katolicka ze Lwowa, Stefania Fulla Horak. Informacje na temat jej objawień dotarły do Warszawy, nic zatem dziwnego, że dostała zaproszenie od Marty i Edwarda. Było to już po marszałkowskiej nominacji „Śmigłego”[9].

W spotkaniu wziął także udział inny nietypowy znajomy Marty i Edwarda, inżynier Stefan Ossowiecki. Był to najsłynniejszy polski jasnowidz tamtych lat, w którego niezwykłe umiejętności wierzył nawet zdroworozsądkowy Piłsudski. Natomiast Marta zawsze miała skłonność do wiary w zjawiska nadprzyrodzone, a pod jej wpływem upodobania te podzielał także partner.

Nic bliższego nie wiadomo na temat ewentualnych prób leczenia Marty podjętych przez Fullę Horak, mistyczka otrzymała jednak stały bilet na okaziciela na wszystkie linie kolejowe, miała też okazję poznać wiele osób z ówczesnego establishmentu. Podobno zwracano się do niej o pomoc w uzyskaniu protekcji u „Śmigłego”, co miała z odrazą odrzucać. Nie zmienia to jednak faktu, że spotkała się nawet z kardynałem Hlondem, który wypytywał ją o prywatne sprawy i zdrowie „Śmigłego”.

Pewna jest natomiast informacja, że marszałek sfinansował wydanie jej książki *Święta Pani*, rodzaju pamiętnika zawierającego opisy objawień autorki, a także jej dialogi z Jezusem i świętymi. Czy wraz z partnerką do końca wierzyli w wizje Horak? Nie wiadomo. Mistyczka przeżyła wojnę i zmarła w opinii świętości w 1993 roku, a wznowienie książki cieszy się znacznym uznaniem w kręgach katolickich.

Jej spisane po latach wspomnienia na temat „Śmigłego” i Marty rażą jednak naiwnością i schematyzmem. Marszałek miał cały czas martwić się o przyszłość Polski, przewidując wielką katastrofę i upadek Starego Świata, natomiast Marta dziwiła się, że ludzie są tak zachłanni na pieniądze i doczesne dobra. Relacja mistyczki zdecydowanie odbiega od innych sądów na temat partnerki „Śmigłego” – to chyba jedyne pozytywne wspomnienie na jej temat, szkoda tylko, że tak mało wiarygodne. Inne opinie Horak na temat ówczesnych wydarzeń czy osób z establishmentu II Rzeczypospolitej, z którymi się spotykała, nie wytrzymują bowiem krytyki. Dlaczego zatem w przypadku Edwarda i Marty miałoby być inaczej?

Inna sprawa, że gdy moda na zjawiska paranormalne w latach 30.powoli przemijała, zainteresowanie „Śmigłego” i jego partnerki wciąż pozostawało na poprzednim poziomie. Ossowiecki organizował dla nich seanse jeszcze po śmierci Piłsudskiego, a podczas jednego z nich wywoływano ducha Komendanta. Seans miał się zakończyć sukcesem.

„Rzeczą charakterystyczną jest – pisał uczestniczący w spotkaniu Witold Grabowski – że pewność co do osobistego zjawienia się ducha Marszałka wynikła u uczestników z faktu, że ów duch w sposób bardzo nieparlamentarny wymyślał marszałkowi Śmigłemu, zresztą przedstawiając jego rolę, i w związku z tym przyszłość Polski, w bardzo czarnych barwach”[10].

Edward i Marta

foto Muzeum Literatury w Warszawie/East News

Edward Śmigły-Rydz i jego sztab – fotografia propagandowa z 1939 roku, mająca ukazywać rzekomą potęgę polskiego lotnictwa. Zdjęcie jest fotomontażem, w rzeczywistości ukazuje samoloty nie polskie, lecz niemieckie siły powietrzne w formacji lotniczej na zjeździe NSDAP w Norymberdze w 1937 roku

foto Zbiory Danuty B. Łomaczewskiej/East News

Chrzest jednego z samolotów. Marszałek z matką chrzestną, panią Z. Wróblewską, maj 1935 roku

foto Narodowe Archiwum Cyfrowe

Spotkanie z dziećmi, uczestnikami wycieczki, czerwiec 1939 roku

foto Narodowe Archiwum Cyfrowe

Marszałek Edward Śmigły-Rydz w rollsroysie. Reprodukcja zdjęcia w formie pocztówki z uroczystości wręczenia sztandarów artylerii ufundowanych przez społeczeństwo Zamojszczyzny i regionów sąsiednich, Zamość, 17 lipca 1938 roku

foto Zbiory B.Mitury/East News

Uroczystość przekazania 1 Pułkowi Artylerii Przeciwlotniczej armat przeciwlotniczych Bofors wz.36, ufundowanych przez prawników polskich, Warszawa, maj 1938 roku

foto East News

Przemówienie marszałka Śmigłego-Rydza na Błoniach, Kraków, 6 sierpnia 1939 roku

foto Narodowe Archiwum Cyfrowe

Marszałek Śmigły-Rydz i Marta Thomas-Zaleska, Warszawa 1939 roku

foto Czasopismo „Świat” 34/1939

Mistyczka Stefania Fulla Horak. Zmarła w Zakopanem 9 marca 1993 roku

foto www.tohorak.opole.opoka.org.pl

Rozdział 9

Armia

Finanse wojska w czasach kryzysu

Napoleon Bonaparte powiedział kiedyś, że do prowadzenia wojny potrzeba trzech rzeczy: pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy. Tak samo jest z polityką, a tej nie można prowadzić bez posiadania silnej armii. Nic zatem dziwnego, że wydatki na wojsko stanowią poważne obciążenie dla każdego budżetu państwowego.

W czasach II Rzeczypospolitej sytuacja międzynarodowa naszego kraju była bardzo trudna. Fatalne położenie geopolityczne Polski wciśniętej pomiędzy Rosję i Niemcy powodowało, że zdarzały się lata, gdy na wojsko przeznaczano aż 35 proc. budżetu państwa (standardy NATO w XXI wieku wymagają, by na obronność poświęcić 2 proc.). Stanowiło to ogromne obciążenie dla finansów kraju, jednak pomimo szalejącego kryzysu wydatki na armię utrzymywały się na niezmniejszonym poziomie.

Stało się to przyczyną ostrego sporu pomiędzy „Śmigłym” a wicepremierem Kwiatkowskim usiłującym za wszelką cenę ograniczyć wydatki dewizowe. Dla Generalnego Inspektora było to nie do przyjęcia, gdyż znaczna część zaawansowanych technologicznie projektów (obrona przeciwpancerna, przeciwlotnicza, produkcja czołgów, silników samolotowych) była uzależniona od zakupów za granicą. W tej sytuacji pod koniec kwietnia 1936 roku doszło do poświęconego tym zagadnieniom spotkania u prezydenta Mościckiego. Poza Mościckim i „Śmigłym” wzięli w nim udział ówczesny premier Zyndram-Kościałkowski, wicepremier Kwiatkowski, minister spraw wojskowych, generał Kasprzycki. Na Zamku pojawił się także człowiek, który wiedział wszystko o finansach wojska, czyli II wiceminister i szef Administracji Armii, generał Składkowski.

Było to jedno z ważniejszych spotkań politycznych w czasach II Rzeczypospolitej. Odrzucono projekt dewaluacji złotego, w zamian podjęto

decyzję o przygotowaniu przepisów ograniczających obrót dewizami i złotem. W ten sposób zapewniono podniesienie rezerw finansowych, co miało kapitalne znaczenie dla zasilenia armii gotówką.

Jednym z najważniejszych elementów nowego systemu miał się stać Fundusz Obrony Narodowej, powołany na kilkanaście dni przed spotkaniem na Zamku. FON jest znany niemal wyłącznie ze swojej publicznej działalności polegającej na zbieraniu datków od społeczeństwa, co szczególnie podkreślano w czasach PRL-u. W ten sposób dawano do zrozumienia, że II Rzeczpospolita była tak niewydolnym państwem, iż jej władze musiały błagać społeczeństwo o środki na dozbrojenie armii. W rzeczywistości FON zajmował się głównie gromadzeniem środków pochodzących ze sprzedaży nieruchomości i ruchomości stanowiących własność państwa, a pozostających pod zarządem wojska. Do tego dochodziły stałe dotacje ze Skarbu Państwa, niemieckie opłaty za tranzyt kolejowy przez Pomorze oraz datki społeczeństwa. Łącznie do maja 1939 roku uzyskano w ten sposób około miliarda ówczesnych złotych (blisko 5 miliardów euro), z czego społeczeństwo ofiarowało niebagatelną sumę 37,7 miliona złotych, zatem około 185 milionów euro. W praktyce oznaczało to stworzenie pozabudżetowego finansowania Wojska Polskiego, które nie obciążało Skarbu Państwa i nie narażało na niebezpieczeństwo polityki gospodarczej rządu.

Rambouillet

Mimo że jeszcze za życia Piłsudskiego podpisano pakty o nieagresji z Niemcami i Sowietami, sytuacja międzynarodowa Polski nie była najlepsza. Zdawał sobie z tego sprawę „Śmigły”, który jako Generalny Inspektor Sił Zbrojnych – i na wypadek wojny Wódz Naczelny – miał zadbać o bezpieczeństwo Rzeczypospolitej. Zagrożenia nie stanowili jednak Niemcy, przynajmniej w najbliższym czasie. Niebezpieczni byli za to Sowieci, którzy zbroili się na potęgę i przygotowywali do eksportu rewolucji w Europie. Tymczasem Francja, z którą Polskę od 1921 roku łączył sojusz wojskowy, odchodziła od dwustronnych układów w kierunku paktów zbiorowych, a – co gorsza – politycy z Paryża coraz życzliwiej spoglądali w stronę Moskwy. Niebezpieczeństwu temu trzeba było zapobiec poprzez odbudowanie wzajemnego zaufania i odnowienie sojuszniczych więzi.

Tym bardziej że także Francuzi mieli własne problemy: Włochy podbiły Abisynię, w Hiszpanii trwała wojna domowa, a Niemcy dążyli do rewizji traktatu wersalskiego. Zatem gdy w marcu 1936 roku Wehrmacht wkroczył do zdemilitaryzowanej uprzednio Nadrenii, Józef Beck poinformował Léona Noëla, francuskiego ambasadora w Warszawie, że Polska gotowa jest „spełnić swój sojuszniczy obowiązek". Uczynił to po uprzedniej konsultacji z Mościckim i „Śmigłym" jako ludźmi decydującymi w Polsce o wojnie i pokoju. Po kilku dniach Generalny Inspektor udzielił wywiadu prasie francuskiej, w którym otwarcie potwierdził stanowisko Polski. Była to tym ważniejsza deklaracja, że nie nastąpiło jeszcze żadne naruszenie integralności terytorialnej Francji, nie zachodziła zatem konieczność zbrojnego wystąpienia po stronie sojusznika.

W efekcie nastąpiło ocieplenie stosunków pomiędzy Paryżem a Warszawą. Było to tym bardziej ważne, że polskim priorytetem stało się uzyskanie zagranicznych kredytów na rozbudowę Wojska Polskiego, które wzmocniłyby finanse FON. Dlatego rozmowy w tej sprawie miał prowadzić „Śmigły", co bez problemów zaakceptowali Francuzi, którzy nie przepadali za ministrem Beckiem, uważając go za zbyt samodzielnego i trudnego w dyskusji. Ponadto wiadomo było, że część kredytu będzie przeznaczona na zakup uzbrojenia francuskiego, zatem „Śmigły" wydawał się idealnym partnerem do rozmów. Po drugiej stronie miał je prowadzić jego francuski odpowiednik, generał Maurice Gamelin.

Pomoc dla Polski, jako przeciwwagi dla zbrojących się Niemiec, była dla Francuzów bardzo ważna, jednak cele polityków z Paryża okazały się bardziej złożone. Wykorzystanie kredytów na zakup uzbrojenia wyprodukowanego nad Sekwaną oznaczało poważny impuls dla miejscowego przemysłu. Ponadto zapewniano sobie długoletnią lojalność Polaków – trudno bowiem zerwać sojusz z państwem, z którego pochodzi większość uzbrojenia armii. Jednak z udzieleniem kredytu wiązano także nadzieje na osłabienie samodzielności rządu w Warszawie, na czym zależało nie tylko Francuzom, lecz także polskiej opozycji. Chodziło głównie o usunięcie Becka ze stanowiska ministra spraw zagranicznych, do czego namawiał Władysław Sikorski, który – pozbawiony wpływów i władzy – groził Paryżowi zerwaniem wszystkich kontaktów. Ponadto od lat współpracował z wywiadem francuskim, a najprawdopodobniej również z czeskim (Praga była sojusznikiem Paryża).

„Wydaje mi się wyraźne – wspominał Józef Beck – że Francuzi w pewnej epoce usiłowali wygrać marszałka Śmigłego przeciwko mnie w stosunkach polsko-francuskich. Dowiedziawszy się o [tym] stanie rzeczy, rozmówiłem się z marszałkiem Śmigłym zupełnie otwarcie, co pozwoliło zapobiec dalszym konsekwencjom tego niefortunnego działania. Marszałek Śmigły przyznał mi rację bez zastrzeżeń i od tego czasu nie miałem powodu skarżyć się na brak koordynacji w działaniu na zewnątrz. Niemniej [jednak] jeszcze [przez] czas dłuższy usiłowano z różnych stron wygrywać tę intrygę”[1].

W sierpniu 1936 roku przybył do Polski z wizytą generał Gamelin. Powitano go bardzo serdecznie, ale negocjacje militarne i polityczne były niełatwe. „Śmigły” stanowczo odrzucił wiązanie pożyczki z wpływem na obsadzanie stanowisk w polskim rządzie, a także zdecydowanie odmówił wyrażenia zgody na przejścia Armii Czerwonej przez Polskę na pomoc Czechosłowacji w przypadku zaatakowania jej przez Niemcy. Doskonale bowiem wiedział, że Sowieci po wkroczeniu do Polski nie opuściliby już naszego kraju, jednak w zamian zagwarantował, że jego armia nigdy nie zaatakuje Czechosłowacji, lecz będzie towarzyszyć Francji w udzielaniu jej pomocy. Nie wykluczył też udzielenia zgody na przelot nad terytorium Polski sowieckich samolotów lecących ze wsparciem do Czechosłowacji.

Pod koniec miesiąca we Francji pojawił się „Śmigły”, poza prowadzeniem rozmów na temat kredytu obserwował też manewry w Szampanii i zwiedzał linię Maginota. 6 września został przyjęty przez prezydenta Francji Alberta Lebruna w jego letniej rezydencji Château de Rambouillet, kilkadziesiąt kilometrów od Paryża, gdzie podpisał umowę kredytową.

Była ona korzystna dla obu stron, chociaż Francuzom nie udało się zrealizować wszystkich planów. Pożyczkę oprocentowano na 4 proc., miała być wydana w czterech rocznych ratach, a spłatę rozłożono na 40 lat. Polska uzyskała 2,6 miliarda franków, z czego miliard miał zostać przeznaczony na zakup we Francji materiału wojennego, 250 milionów na sfinansowanie francuskich inwestycji wojskowych w Polsce, a pozostała część na dofinansowanie przedsiębiorstw państwowych i budowę infrastruktury.

Po powrocie do kraju „Śmigły” został powitany owacyjnie. Był to jego pierwszy ważny sukces na arenie międzynarodowej – zarówno polityczny,

jak i wojskowy. Niestety, niebawem miało się okazać, że zakupy uzbrojenia we Francji znacznie się opóźnią.

Silni, zwarci, gotowi

Gdy Edward Śmigły-Rydz obejmował stanowisko Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych, rozpoczynał się właśnie kolejny etap modernizacji Wojska Polskiego. W drugiej połowie lat 20. koncentrowano się na ujednoliceniu wyposażenia i wyszkolenia, następnie na wyekwipowaniu zgodnie z wymogami nowoczesnego pola walki. Kolejnym zadaniem miała się stać rozbudowa ilościowa, ze szczególnym uwzględnieniem nowoczesnych wojsk technicznych (lotnictwa, czołgów, łączności), oraz uzyskanie samodzielności w dziedzinie zbrojeń.

Jeszcze w grudniu 1934 roku marszałek Piłsudski podpisał nowy status Komitetu do Spraw Uzbrojenia i Sprzętu. Był to organ doradczy Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych, który miał rozpatrywać wszelkie problemy związane z wyposażeniem armii, a jego przewodniczącym był najstarszy inspektor armii. Niestety, śmiertelna choroba Piłsudskiego nie pozwoliła mu na korzystanie z pomocy KSUS, jednak wszystko to uległo zmianie po maju 1935 roku. Przewodniczącym został generał Kazimierz Sosnkowski, który miał doradzać nowemu Generalnemu Inspektorowi Sił Zbrojnych – „Śmigłemu”.

Ten natychmiast po objęciu stanowiska zażądał raportu o stanie przygotowań wojennych. Gdy go otrzymał, potwierdziło się to, o czym dotychczas mówiono nieoficjalnie. W przypadku wojny możliwa okazała się mobilizacja tylko tych związków taktycznych, które istniały w czasie pokoju. Oznaczało to, że w chwili wybuchu konfliktu zbrojnego będzie można wystawić tylko 30 dywizji piechoty i 11 brygad kawalerii. Zatem potrzebny był czas na zwiększenie liczebności wojska.

Zaplanowano zwiększenie liczby dywizji piechoty o 20 proc. w ciągu trzech lat, niebawem zresztą okazało się, że możliwy był większy wzrost – do 39. Przy okazji rozpoczęto redukcję liczby i siły brygad kawalerii. Wprawdzie ten rodzaj broni miał swoje zalety szczególnie wobec spodziewanej agresji sowieckiej, ale zdawano sobie sprawę, że niebawem jazda stanie się anachronizmem na współczesnym polu walki.

Największą uwagę poświęcono jednak lotnictwu. Jeszcze w latach 20. przeważająca większość samolotów z biało-czerwonymi szachownicami

pochodziła z dostaw zagranicznych. Przy okazji dopuszczano się jednak do wielu nadużyć, z Francji sprowadzono tak wiele samolotów, że nie było ani pilotów, ani mechaników do ich obsługi. Dlatego po zamachu majowym na czele Departamentu Lotnictwa Ministerstwa Spraw Wojskowych stanął pułkownik Ludomił Rayski, który rozpoczął zakrojony na szeroką skalę program budowy polskiego przemysłu lotniczego. Zakupiono licencję na samoloty i silniki, zachęcano producentów do wybudowania fabryk w Polsce, a jednocześnie wysyłano na studia i praktyki zagraniczne utalentowanych inżynierów. Po kilku latach stworzono koncern Polskie Zakłady Lotnicze i oddano go w ręce krajowych specjalistów. Działania przyniosły oczekiwane rezultaty: pojawiły się doskonałe polskie samoloty, które stopniowo kierowano do produkcji. Jeszcze za życia Piłsudskiego do eskadr trafił myśliwiec PZL-11, a bardziej od niego zaawansowany samolot rozpoznawczo-bombowy PZL-23 „Karaś” został skierowany do produkcji seryjnej. Najbardziej skomplikowaną i najcięższą maszyną był dwusilnikowy bombowiec PZL-37 „Łoś” – w kwietniu 1935 roku istniała już jego makieta i budowano prototyp.

W Warszawie miano świadomość, że w razie wojny z III Rzeszą Polskę zaatakuje Rosja, a w przypadku konfliktu ze Związkiem Sowieckim – Niemcy. Do wojny na dwa fronty potrzebowano 60 dywizji, co oczywiście było już poza możliwościami Rzeczypospolitej. Rozbudowa lotnictwa bombowego wyrównywała jednak szanse: uderzenia powietrzne pozwoliłyby na zniszczenie mostów na Dnieprze i Dźwinie oraz zdewastowanie kolejowych centrów komunikacyjnych, dzięki czemu uderzenie sowieckie zostałoby opóźnione.

Rozbudowa lotnictwa była jednak bardzo kosztowna. Obliczenia dokonane na początku 1936 roku wskazywały, że pochłonie ona połowę funduszy przeznaczonych na inwestycje w całe wojsko. Konieczność znalezienia pieniędzy na lotnictwo była więc istotnym czynnikiem, który zmusił „Śmigłego” do zaangażowania się w sprawy polityczne. Wyjaśnia to również jego wizytę we Francji i osobisty udział w uzyskaniu kredytów na mocy porozumienia z Rambouillet.

Warto jednak pamiętać, że wprowadzenie nowych rodzajów uzbrojenia to tylko niewielka część rozbudowy sił zbrojnych. Dużo ważniejsze jest przygotowanie personelu, który potrafiłby ten sprzęt obsługiwać. Nie tylko zresztą pilotów czy załóg wozów bojowych, lecz także mechaników, obsługi lotnisk czy robotników fabrycznych. Ich wszystkich trzeba było

wyszkolić, a jeszcze częściej – wykształcić od podstaw. Równolegle zatem do modernizacji wojska, pod auspicjami Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych, prowadzono również rozbudowę szkolnictwa zawodowego.

Wszystko to jednak wymagało czasu, gdyż II Rzeczpospolita była państwem rolniczym. Miało to bardzo negatywne skutki dla gotowości bojowej wojska – wszyscy zdawali już sobie sprawę, że transport konny jest przeżytkiem. Jedna ciężarówka mogła bowiem przewieźć tyle uzbrojenia czy zapasów, co dziesięć wozów konnych. Na początku lat 20. przeprowadzono próby, które jednoznacznie wykazały, że związek taktyczny przewożony samochodami jest tańszy w wystawieniu i utrzymaniu niż taki sam związek taktyczny korzystający z transportu konnego. Niestety, na obsłudze samochodów znali się tylko nieliczni, w związku z tym większa część armii musiała jednak się opierać na transporcie konnym, a tylko wybrane formacje – na samochodowym.

Oczywiście powstawały także formacje zmechanizowane, nazywane wówczas pancerno-motorowymi. Planowano utworzenie czterech takich jednostek, a pierwszą z nich była 10 Brygada Kawalerii. Nie miała w swojej nazwie ani słowa „zmechanizowana”, ani „pancerna”, ale „Śmigły” i jego podwładni nie dbali o reklamę czy promocję. Zupełnie inaczej niż u naszych sąsiadów – armia czechosłowacka miała oficjalnie więcej dywizji piechoty, pułków artylerii czy eskadr bombowych. Jednak mimo to wojska naszych południowych sąsiadów były znacznie słabsze od armii polskiej: dywizje piechoty miały dwa razy mniej artylerii, działa przeciwpancerne istniały z reguły tylko na papierze, a niektóre eskadry lotnicze nie posiadały ani samolotów, ani personelu. W tej sytuacji trudno oprzeć się refleksji, że polscy generałowie nie przewidywali, iż po latach większą uwagę będzie zwracało się na puste słowa, a nie na faktyczne osiągnięcia.

Niejako na uboczu problemów obronności pozostawały sprawy morskie. Nie było w tym nic dziwnego, wszyscy bowiem (poza marynarzami) zdawali sobie sprawę, że losy Rzeczypospolitej rozstrzygną wojska lądowe. Było też oczywiste, że w razie wojny z Niemcami nie będzie możliwa dłuższa skuteczna obrona Gdyni i Helu, zatem okręty Marynarki Wojennej muszą się wówczas udać do sojuszniczych portów Francji lub Wielkiej Brytanii. Natomiast w przypadku wojny z Sowietami polska flota miała zabezpieczyć szlaki żeglugowe na Bałtyku. Spodziewano się, że będą one atakowane przez sowieckie krążowniki i pancerniki, okręty dużo

potężniejsze niż polskie. W tej sytuacji jedynym możliwym wyjściem było wprowadzenie do służby jednostek uzbrojonych w znaczną liczbę wyrzutni torpedowych, które mogły zagrozić sowieckim okrętom.

Polskie kontrtorpedowce i okręty podwodne miały za zadanie doścignąć pancerniki wroga i skutecznie zaatakować je torpedami. Wymagało to zupełnie innych jednostek niż u naszych sąsiadów. Niemcy budowali okręty podwodne przeznaczone do zatapiania powolnych brytyjskich statków handlowych. Porównanie jednostek polskich i hitlerowskich może sugerować, że nasze okręty były zbyt duże jak na działalność na Bałtyku. Dlatego też przez lata wyśmiewała ten fakt propaganda PRL-u, sugerując oceaniczne ambicje władz II RP. Prawda była jednak inna: polska Marynarka Wojenna miała jasno sprecyzowane zadanie – niszczenie sowieckich krążowników i pancerników.

Kwestia ta nie ograniczała się zresztą wyłącznie do potężnych kontrtorpedowców czy dużych okrętów podwodnych. Także inne rodzaje broni – lotnictwo bombowe, ciężka artyleria czy oddziały chemiczne – były konieczne w przypadku sowieckiej agresji. Zatem wprowadzenie ich do wyposażenia sił zbrojnych nie było wcale przejawem wybujałych ambicji polskich generałów, lecz realną koniecznością, by skutecznie odeprzeć atak ze wschodu.

Warto o tym pamiętać, gdyż dziesiątki lat peerelowskiej propagandy zrobiły wiele krzywdy „Śmigłemu” i jego podwładnym. Przy okazji wyrywano z kontekstu pewne wypowiedzi czy świadome zabiegi propagandowe władz II RP, by wykazać, jak bardzo nie miały one odbicia w rzeczywistości. Do rangi symbolu podniesiono slogan propagandowy „jesteśmy silni, zwarci, gotowi”, podobnie jak wystąpienie marszałka na Zjeździe Legionistów, gdy powiedział, że wrogowi „nie oddamy nawet guzika od munduru”. Była to tymczasem normalna propaganda państwowa mająca na celu uspokojenie społeczeństwa w obliczu zagrożenia wojennego. Tego rodzaju zabiegi stosuje każde państwo, niezależnie od epoki historycznej czy panującego ustroju, podobnie jak próby oparcia propagandy na charyzmatycznych postaciach z dziedziny wojskowości czy polityki. Wcześniej taką osobą był Piłsudski, a gdy go zabrakło, na zbawcę narodu kreowano „Śmigłego”.

Zresztą, czy obserwując współczesną scenę polityczną, nie zauważamy podobnych zabiegów? Warto też pamiętać, że po klęsce wrześniowej najbardziej zajadli krytycy marszałka na zbawcę narodu kreowali generała

Sikorskiego, co nikomu specjalnie nie przeszkadzało. A w czasach PRL-u mieliśmy wręcz wyjątkowy urodzaj na ojców narodu – praktycznie każda ekipa partyjno-rządowa wysuwała własnego kandydata na zbawcę Polski.

„Śmigły” miał tylko wyjątkowego pecha, gdyż nikt się nie spodziewał, że Wehrmacht będzie posuwał się do przodu z taką szybkością, ani tego, że Sowieci równocześnie zadadzą nam cios w plecy. Dopiero kampania francuska udowodniła, że Polska walczyła całkiem dobrze, a nasze wojska były nie tylko waleczne, lecz także dobrze dowodzone. Niestety, dla „Śmigłego” było już zbyt późno…

Prezydent RP Ignacy Mościcki (z prawej) w rozmowie z ministrem Joachimem von Ribbentropem (w środku) i marszałkiem Śmigłym-Rydzem, Warszawa, 25-27 stycznia 1939 roku

foto Narodowe Archiwum Cyfrowe

Marszałek Śmigły-Rydz wita się z attaché wojskowym Niemiec, pułkownikiem Bogislavem von Studnitzem, Warszawa, 11 listopada 1938 roku

foto Narodowe Archiwum Cyfrowe

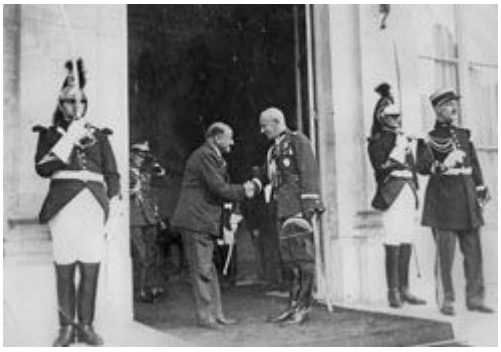

Generalny Inspektor Sił Zbrojnych Edward Śmigły-Rydz żegna się z francuskim ministrem obrony narodowej Eduardem Daladierem, Paryż 1936 roku

foto Narodowe Archiwum Cyfrowe

Powitanie marszałka Śmigłego-Rydza na Barbakanie przez prezydenta Krakowa dr. Bolesława Czuchajowskiego, sierpień 1939 roku

foto Narodowe Archiwum Cyfrowe

Rozdział 10

Sprawy wewnętrzne

Strajk rolny

„Polską rządzą obecnie trzy osoby – zapisał w połowie 1936 roku dyplomata Jan Szembek – których kompetencje, a właściwie zakres pracy są ściśle określone. Generał Śmigły-Rydz decyduje w dziedzinie polityki wewnętrznej i w zakresie zagadnień wojskowych; minister Beck kieruje autorytatywnie polityką zagraniczną; Prezydent zaś zastrzegł sobie kierowanie polityką finansową i gospodarczą państwa”[1].

Faktycznie, w triumwiracie rządzącym Polską „Śmigłemu” – poza nadzorem nad armią – przypadły sprawy wewnętrzne. Było to naturalne przedłużenie jego obowiązków jako Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych, gdyż możliwości obronne Polski zależały także od sytuacji wewnętrznej kraju. Żadne bowiem państwo nie przetrwa, gdy od środka jest rozsadzane konfliktami.

Szczególne zainteresowanie „Śmigłego” wzbudzała sytuacja polskiego chłopstwa – z tej warstwy społecznej wywodziła się bowiem większość szeregowych i podoficerów Wojska Polskiego. Jednak polska wieś tradycyjnie popierała partie chłopskie, a w 1931 roku doszło do zjednoczenia trzech głównych ugrupowań w ramach Stronnictwa Ludowego. Nowa partia była silnie scentralizowana, jednoznacznie antyrządowa, a nawet nieco antyklerykalna. Jednak w jej programie z typowych postulatów chłopskich pozostało już tylko wezwanie do przyspieszenia reformy rolnej, co było hasłem zupełnie nierealnym. Do parcelacji pozostały bowiem już niemal wyłącznie wielkie majątki ziemskie, których właściciele skutecznie opóźniali reformę. Władzom państwowym również nie zależało na pośpiechu, gdyż latyfundia były bardziej wydajne, a ich parcelacja nie rozwiązałaby problemów chłopów małorolnych. Wielkie majątki leżały bowiem w większości na Kresach,

a chłopi nieposiadający własnej ziemi zamieszkiwali głównie południe kraju. W tej sytuacji postulaty przyspieszenia reformy rolnej pozostały wyłącznie hasłami politycznymi mającymi utrudnić życie rządowi i skupić chłopów pod sztandarami SL. Tym bardziej że nowo powstała partia przeżywała własne kłopoty, a szczególnie dawał się odczuć brak charyzmatycznego przywódcy. Skazany w procesie brzeskim Wincenty Witos przebywał bowiem na emigracji.

Jeszcze większym problemem dla polityków ludowych była ekspansja narodowców. Ideologia endecji miała w dużej mierze wymiar społeczno-ekonomiczny i zakładała, że Polacy staną się suwerenni politycznie, gdy osiągną niezależność gospodarczą. Na polskiej wsi – z jej skomplikowaną sytuacją własnościową, gdzie producentem był chłop Polak, a pośrednikiem kupiec Żyd – walka gospodarcza miała również wymiar religijny. Nic bowiem nie wzbudzało większych emocji wśród chłopów jak podkreślanie, że starozakonni zbijają majątek na ich krzywdzie.

Wiosną 1936 roku „Śmigły” przyjął zaproszenie do wsi Nowosielce położonej kilkanaście kilometrów od Rzeszowa. Miała się tam odbyć uroczystość upamiętniająca postać wójta Michała Pyrza, który w XVII wieku obronił wieś przed Tatarami. W podobnych imprezach, związanych z tradycjami wojskowymi, polscy generałowie regularnie brali udział – traktowano to jako jeden z ich obowiązków.

29 czerwca odbyły się msza polowa, defilada wojskowa oraz przemarsz stutysięcznej rzeszy chłopskiej. W pewnym momencie „Śmigły”, podobnie jak wielu innych gości, zszedł z trybuny honorowej. W Nowosielcach maszerowało dwa razy więcej chłopów, niż się spodziewano – frekwencja była zresztą potwierdzeniem sukcesu sanacji, a właściwie jedności „między ludem wiejskim i armią”. Jednak kilka dni później opozycja zaczęła rozpowszechniać informacje, że masowe pojawienie się chłopów było spowodowane tajnym wezwaniem Stronnictwa Ludowego. Maszerujący mieli wznosić okrzyki przeciwko rządowi i „Śmigłemu”, który ostatecznie został zmuszony do opuszczenia trybuny. Faktycznie – antyrządowe okrzyki wznoszono, gdyż w stutysięcznym tłumie znaleźli się także przeciwnicy władz, nie były one jednak specjalnie liczne czy głośne. Nie wspomniano o nich bowiem w relacjach prasowych, a większość tytułów była nastawiona na zysk i chętnie upubliczniłaby taką sensację.

„Śmigły” mógł być zadowolony z przebiegu uroczystości w Nowosielcach, ale stan polskiej wsi raczej nie przynosił rządowi

powodów do radości. Wprawdzie sytuacja ekonomiczna przemysłu znacznie się poprawiła, jednak kryzysu w rolnictwie wciąż nie udało się przezwyciężyć. Ceny żywności spadły o 2/3 i rolnik musiał sprzedawać trzy razy więcej produktów, by zarobić tyle, ile przed kryzysem. Niezadowolenie wsi postanowili wykorzystać politycy opozycji. W styczniu 1937 roku na Nadzwyczajnym Kongresie Stronnictwa Ludowego odczytano list Wincentego Witosa i rozpoczęto przygotowania do ogólnopolskiego strajku chłopskiego. Jego symbolem miał być sztandar SL przymocowany do kosy osadzonej na sztorc.

Ogólnopolskie poparcie ograniczyło się właściwie jedynie do Małopolski i południowej części Mazowsza. Nie udało się zorganizować protestów przy okazji obchodów bitwy pod Racławicami ani nawet na przednówku, tradycyjnie najtrudniejszym okresie dla wsi. Dopiero 15 sierpnia – przy okazji obchodów Dnia Wojska Polskiego i święta Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, które zawsze gromadziły wielu wiernych – proklamowano strajk chłopski. Miał trwać 10 dni, polegać na wstrzymaniu dowozu żywności do miast wraz z rezygnacją zakupów tam towarów przy jednoczesnej blokadzie dróg. Postulaty zgłoszone przez liderów Stronnictwa Ludowego miały charakter typowo polityczny: żądano rezygnacji sanacji z władzy, amnestii dla skazanych w procesie brzeskim, zmiany konstytucji itd. Natomiast postulaty ekonomiczne były bardzo ogólnikowe i składały się raczej z życzeń o sprawiedliwość społeczną niż z konkretnych żądań. Przy okazji pojawiło się także wezwanie do władz, by zajęły się przygotowaniem silnej armii zdolnej do obrony kraju.

Strajk faktycznie trwał 10 dni i pociągnął za sobą co najmniej 44 ofiary śmiertelne – w większości chłopów blokujących drogi oraz członków bojówek atakujących posterunki policyjne. Było to efektem tego, że okazję do zaostrzenia walki klasowej wykorzystali agitatorzy Komunistycznej Partii Polski, czyli wywiadu sowieckiego. Strajk ewidentnie wymknął się spod kontroli Stronnictwa Ludowego i nie przyniósł żadnych korzyści. Co więcej – okazało się, że taktyka obrana przez ruch narodowy przynosi więcej korzyści chłopom, zatem cała akcja strajkowa doprowadziła do osłabienia, a nie wzmocnienia ludowców. Po 1937 roku sytuacja na wsi uspokoiła się i nie wpływała już na pracę Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych.

Komersz Arkonii

Zaniepokojenie „Śmigłego” wywoływały także nastroje wśród studentów – w środowisku akademickim najwięcej sympatii wzbudzała bowiem ideologia Narodowej Demokracji. O ile z chłopów wywodziła się większość podoficerów i szeregowych, to studenci mieli być przecież przyszłymi oficerami Wojska Polskiego.

Przed odzyskaniem niepodległości studiowały niemal wyłącznie dzieci mieszczan i szlachty, zresztą uczelni było niewiele (właściwie tylko we Lwowie i w Krakowie wykładano po polsku), a wyjazd za granicę wiązał się z dużymi kosztami. Po 1918 roku powstawały nowe uczelnie, liczba uniwersytetów zwiększyła się trzykrotnie. Umożliwiało to zdobycie wyższego wykształcenia także dzieciom chłopskim wyemancypowanym w czasie wojen o granice i niepodległość, świadomym, że za obowiązkami idą również prawa i przywileje.

Nowe możliwości edukacyjne przyniosły jednak także nieznane wcześniej problemy. Opłaty za naukę wzrastały, a wpisanie na listę studentów uniwersytetu czy politechniki było coraz trudniejsze. Szczególne wzburzenie wzbudzał fakt, że Żydzi (niespełna 10 proc. obywateli Polski) stanowili jednak ponad 20 proc. studentów, a na niektórych kierunkach (np. na stomatologii) – ponad połowę.

Z tym ostatnim problemem próbowano sobie poradzić, wprowadzając parytety ilościowe. Jednak w 1923 roku plany te zarzucono, gdyż sprzeciwiła się im Liga Narodów, powołując się na podpisany kilka lat wcześniej przez Warszawę „traktat mniejszościowy”. Tymczasem w innych państwach takie parytety (*numerus clausus*) funkcjonowały od dawna. W większości ograniczenia dotyczyły właśnie ludności żydowskiej – było tak na uczelniach rosyjskich, węgierskich, rumuńskich, a nawet w USA. Za oceanem stosowano też zasadę *numerus nullus*, czyli całkowity zakaz studiowania młodzieży murzyńskiej. Zresztą nawet w XXI wieku *numerus clausus* nadal – pod różnymi nazwami i w różnych celach – stosuje się w bardzo wielu państwach świata, m.in. w Stanach Zjednoczonych, Niemczech, Szwajcarii, Finlandii czy we Francji.

W 1922 roku powstał Związek Akademicki Młodzież Wszechpolska, którego prezesem honorowym został Roman Dmowski. Członkowie Młodzieży Wszechpolskiej uczestniczyli w życiu akademickim, stali na czele samorządów, bratnich kół pomocy, kół naukowych i korporacji akademickich. Brali również udział w życiu politycznym: walczyli o obniżkę czesnego, występowali przeciw władzom w obronie autonomii

uczelni, opowiadali się także za bojkotem ekonomicznym Żydów i ograniczeniem ich dostępu do studiów. Dla wielu studentów, szczególnie mniej wyrobionych politycznie, było to jednak zbyt mało – planowali bardziej radykalne działania.

Ich marzenia ziściły się w 1934 roku, gdy nastąpił rozłam w całym ruchu narodowym. Zorganizowano Obóz Narodowo-Radykalny, na rzecz którego prężna niegdyś Młodzież Wszechpolska straciła znaczenie. ONR wprawdzie szybko został rozwiązany przez władze państwowe, ale na jego miejsce powstały dwie wzajemnie zwalczające się organizacje: ONR-ABC i ONR-Falanga. Przywódcą pierwszej został Henryk Rossman, a drugiej Bolesław Piasecki. Znaczenie tego ostatniego było zresztą krótkotrwałe i ograniczone do środowisk proletariackich. Natomiast bez żadnego uzasadnienia historycznego rozdmuchano je, gdy współpracował z komunistami w czasach PRL-u.

Władze państwowe usiłowały dojść ze studentami do porozumienia, były to jednak próby nieudane. Poza tym reforma Jędrzejewiczowska z 1932 roku, mająca usprawnić system edukacyjny, w rzeczywistości ograniczała autonomię szkół wyższych oraz utrudniała funkcjonowanie organizacji studenckich, co w efekcie zraziło środowiska akademickie do władz. Marszałek „Śmigły” zadeklarował więc wolę zbliżenia się do studentów i w połowie maja 1937 roku wziął udział w święcie korporacyjnym (komerszu) Arkonii.

Była to jedna z najważniejszych polskich korporacji akademickich, powstała jeszcze w latach 70. XIX stulecia na Politechnice w Rydze. W odrodzonej Polsce uchodziła za jedną z najważniejszych i – podobnie jak organizacje akademickie skupione w Związku Polskich Korporacji Akademickich – realizowała politykę ruchu narodowego. Inna sprawa, że w tych latach studenci masowo organizowali się w nowe korporacje, których powstało bez mała kilkaset (istniały również korporacje żydowskie).

Jednak w 1933 roku na zjeździe ZPKA doszło do rozłamu: część niedawno powstałych organizacji chciała przejść na pozycje jednoznacznie polityczne i antysanacyjne, na co nie zgadzały się stare korporacje. Dyskusja była tak zażarta, że 12 korporacji starych organizacji pod przywództwem Arkonii i Welecji opuściło obrady. Smaczku całej sytuacji dodawało to, że gospodarzem zjazdu była właśnie Arkonia… Ironią losu jest natomiast fakt, że te najlepiej rozpoznawalne korporacje stały się

symbolem antyżydowskich wystąpień w Warszawie. Julian Tuwim nazwał je w *Kwiatach polskich* „Żylecją” i „Pałkonią”, a w XXI wieku czarną legendę bez głębszej refleksji powtarza w swoich powieściach Szczepan Twardoch.

Tymczasem, szczególnie dla Welecji, problem żydowski miał specyficzny wydźwięk: Żydzi byli jej członkami, a nawet założycielami, a podstawową wartością propagowaną przez organizację była otwartość. Być może nawet nie z powodu tolerancji, lecz bardziej ze względu na przestrzeganie tradycji i wierność zasadom poprzedników. Dlatego Welecja zwalczała antysemitów, doszło nawet do pojedynków z członkami korporacji Wandea jawnie głoszącymi, że Żydzi są pozbawieni zdolności honorowej.

Edward Śmigły-Rydz wziął jednak udział w komerszu Arkonii. Inna sprawa, że nie miał specjalnego wyboru – wizyta u którejś z młodych korporacji jednoznacznie opowiadających się za endecją byłaby zaprzeczeniem dotychczasowej polityki. Natomiast Konwent Polonia – najstarsza polska korporacja akademicka – działał w Wilnie, zatem uchodził za prowincjonalny. Poza tym weletą jeszcze w czasach studiów w Rydze był prezydent Ignacy Mościcki i w tej sytuacji „Śmigłemu” pozostawała jedynie Arkonia. Tak spotkanie to opisał w *Kwiatach polskich* Julian Tuwim:

Komersów w deklach sztab wałkoni,
draby z „Żylecji” i „Pałkonii”,
Rydzowi „bierkamraci” mili
(razem warzyli, razem pili).

XIII Zjazd Związku Legionistów

Zaangażowanie „Śmigłego” w sprawy polityki wewnętrznej i zagranicznej wynikało z obowiązków Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych i w niczym nie różniło się od zwyczajów ustalonych w latach 1926-1935. Tym bardziej że dekret Mościckiego z 9 maja 1936 roku stwierdzał, iż do „zakresu prac i obowiązków” Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych należy „stawianie Rządowi postulatów w dziedzinie obrony Państwa”[2].

Problem tkwił w czym innym: poprzednikiem „Śmigłego” był Piłsudski, którego powszechnie uznawano za jednego z twórców niepodległej Polski. Trudno mierzyć się z człowiekiem legendą, tym bardziej że przeciwnicy

rządzącego triumwiratu wewnątrz obozu sanacyjnego wcale nie składali broni.

Mościcki nie był jednak typem dyktatora, chociaż konstytucja dawała mu takie możliwości. Władzą dzielił się ze „Śmigłym” i Beckiem, co wynikało z jego pragmatyki politycznej. Prezydent wiedział bowiem, że sam nie utrzyma się na stanowisku, ponadto wiek i stan zdrowia zmuszały go do poszukiwania sojuszników – wprawdzie wciąż prezentował się znakomicie, był jednak coraz starszy. Do tego wojny diadochów doprowadziły do ograniczenia jego bazy politycznej.

Rozwiązanie BBWR-u przez Sławka wcale nie oznaczało jego kapitulacji, zamierzał bowiem stworzyć kolejne ugrupowanie: Powszechną Organizację Społeczną. Idea POS miała być uzupełnieniem nowej ordynacji wyborczej, zakładającej eliminację partii politycznych na rzecz organizacji społecznych. Oczywiście najważniejszą z nich miała być Powszechna Organizacja Społeczna pod kierownictwem Sławka. W teorii pomysł wydawał się znakomity, w praktyce był jednak skazany na porażkę – jako odwołujący się do wartości zbyt abstrakcyjnych dla Polaków. Nie zdawał sobie jednak z tego sprawy sam Sławek, który był znakomitym teoretykiem, lecz jego teorie często zbyt daleko odbiegały od rzeczywistości. Negatywne opinie o POS wydawali nawet współpracownicy pułkownika, podobnie też ocenił ten projekt „Śmigły”. Inna sprawa, że zrobił to w sposób dość obcesowy, typowy dla zawodowego wojskowego. Nie bawiąc się w konwenanse, napisał do Sławka kilkuzdaniowy list.

„W formie najsuchszej, bez żadnych motywacji, Śmigły pisał – wspominał Janusz Jędrzejewicz – że nie widzi żadnej potrzeby powstania takiej organizacji. I nic ponad to. Czytałem ten list głęboko wstrząśnięty, już nawet nie jego treścią, ale zupełnie niedopuszczalną w swej brutalności formą”[3].

Wprawdzie było to jeszcze przed wydaniem słynnego okólnika, ale Generalny Inspektor Sił Zbrojnych zgodnie z zaleceniem prezydenta miał dbać o obronność kraju, a zamieszanie wyborcze miałoby niebagatelny wpływ na siłę militarną państwa.

Tydzień po ukonstytuowaniu się rządu Felicjana Sławoja Składkowskiego, pod koniec maja 1936 roku, odbył się kolejny Zjazd Związku Legionistów. Była to specyficzna organizacja kombatancka skupiająca całkiem młodych ludzi, często piastujących stanowiska

wojskowe, państwowe i samorządowe. Tym razem jednak było to nietypowe spotkanie, bo jego najważniejszy temat stanowiło zaangażowanie się Związku Legionistów w czynne życie polityczne. Dyskusja była tak intensywna, że pojawiło się niebezpieczeństwo rozłamu. Ostatecznie Sławka odsunięto od kierowania Związkiem, a jego Komendantem Naczelnym został pułkownik Adam Koc.

Jedność Związku uratował prestiż Edwarda Śmigłego-Rydza, który drugiego dnia obrad wygłosił znakomite przemówienie. Zwrócił uwagę, że angażowanie się w politykę może zniszczyć spójność środowiska, a niewykorzystanie potencjału drzemiącego w byłych legionistach jest niedopuszczalne. Wszyscy bowiem powinni pracować na rzecz obrony Polski, ale w pojęciu bardzo szerokim: wojskowym, gospodarczym, społecznym. Wystąpienie „Śmigłego” zostało bardzo ciepło przyjęte przez zebranych.

Obóz Zjednoczenia Narodowego

Niełatwo było jednak znaleźć platformę porozumienia, tym bardziej że musiała być ona tak zaprojektowana, by niemal nikt nie poczuł się z niej wykluczony. Pierwsza redakcja statutu nowej organizacji przygotowana przez pułkownika Koca została uznana za zbyt konserwatywną. Zaś kolejna, autorstwa Bogusława Miedzińskiego, była za ogólnikowa. „Śmigły” zatem przedstawił własną wersję – okazała się jednak jeszcze bardziej konserwatywna od pierwszej. W tej sytuacji w połowie stycznia 1937 roku w Zakopanem spotkali się: „Śmigły”, Miedziński i Koc. Oficjalnie przez 10 dni wypoczywali, a w rzeczywistości wspólnie redagowali deklarację ideowo-polityczną nowego Obozu (tak początkowo określano ten byt polityczny).

W niedzielne popołudnie, 21 lutego 1937 roku, Adam Koc odczytał deklarację przez radio, a w poniedziałek opublikowała ją prasa. Deklaracja podkreślała, że podstawą porządku prawnego w Polsce jest Konstytucja kwietniowa, gwarantem bezpieczeństwa Wojsko Polskie, państwo jest spójne z narodem, a Kościół katolicki powinien być otoczony opieką państwa, lecz z poszanowaniem innych wyznań. Szczególna opieka państwa należała się polskim robotnikom i chłopom, ale z uwzględnieniem własności prywatnej. Zatem należało poprawić sytuację włościan, zwalczać bezrobocie w miastach, rozwijać handel i rzemiosło. Najwięcej emocji

wzbudziła jednak sprawa porozumienia z mniejszościami narodowymi zamieszkującymi Polskę:

„W stosunku do ludności żydowskiej stanowisko nasze jest następujące: zbyt wysoko cenimy poziom i treść naszego życia kulturalnego, jak również porządek, ład i spokój – bez którego żadne państwo obejść się nie może – abyśmy mogli aprobować akty samowoli i brutalnych odruchów antyżydowskich, uchybiających godności i powadze wielkiego narodu. Zrozumiałym natomiast jest instynkt samoobrony kulturalnej i naturalna jest dążność społeczeństwa polskiego do samodzielności gospodarczej. Tym bardziej jest to zrozumiałe w okresie przez nas przeżywanym, w okresie wstrząsów ekonomicznych i finansowych, gdy jedynie głębokie poczucie obywatelskie, ofiarność w stosunku do Państwa i bezkompromisowe związanie z Państwem swego życia i mienia mogą mu umożliwić wyjście z tych wstrząsów w stanie nieosłabionym”[4].

Był to ewidentny ukłon w stronę idei Romana Dmowskiego, co rokowało szansę na porozumienie z częścią polskiego ruchu narodowego. Młodzi działacze nie krytykowali Józefa Piłsudskiego i jego dorobku, zatem istniała pewna możliwość manewrów politycznych. I zapewne właśnie taki cel przyświecał twórcom deklaracji.

Nowa formacja przyjęła nazwę Obóz Zjednoczenia Narodowego, wymyśloną przez pisarza Ferdynanda Goetla. Nazwa miała zachęcać zwolenników ruchu narodowego do poparcia OZN-u. Trzeba jednak zauważyć, że na tym podobieństwa się kończyły. Przywódcy Ozonu konsekwentnie bowiem używali przymiotnika „narodowy” jako „związany z państwem polskim”, a nie „związany z etosem polskim”.

OZN odniósł umiarkowany sukces. Posiadał własny klub parlamentarny, a liczba jego członków przekroczyła 100 tysięcy. Sukces odniosła również jego młodzieżówka – Związek Młodej Polski. Skutecznie przejęła młodzież zainteresowaną organizacjami narodowo-radykalnymi, co stało się przyczyną oskarżeń o współpracę z ONR-Falangą Bolesława Piaseckiego. Z tego też powodu jesienią 1937 roku Adam Koc został odsunięty od przewodzenia OZN-owi i w 1938 roku zastąpił go, oddelegowany z wojska, generał Stanisław Skwarczyński. Złośliwi natomiast twierdzili, że „właściwym szefem Obozu” był dawny oficer do specjalnych poruczeń Piłsudskiego, podpułkownik Zygmunt Wenda. Opowiadano, że to właśnie on stał za zabójstwem generała Zagórskiego, a powszechnie uważano, iż był „podpułkownikiem o ambicjach generała broni”.

Odejście Adama Koca z OZN-u stało się pożywką dla legendy o rzekomym zamachu stanu. Rozpowszechniali ją komuniści, a plotkę podjęli „pożyteczni idioci” z Frontu Morges – kanapowej grupy emigracyjnych opozycjonistów popierających generała Władysława Sikorskiego. Według ich relacji w nocy z 25 na 26 października 1937 roku specjalnie przeszkolone przez Policję Państwową bojówki Falangi planowały – pod dowództwem Koca – opanować Warszawę i zlikwidować 300 (!) przeciwników politycznych. Wśród ofiar mieli się znaleźć: Ignacy Mościcki, były dwukrotny premier Aleksander Prystor (z żoną), Walery Sławek, Eugeniusz Kwiatkowski oraz Aleksandra Piłsudska. Następnie władzę w państwie miał przejąć „Śmigły”, ale planów zamachu nie udało się utrzymać w tajemnicy i mobilizacja „postępowych” partii zapobiegła krwawej rozprawie.

W rzeczywistości prezydent Mościcki wypoczywał wówczas po chorobie, wcale nie przejmując się planowanym ponoć zamachem. Kilka lat później mianował zresztą swojego rzekomego, niedoszłego mordercę Koca wiceministrem skarbu. Z kolei „Śmigły” składał w tym czasie wizytę w Rumunii, a nie przygotowywał się do krwawej rozprawy ze współpracownikami. Nie przeszkodziło to w uporczywym powtarzaniu plotek na temat „krwawego kwadransa” czy „nocy krótkich noży”. Pozostają one żywe nawet do dziś, a ich autorom najczęściej myli się chronologia. Wiążą rzekome plany zamachu z późniejszym o miesiąc wiecem ONR-Falangi w gmachu Cyrku Staniewskich w Warszawie, gdy „postępowe” partie faktycznie zmobilizowały swoje bojówki.

Wiec w gmachu Cyrku Staniewskich wywołał liczne kontrowersje w kręgach sanacji – w efekcie drogi OZN-u i Piaseckiego rozeszły się. Nie wpłynęło to jednak na popularność Ozonu. W listopadzie 1938 roku wprowadził do Sejmu aż 164 posłów, co dawało absolutną większość.

Wygrane wybory stanowiły apogeum sukcesów OZN-u, później jego rola zaczęła maleć. Jedną z przyczyn takiego stanu był fakt tworzenia jednostek Obrony Narodowej, dzięki czemu kilkadziesiąt tysięcy młodych, zagrożonych bezrobociem mężczyzn zostało poddanych dyscyplinie wojskowej, co zmniejszyło niebezpieczeństwo ich radykalizacji. Jednocześnie zagrożenie międzynarodowe spowodowało, że społeczeństwo niemal bezwarunkowo popierało rząd.

Kult marszałka

Niestety, wraz ze wzrostem pozycji politycznej „Śmigłego” w jego zachowaniu zachodziły niekorzystne zmiany.

„W pierwszym okresie swego marszałkowania – wspominał sekretarz Polskiej Akademii Literatury Michał Rusinek – [Śmigły] bywał na wszystkich zebraniach Akademii i zjednywał sobie sympatię zebranych swoim bezpośrednim stosunkiem do ludzi. Nie udawał żadnego dyktatora ani przez Boga namaszczonego wodza narodu. W tym początkowym okresie kariery politycznej był raczej człowiekiem skromnym, unikającym oficjalnych hołdów i pochlebstw”[5].

Zdarzyło się, że marszałek „Śmigły” podczas zebrania wymknął się z sali i poszedł na kawę do mieszkania woźnego, gdzie popijał ją z blaszanego kubeczka. Spokojnie siedział za piecem, chcąc się odciąć od ludzi okazujących mu zbyt dużą uległość. Powoli jednak zmieniał dawne przyzwyczajenia, dlatego też powszechnie zaczęto mówić, że „urząd uderzył mu do głowy”.

Następowało to jednak stopniowo, bowiem jeszcze w pierwszej połowie lat 30. „Śmigły” „lubił najbardziej zebrania w ścisłym gronie, gdzie mógł godzinami grać w brydża”. Nigdy też nie porzucił plastycznych zainteresowań i „nawet podczas manewrów, gdy tylko mógł, szukał samotności ze swoim pudełkiem farb i malował akwarele o charakterze dość nowoczesnym”. Podczas wizyty w 1931 roku w Londynie znalazł czas na szkicowanie malowniczych zakątków Strandu, a zimowy urlop, który w 1937 roku spędzał w Augustowie, poświęcił malowaniu zamarzniętego jeziora widocznego z okien jego pokoju.

Cezurą w zachowaniu elit sanacyjnych była śmierć Piłsudskiego. Ignacy Mościcki doskonale czuł się, przyjmując splendory należne głowie państwa, w wystawnych rautach i bankietach lubowali się państwo Beckowie, a z czasem i „Śmigły” zaczął się zachowywać zupełnie inaczej niż wcześniej. Do tego stracił zupełnie jedne z najważniejszych cech swojego charakteru – skromność i umiejętność trzeźwej samooceny.

Z drugiej strony trudno go winić, każda psychika ma przecież swoją odporność. A „Śmigły” był poddawany tak powszechnej adoracji, że mało kto by sobie z tym poradził. Warto jednak pamiętać, iż zdobywanie przez niego popularności było akcją dokładnie zaplanowaną – po śmierci Piłsudskiego to właśnie Śmigły-Rydz miał zapewnić Polsce bezpieczeństwo i uspokoić ludność. Jego kult, podobnie jak kult Komendanta czy prezydenta Mościckiego, miał być spoiwem narodowym w chwilach

zagrożenia. Inna sprawa, że w adoracji „Śmigłego” prześcigali się nie tylko dziennikarze, lecz także zawodowi literaci. Juliusz Kaden-Bandrowski, sekretarz Polskiej Akademii Literatury i adiutant Piłsudskiego z czasów Legionów, nie wahał się nawet przeinaczać historii, byle tylko wzmocnić kult Rydza.

„Zgadzaliśmy się na to dawniej jeszcze – pisał Kaden-Bandrowski – przed Polską niepodległą, że gdyby Piłsudskiego zabrakło – wtedy Śmigły. Te dwa słowa wymawiano w najcięższych okolicznościach. (…) Kto na te sprawy patrzył z bliska, ten wie, jakim Śmigły był wykonawcą. Wszystko oddawał z siebie na rzecz Wodza, samemu sobie nie przypisując niczego. A jednak wiedzieliśmy już wtedy wszyscy, że Śmigły to jest wódz i, że gdyby Piłsudskiego zabrakło – wtedy Śmigły”[6].

Tak naprawdę, pierwszy po Komendancie był Sosnkowski, o czym Kaden-Bandrowski doskonale pamiętał. Ale w drugiej połowie lat 30. należało podkreślić rolę „Śmigłego” w czynie legionowym, zatem kreowano go na następcę Komendanta na frontach I wojny światowej. Inna sprawa, że faktycznie się nim okazał, ale dopiero na czele Polskiej Organizacji Wojskowej.

Jeszcze dalej poszli niektórzy panegiryści ze środowiska dziennikarskiego. Uznano, że stopień marszałka jest zbyt niski (!) i Generalny Inspektor zasługuje na zdecydowanie wyższą szarżę. A do tego zgodną z polską tradycją, gdyż wprawdzie marszałek nosi buławę, lecz słowo to jest „w języku polskim intruzem”.

„Nie obawialiśmy się nawiązać – apelowano na łamach prasy – do dawnych, pięknych urzędów Polski królewskiej: wojewodów i starostów. Wskrześmy tedy i wojskowy urząd hetmana. Gdy zbliża się wojenna potrzeba, zwróćmy się wszyscy do Marszałka, by dał wyraz tysiącletniej powadze Rzeczypospolitej, przyjmując tytuł Hetmana”[7].

Marszałek Śmigły-Rydz

foto Reprodukcja Piotr Męcik/Forum

Uroczystość wręczenia buławy marszałkowskiej, Zamek Królewski, Warszawa, 10 listopada 1936 roku: ksiądz kardynał August Hlond składa życzenia Marszałkowi…

foto Narodowe Archiwum Cyfrowe

…oraz przyjęcie defilady Wojska Polskiego

foto Narodowe Archiwum Cyfrowe

Moment wręczenia buławy marszałkowskiej gen. Edwardowi Śmigłemu-Rydzowi przez prezydenta RP Ignacego Mościckiego, plac Zamkowy w Warszawie, 10 listopada 1936 roku

foto Narodowe Archiwum Cyfrowe

**Marszałek Edward Śmigły-Rydz z korporantami z Arkonii.
Z tyłu generał Władysław Anders, 1937 rok**

foto Wikipedia.pl

Przekazanie marszałkowi ciężkich karabinów maszynowych zakupionych ze składek społeczeństwa, Lublin, czerwiec 1939 roku

foto Narodowe Archiwum Cyfrowe

Rozdział 11

Czas sukcesów

Problemy litewskie

Powstała w 1918 roku Republika Litewska od samego początku istnienia prowadziła konsekwentną antypolską politykę. Siły zbrojne tego państwa współpracowały z Armią Czerwoną w latach 1919-1920 i dwukrotnie z rąk Sowietów przejmowały Wilno. Miasto jednak ostatecznie znalazło się w granicach Rzeczypospolitej, czego Litwini nigdy nie potrafili zapomnieć. Kowno ogłoszono „tymczasową stolicą kraju", a z Polską nie utrzymywano stosunków dyplomatycznych. Rozpowszechniano nawet fikcyjną informację, że Litwa znajduje się w stanie wojny z naszym krajem.

W tej sytuacji nawet kontakty rodzinne pomiędzy obywatelami obu państw były bardzo utrudnione. Mimo iż rozdzielono tysiące rodzin, legalne przekraczanie nowej granicy stało się niemożliwe. Życie nie znosi jednak próżni i rozwinął się przemyt ludzi, na co służby obu państw przymykały oko. Polscy i litewscy funkcjonariusze z autopsji znali podobne problemy, dlatego też zatrzymanie przez pograniczników z reguły kończyło się tylko aresztem i wydaleniem. A niekiedy ledwie kilkugodzinnym pobytem w chlewie w pobliskiej chacie.

„Stopniowo granica robiła się coraz trudniejsza do przejścia – wspominał Czesław Miłosz. – Wtedy pojawiły się inne sposoby. Moja matka, tak jak cały jej klan, była obywatelką litewską. Nie przeszkadzało to jej używać także drugiego paszportu – polskiego. Ostatecznie papierki wymyślają urzędnicy, żeby zatruwać ludziom życie, i nie należy do ich przepisów stosować się zbyt dokładnie. Dlatego wyjeżdżano do Prus Wschodnich, a tam wystarczyło zmienić paszport, żeby wjechać do Litwy. To genialne, choć proste odkrycie stosowane było w praktyce przez wielu"[1].

Rząd polski doskonale zdawał sobie sprawę z absurdów takiej sytuacji i przez 20 lat podejmowano starania (także za pośrednictwem Ligi

Narodów), by problem rozwiązać. Za każdym razem jednak polskie propozycje były odrzucane przez polityków z Kowna i Republika Litewska wciąż służyła jako punkt tranzytowy dla agentury rosyjskiej i niemieckiej działającej przeciwko naszemu krajowi. Rząd w Kownie utrudniał też powstanie Ligi Bałtyckiej – zbiorowego układu bezpieczeństwa z udziałem: Finlandii, Estonii, Łotwy, Litwy i Polski. Wojskowi z Warszawy nie mieli też złudzeń, że w razie wybuchu wojny z Niemcami czy Sowietami wojska litewskie będą gotowe do zadania Polakom ciosu w plecy. Nie były to bezpodstawne podejrzenia – podczas trwającej kilkanaście miesięcy wojny polsko-bolszewickiej taka sytuacja wydarzyła się bowiem dwukrotnie.

Jednak w drugiej połowie lat 30. sytuacja międzynarodowa w Europie zmieniała się dynamicznie. Doszło do demilitaryzacji Niemiec i sowieckiego zaangażowania w hiszpańską wojnę domową. Rząd w Kownie nie mógł już liczyć na poparcie mocarstw zachodnich ani na sympatię zagrożonych przez Sowietów państw bałtyckich. Sytuację zrozumieli nawet sami Litwini i pod koniec 1937 roku rozpoczęli powolny dialog z Polakami. Spotkanie oficjalnych delegacji miało nastąpić 1 marca następnego roku, w neutralnym wówczas Gdańsku.

Litwini jednak nie pojawili się na miejscu, a przyczyną tego było zaangażowanie się Niemiec w wewnętrzne sprawy Austrii, co niebawem zakończyło się anszlusem (zajęciem Austrii). Z perspektywy Kowna zmniejszało to ryzyko, iż Niemcy zażądają od Litwinów zwrotu Kłajpedy, którą Berlin uważał za integralną część Niemiec. Uznano więc, że niebezpieczeństwo minęło i negocjacje z Polską nie są już potrzebne. Przy okazji zapomniano o tym poinformować naszych polityków…

Na Kowno!

W Warszawie przyjęto zachowanie Litwinów z dużą konsternacją. Wzmogła się ona, gdy odebrano informacje o wydarzeniach na granicy, gdzie doszło do wymiany ognia. Co gorsza, była ofiara śmiertelna.

O świcie 11 marca dwuosobowy patrol Korpusu Ochrony Pogranicza próbował zatrzymać dwie osoby przekraczające granicę polsko-litewską. Z litewskiej strony padły strzały, w efekcie których żołnierz KOP, strzelec Stanisław Serafin, został śmiertelnie ranny. Grupa litewskich policjantów wciągnęła go na swoją stronę granicy, a następnie przeniesiono go dalej. Po kilku godzinach zmarł.

Pierwszymi odbiorcami informacji w Warszawie byli urzędnicy Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Pospiesznie zredagowano komunikat prasowy, w którym stwierdzono, że wypadek był „skutkiem nienormalnego stanu na granicy polsko-litewskiej z powodu upartej odmowy rządu litewskiego ustanowienia normalnych stosunków sąsiedzkich pomiędzy obu krajami”[2]. Komunikat zapowiadał jednocześnie podjęcie zdecydowanych działań przez rząd Rzeczypospolitej. Oświadczenie tego rodzaju musiało jednak zostać zatwierdzone na stopniu ministerialnym, a Beck przebywał wówczas z oficjalną wizytą we Włoszech, gdzie konferował na temat sytuacji europejskiej po anszlusie.

W tej sytuacji następnego dnia wieczorem wiceminister Jan Szembek udał się wraz z premierem Składkowskim do marszałka „Śmigłego”. Generalny Inspektor polecił złagodzić zdanie o konsekwencjach dla Litwy, co Szembek zaaprobował. Jednak po powrocie do biura przekonał się, że komunikat został już przekazany prasie. Natychmiast poinformował o tym „Śmigłego”, wobec czego marszałek polecił usunąć swój podpis z dokumentu. Niestety, na to również było za późno, gdyż urzędnicy ministerstwa zdążyli już rozesłać telegramy do placówek zagranicznych. Nic zatem dziwnego, że następnego dnia Składkowski – w rozmowie z Szembekiem – podsumował sytuację, twierdząc, że „wyszedł kawał z tym komunikatem”.

Przez następne dni sprawą żyła cała Polska. Prasa ukazywała się w zwiększonych nakładach, relacjonowano pogrzeb awansowanego pośmiertnie na stopień kaprala Stanisława Serafina, donoszono też (niezgodnie z prawdą), o koncentracji wojsk litewskich nad granicą z Polską. Tytuły sanacyjne zajęły stanowisko antylitewskie, ale wyczekiwano na decyzję władz. Podobnie zareagowała prasa socjalistów i ludowców, a gazety endeckie niemal wprost nawoływały do inkorporacji całej Republiki Litewskiej. Nieliczna prasa związana z opozycyjnym Frontem Morges sugerowała natomiast (co, niestety, czasami jest powtarzane nawet dzisiaj), że polski rząd dążył do wywołania konfliktu, wzorując się na anszlusie. Trudno nie zauważyć, że było to bezwiedne powtarzanie propagandy z Kremla, gdzie zdecydowanie potępiano „polski dyktat wobec Litwy”…

Tymczasem w Kownie narastało zaniepokojenie, dotychczas podobne incydenty załatwiano bowiem na szczeblu lokalnym. Prezydent Litwy, Antanas Smetona, postanowił więc szukać poparcia za granicą, ale nie

uzyskał go nawet u swoich bałtyckich sąsiadów. W tej sytuacji skierował przez Tallin, stolicę życzliwej obu krajom Estonii, notę do rządu polskiego, prosząc o polubowne załatwienie sprawy.

16 marca do Warszawy powrócił Beck i natychmiast spotkał się z Mościckim i „Śmigłym". Po pewnym czasie narada przekształciła się w posiedzenie Rady Ministrów, a członkowie gabinetu nalegali na wydanie jakiejś „stanowczej noty". Beck był jednak innego zdania i zażądał wysłania ultimatum do władz w Kownie. W przypadku jego odrzucenia Polska miała się znaleźć w stanie faktycznej wojny z Litwą.

„Wszyscy obecni na Zamku panowie – wspominał Beck – bez wahania uznali rozważania te za słuszne, z wyjątkiem wicepremiera Kwiatkowskiego, który zawsze bał się wszelkich poważniejszych decyzji.

Mimo to, że w moim przekonaniu istniało maksimum szans na spokojne załatwienie spraw, oczywiście z obowiązku zwróciłem się do marszałka Śmigłego ze stwierdzeniem, że jeśli mamy grozić, to musimy mieć minimum środków do wykonania naszej groźby.

Marszałek Śmigły zaalarmował na razie garnizon wileński, a następnie – zdaje się, [że] na interwencję generała Kasprzyckiego – przewidział dalsze zarządzenia, ażeby, w razie potrzeby, niezbyt późno móc podjąć pełne operacje wojskowe"[3].

Ultimatum przygotowano tego samego wieczoru, było dość krótkie i wyważone. Nie zawierało postulatu zmiany konstytucji litewskiej mówiącej, że stolicą tego państwa jest Wilno, a głównym żądaniem było nawiązanie normalnych stosunków dyplomatycznych bez żadnych warunków wstępnych. Ultimatum doręczono przedstawicielom władz z Kowna w Tallinie, dając im na odpowiedź 48 godzin. Zagrożono, że w innym przypadku „Rząd Polski własnymi środkami zabezpieczy słuszne interesy swego Państwa".

17 marca wieczorem, tuż po wysłaniu ultimatum, w polskich miastach odbyła się seria manifestacji popierających decyzję władz. Przeprowadziły je organizacje zrzeszone w OZN-ie, a największa odbyła się w Warszawie. Przemawiał wówczas generał Roman Górecki, prezes Banku Gospodarstwa Krajowego i szef Federacji Polskich Związków Obrońców Ojczyzny. Po wiecu na placu Piłsudskiego zorganizowano pochód – zgromadzeni udali się pod gmach GISZ-u, wznosząc okrzyki: „Wodzu, prowadź na Kowno!". Atmosfera była pełna entuzjazmu, a wśród tłumu dominowały „roześmiane, ubawione twarze młodych chłopców, akademików i uczniów starszych klas

średnich, biorących udział w tej demonstracji”[4]. Humorystyczną relację z tej demonstracji przedstawił po latach Andrzej Munk w znakomitym filmie *Zezowate szczęście*…

Dzień później „Śmigły” był już w Wilnie entuzjastycznie witany przez mieszkańców miasta. Marszałkowi wręczono nawet rezolucję, nawołującą do wyzwolenia całej Republiki Litewskiej, ale „Śmigły” niczego nie komentował. Ważniejsze było dla niego spotkanie z generałem Stefanem Dębem-Biernackim, miejscowym inspektorem armii i człowiekiem odpowiedzialnym za ewentualne działania wojenne.

Nie były one jednak konieczne, gdyż rząd w Kownie doskonale zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji. Miejscowi politycy nie byli samobójcami, tym bardziej że wódz naczelny Armii Litewskiej, generał Stasys Raštikis, poinformował rząd i prezydenta, iż opór jest niemożliwy. Litwinów stać było tylko na zbrojną demonstrację, a do zajęcia kraju wystarczyłyby tak naprawdę siły Okręgu Wileńskiego. Rankiem 19 marca o przyjęciu ultimatum zawiadomiono posła w Tallinie, który następnie przekazał informację Polakom. Przed południem informacja ta dotarła do Warszawy.

Na początku przywrócono komunikację drogową i kolejową, łączność pocztową i telefoniczną, a następnie żeglugę na Niemnie. Po raz pierwszy od niemal 20 lat rodziny rozdzielone granicą mogły się oficjalnie kontaktować. Nawiązano stosunki dyplomatyczne i gospodarcze, a jesienią rząd z Kowna polecił prasie litewskiej porzucenie antypolskiej retoryki i zakazał działalności Związkowi Wyzwolenia Wilna. Nawiązano także kontakty wojskowe, planowano nawet wzajemne staże oficerskie. Na początku maja 1939 roku doszło do wizyty generała Stasysa Raštikisa w Warszawie, gospodarzem był marszałek Śmigły-Rydz. Rewizyta miała nastąpić jesienią 1939 roku, jednak z powodu wybuchu wojny nigdy już do niej nie doszło…

Kryzys czechosłowacki

Kolejnym problemem, z którym musiały się zmierzyć polskie władze, była kwestia Śląska Cieszyńskiego. Czechosłowacja także była związana z Francją sojuszem, ale – w odróżnieniu od Polski – jej władze posłusznie wykonywały polecenia przychodzące znad Sekwany. Poza tym w Pradze okazywano też wiele sympatii dla Związku Sowieckiego, co nie mogło podobać się Polakom. Jednak z drugiej strony Czesi mieli bardzo dobrą

prasę w Europie – opinia publiczna nie zwracała bowiem uwagi na permanentne łamanie konstytucji, prześladowania mniejszości narodowych i brutalność policji.

Natomiast zdecydowanie gorsze zdanie o Czechosłowacji wyrażali jej sąsiedzi, z którymi była permanentnie skłócona. Dotyczyło to także Polski, a wzajemną niechęć datuje się od końca I wojny światowej, gdy Czesi, wykorzystując polską odsiecz Lwowa, złamali porozumienie graniczne. Zbrojnie zajęli wówczas zachodnią część Śląska Cieszyńskiego (czyli Zaolzie) zamieszkałą przez blisko 150 tysięcy Polaków. Potem było jeszcze gorzej: rząd w Pradze wstrzymał tranzyt zaopatrzenia wojennego podczas decydujących tygodni wojny z bolszewikami i wymusił niekorzystną dla Polski nową umowę graniczną. Prześladowano także polską mniejszość na Śląsku Cieszyńskim.

Tomáš Masaryk, długoletni prezydent Czechosłowacji, nienawidził Polaków i starał się nam szkodzić przy każdej nadarzającej się okazji. W 1930 roku wywołał niemały skandal, gdy publicznie oświadczył, że Polska powinna zmienić granice zgodnie z żądaniami Niemiec. Wielokrotnie odrzucał starania Warszawy dotyczące sojuszu, nawet wówczas, gdy takie rozwiązanie popierała czeska generalicja. Przy okazji warto zauważyć, że Masaryk w „demokratycznej” Czechosłowacji pełnił urząd prezydenta przez cztery kadencje, chociaż konstytucja zezwalała tylko na dwie…

W latach 20. i 30. Praga wspierała polską opozycję, przy tej okazji udzielono schronienia Wincentemu Witosowi. Wydaje się to sprawą bez znaczenia dla państwa polskiego, jednak cała sytuacja przybiera zupełnie inny wymiar, gdy połączy się to z faktem, że z czeskiej gościnności korzystali w tym czasie również komuniści i terroryści ukraińscy. Jedni i drudzy przygotowywali się za południową granicą do krwawych zamachów przeprowadzanych na terenie Rzeczypospolitej.

W 1935 roku prezydentem Czechosłowacji został Edvard Beneš, były sekretarz Masaryka i wieloletni minister spraw zagranicznych. Jego polityka była ciągiem błędów – nowy prezydent zraził do Pragi niemal wszystkich. W roku objęcia urzędu związał się sojuszem wojskowym ze Związkiem Sowieckim, osłabiając tym samym więzi z Francją i Rumunią, a wzmacniając dwie największe mniejszości: niemiecką i węgierską. Do tej bowiem pory Francja szachowała Niemców, a Rumunia – Węgrów. Związek Sowiecki nie posiadał wspólnej granicy z Czechosłowacją, zatem

w przypadku hitlerowskiej inwazji sojusz ten nie mógł mieć żadnego znaczenia.

Wiosną 1938 roku, wkrótce po anszlusie, zaktywizowali się tzw. Niemcy sudeccy. Określenie „tak zwani” jest jak najbardziej na miejscu, gdyż w rzeczywistości byli to Austriacy mieszkający w Czechach, zresztą na znacznie większym obszarze niż Sudety. W tej sytuacji Beneš porzucił zasadę ignorowania żądań mniejszości i rozpoczął negocjacje z Niemcami sudeckimi, po czym je zerwał, by zmobilizować armię. Nie zdecydował się jednak na jej użycie, chociaż III Rzesza nie była jeszcze przygotowana do wojny, a Francja i Wielka Brytania chciały bronić integralności terytorialnej Czechosłowacji. Jednak w czerwcu Beneš po raz pierwszy zasugerował zrzeczenie się na rzecz Niemiec przygranicznych ziem.

We wrześniu wybuchło powstanie Niemców sudeckich. Wprawdzie rebelianci nie osiągnęli większych sukcesów, ale rządowi w Pradze nie udało się spacyfikować miasta Aš (22 930 mieszkańców, w tym tylko 290 Czechów). Był to wyraźny sygnał rozkładu państwa, chociaż sojusznicy podejmowali starania o utrzymanie całości kraju. W Londynie ogłoszono gotowość do obrony Czechów i ogłoszono alert dla marynarki wojennej. Częściową mobilizację ogłosiła również Francja, Niemcy odpowiedziały tym samym, a w Czechosłowacji zarządzono powszechną mobilizację. Trudno oprzeć się w tym miejscu gorzkiej refleksji, że Anglicy i Francuzi mieli większą ochotę umierać za Aš niż rok później za Gdańsk…

W stronę Monachium

Czechosłowacja była jednak nie do uratowania. Praga nie potrafiła zaprowadzić porządku na własnym terytorium, armia nie wykazywała chęci do walki, a władze były gotowe do rezygnacji z części podległych im obszarów. Dlatego konferencja w Monachium rozpoczęta 29 września stanowiła już tylko formalność. Cesje terytorialne ustalono w toku wcześniejszych negocjacji, w których Czesi brali udział „korespondencyjnie”. Teraz sprecyzowano tylko zasięg zmian granicznych i tempo przekazywania spornych terenów.

W tych dniach stosunek Polski do Pragi nie był jednoznaczny. Z jednej strony – pamiętano o zaborze Śląska Cieszyńskiego, Spiszu i Orawy, nie zapomniano o losie prześladowanych rodaków czy poparciu czeskich władz dla komunistów i ukraińskich terrorystów. Co gorsza, Praga była teraz

sojusznikiem Sowietów, zatem w razie agresji Kremla wystąpiłaby przeciwko Polsce. Polityka jednak nie zna sentymentów i w Warszawie sprawę analizowano na chłodno, bowiem z drugiej strony – Czechosłowacja była przecież sojusznikiem sojuszników Polski: Francji i Rumunii, a także istotnym czynnikiem w polityce antyniemieckiej.

Ważniejsze były jednak względy typowo wojskowe. Istnienie Czechosłowacji uniemożliwiało uderzenie Niemców na Polskę od południa, co wzmacniało polską pozycję strategiczną. Gdyby jednak Praga została podporządkowana III Rzeszy, otworzyłoby to Wehrmachtowi drogi prowadzące przez Słowację daleko na wschód Polski. W bezpośrednim zagrożeniu znalazłby się wówczas Lwów i całe południowe Kresy. Oznaczałoby to załamanie się polskich planów wojennych i klęskę Rzeczypospolitej jeszcze przed rozpoczęciem wojny. Dlatego w Warszawie zamierzano za wszelką cenę utrzymać istnienie suwerennej Czechosłowacji, chociaż liczono się z jej upadkiem. Dlatego uznano, że w takiej sytuacji należy za wszelką cenę przerwać możliwość komunikacji ze wschodnią Słowacją – można było to zrobić, wyzwalając ziemie anektowane 20 lat wcześniej przez Czechów. Tego wymagało bezpieczeństwo Polski.

Sprecyzowanie polityki wobec Pragi nastąpiło 12 maja 1938 roku podczas spotkania na Zamku Królewskim. Wzięli w nim udział: Mościcki, „Śmigły”, Beck oraz ambasadorowie w Berlinie, Paryżu i Pradze. Ustalono wówczas, że Polska będzie starała się zachować ścisłą neutralność, gdyż „w razie prawdziwej wojny europejskiej z Niemcami nie możemy być po stronie Niemiec nawet pośrednio”. Jednocześnie potwierdzono wobec Francji wypełnienie zobowiązań sojuszniczych – zarówno przez polskiego ambasadora w Paryżu, jak i francuskiego ambasadora w Warszawie.

Sytuacja zmieniła się w połowie września, gdy wybuchło wspomniane już powstanie Niemców sudeckich, z którym Czesi nie potrafili sobie poradzić. W Warszawie uznano wówczas, że los Czechosłowacji jest przesądzony, i pozostaje tylko dołożyć starań, by jej upadek nie doprowadził do pogorszenia sytuacji strategicznej Polski. W tym celu należało rozpocząć akcję odzyskania Zaolzia i uniemożliwić Niemcom korzystanie ze słowackiej sieci kolejowej.

Sprawa Zaolzia

Sytuację nieco komplikował fakt, że w dniach konferencji w Monachium „Śmigły” prowadził jesienne manewry na Wołyniu. Przez kilka dni komunikowano się z nim juzowo (przewodowym aparatem telegraficznym Hughesa podobnym do dalekopisu), tymczasem w Warszawie szef Sztabu Głównego generał Wacław Stachiewicz, ponaglany przez Becka, niepokoił się sytuacją na południowej granicy. „Śmigły” zachował jednak kamienny spokój i stwierdził, że nie ma potrzeby natychmiastowego powrotu do garnizonów dywizji przebywających na Wołyniu. Na razie wystarczyło skierować nad Olzę formacje Korpusu Ochrony Pogranicza.

Manewry faktycznie zakończono zgodnie z planem, a po południu następnego dnia rozpoczął się przerzut wojsk w kierunku Śląska Cieszyńskiego. Największą rolę do odegrania miały dwie lokalne dywizje: śląska 23 Dywizja Piechoty przygotowana do walki w terenie zurbanizowanym i 21 Dywizja Piechoty Górskiej. Żołnierze tej drugiej jednostki doskonale znali teren działań, a część z nich stacjonowała nawet w samym Cieszynie. Skierowano tam również zmechanizowaną 10 Brygadę Kawalerii, zdolną do szybkich i zdecydowanych akcji. Przy okazji zapadła też decyzja, by nie zwalniać do domów powołanych na manewry rezerwistów, o czym natychmiast poinformowała prasa.

„Śmigły” przybył do Warszawy 21 września i o godz. 17 spotkał się w swoim mieszkaniu z oficerami Sztabu Głównego. Nie podjęto wówczas żadnych decyzji, gdyż rząd już wcześniej skierował do Pragi notę dyplomatyczną z żądaniem, by obywatele Czechosłowacji polskiego pochodzenia nie byli traktowani gorzej niż inne mniejszości. Tak naprawdę było to zawoalowane żądanie, by przy okazji cesji terytorialnych na rzecz Niemców Polska odzyskała Zaolzie. Podobną notę wysłał również rząd węgierski szykujący się do odzyskania południowej części Słowacji i Rusi Zakarpackiej.

Odpowiedź Beneša przyszła dopiero po pięciu dniach, w tym czasie prezydent Czechosłowacji starał się bowiem o poparcie zagraniczne. Wielka Brytania i Francja przez swoich ambasadorów pytały o polskie przygotowania wojskowe i otrzymały odpowiedź, że Rzeczpospolita podjęła je jako ostatnia z sąsiadów Czechosłowacji. Z kolei Związek Sowiecki zasugerował Warszawie wypowiedzenie paktu o nieagresji i poprosił o zgodę na przepuszczenie Armii Czerwonej przez Małopolskę. Formalnie – by przyjść z pomocą Czechom w razie wojny z Niemcami, jednak faktycznie był to gest wymierzony przeciwko Polsce. Armia

Czerwona nie zdążyłaby dotrzeć do Czech, ale Beneš skorzystał z sowieckiej oferty, chcąc zaszachować Polaków groźbą wojny na wschodniej granicy.

Wieczorem 23 września „Śmigły” spotkał się z Inspektorem Armii z Torunia, generałem Władysławem Bortnowskim, który nazajutrz miał objąć dowództwo polskiego zgrupowania wojsk. Powszechnie uważano go za jednego z najzdolniejszych polskich dowódców. Podejrzewano, że gdy „Śmigły” obejmie urząd prezydenta, to właśnie Bortnowski zastąpi go na stanowisku Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych.

Samodzielna Grupa Operacyjna „Śląsk” składała się ze wspomnianych już dwóch dywizji, do jej składu dodano jeszcze Wielkopolską Brygadę Kawalerii oraz lokalne bataliony Obrony Narodowej. W razie napotkania zbrojnego oporu na tyłach armii czechosłowackiej miał działać oddział dywersyjny utworzony z miejscowej ludności polskiej.

Wymierzona w Czechosłowację koncentracja oddziałów i mobilizacja społeczeństwa trwała niemal przez cały ostatni tydzień września. Wojsko Polskie szykowało się bowiem do zadania nakreślonego znacznie szerzej niż wyzwolenie Zaolzia. Większość sił Bortnowskiego stanowiły lokalne formacje, inne pozostawiono w garnizonach, by strzegły polskich granic. W Wielkopolsce i na Kujawach przygotowywano tereny na lotniska polowe, uaktualniono również (o obiekty w Niemczech) listę celów dla polskich bombowców. Dyskretnie zamówiono w Berlinie dużą liczbę map topograficznych pogranicza niemiecko-polskiego. Postawiono również w gotowość Polską Marynarkę Wojenną, co raczej trudno uznać za przygotowanie do wojny przeciwko Czechosłowacji. Liczono się z „ewentualną koniecznością militarnego wystąpienia przeciw Niemcom w razie dokonania się zwrotu w sytuacji dyplomatycznej”[5].

Gdyby Czechosłowacja zdecydowała się bronić, Polacy przyszliby jej z pomocą. Nie z sympatii dla południowego sąsiada, lecz wypełniając zobowiązania sojusznicze wobec Francji – Francuzi byli bowiem gotowi walczyć za interesy Pragi. Jednak takiej woli nie mieli sami Czesi i woleli oddać znaczną część swojego państwa Niemcom.

Maszerować!

Świat dowiedział się o wynikach konferencji monachijskiej rankiem 30 września. Z polskiej perspektywy było nie do przyjęcia, że w ręce Niemiec

miało wpaść położone na północy Śląska Cieszyńskiego miasto Bogumin. Był to ważny węzeł komunikacyjny zamieszkały głównie przez Polaków. Dlatego jeszcze przed południem odbyło się na Zamku spotkanie Mościckiego, „Śmigłego” i Becka, na którym podjęto decyzję o wysłaniu do Pragi ultimatum. Dla Becka ważne było Zaolzie, dla „Śmigłego” – korekty graniczne, dzięki którym Polska mogłaby kontrolować linie kolejowe na wschód Słowacji. Generalny Inspektor miał rację – tylko dzięki temu Polska za niespełna rok mogła w ogóle podjąć walkę z Niemcami.

Ultimatum dostarczono do Pragi późnym wieczorem, termin odpowiedzi wyznaczono do południa następnego dnia. Noc upłynęła Polakom na przygotowaniach wojennych. Okazało się jednak, że Praga przystała na nasze warunki. W tej sytuacji marszałek wygłosił z balkonu GISZ-u przemówienie do warszawiaków manifestujących swoje poparcie dla działań polskich władz, a kolejne dni spędził w Cieszynie. To właśnie tam wydał (i odczytał w radiu) swój słynny rozkaz kończący się poleceniem: „Maszerować!”.

Wojsko Polskie wkroczyło na Zaolzie 2 października, entuzjastycznie witane przez wyzwolonych rodaków. Ważniejsze było jednak inne zadanie: wyprzedzić Niemców planujących zająć Bogumin. Nasi żołnierze okazali się szybsi, a chociaż nie doszło wówczas do konfliktu zbrojnego, był to jednoznaczny dowód, że Polacy nie współpracowali z Niemcami.

Zajęcie Zaolzia wywołało nieprawdopodobny wybuch nacjonalizmu w kraju. Opinia publiczna zareagowała wręcz histerycznie, włącznie z opozycją. Kongres Stronnictwa Ludowego „witał z radością powrót Śląska Zaolziańskiego do Macierzy i przesyłał serdeczne pozdrowienia tamtejszym chłopom, którzy wrośnięci korzeniami w ziemię przechowali ją przez wieki dla Polski”. Edward Śmigły-Rydz nigdy nie był tak popularny w społeczeństwie, pojawiły się nawet rymowanki i piosenki sławiące marszałka:

Nikt nam nie zrobi nic,
nikt nam nie weźmie nic,
bo nas prowadzi Śmigły,
marszałek Śmigły-Rydz.

Operacja „Łom”

Generalny Inspektor był realistą i wiedział, że opanowanie Bogumina nie rozwiązuje problemów strategicznych Polski. Konferencja monachijska oddała bowiem III Rzeszy znaczne obszary przygraniczne Czechosłowacji, a – co gorsza – zrobiła z niej sojusznika Niemiec. Wprawdzie nie był to specjalnie wartościowy sprzymierzeniec, jednak i tak w pewien sposób wzmocnił pozycję III Rzeszy. Nie oznaczało to oczywiście, że potencjalny front polsko-niemiecki automatycznie wydłużył się o 1000 kilometrów, gdyż tak naprawdę liczyły się tylko linie kolejowe. W tamtych czasach bez transportu szynowego sprawne przerzucenie wojska było niemożliwe, dlatego należało jeszcze zająć tunele górskie, by w razie konieczności wysadzić je w powietrze i na wiele miesięcy uniemożliwić korzystanie z linii kolejowej na wschód. Poza tym pozostawała sprawa drugiego połączenia znajdującego się tuż przy granicy czechosłowacko-węgierskiej.

Do czasu konferencji w Monachium Czesi odgrywali dominującą rolę w swym państwie. Mniejszości narodowe były pozbawione praw, dotyczyło to nawet Słowaków, którzy – mimo nazwy kraju – pozostawali obywatelami drugiej kategorii. Nie posiadali nawet własnego uniwersytetu ze słowackim językiem wykładowym, a spośród około 100 generałów w armii czechosłowackiej Słowakiem był… jeden. Nic zatem dziwnego, że nie odczuwali specjalnej sympatii do Pragi, jednak w chwili zagrożenia to właśnie im najbardziej zależało na utrzymaniu integralności terytorialnej państwa. Doskonale bowiem wiedzieli, że oddanie przygranicznych ziem czeskich będzie oznaczać, iż niebawem o ich tereny upomną się Węgrzy.

Gdy zatem w październiku 1938 roku przeprowadzano korekty graniczne mające na celu opanowanie linii kolejowej wiodącej na wschód, Słowacy sprzeciwili się decyzjom podjętym w czeskiej Pradze. Doszło nawet do starć zbrojnych, w których zginęło kilku polskich żołnierzy wytyczających granicę. Na szczęście sytuację rozwiązano zgodnie z linią ustaleń traktatowych i Rzeczpospolita objęła kontrolę nad spornymi ziemiami. Największe znaczenie miał tunel pod Przełęczą Jabłonkowską – panowanie nad nim oznaczało kontrolę transportu z zachodu na wschód.

Tymczasem władze w Pradze otrząsnęły się z marazmu i uznały, że jednak nie warto wypełniać zobowiązań wobec Warszawy i Budapesztu. Nastąpiło też krótkotrwałe pogodzenie się Słowaków i Czechów, a ich państwo zmieniło nawet nazwę: z Republiki Czechosłowacji stało się Republiką Czecho-Słowacji. Rozpoczęto akcje dywersyjne na Śląsku Cieszyńskim, jednak większe znaczenie miały działania sponsorowanej

przez Czechów Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Na przełomie lat 1938 i 1939 terroryści z OUN przeprowadzili w Małopolsce 81 akcji sabotażowych i dywersyjnych, co wzbudziło zrozumiały niepokój polskich władz.

Bazą terrorystów była Ruś Zakarpacka – najbardziej na wschód wysunięta prowincja państwa czechosłowackiego, zamieszkała w połowie przez Węgrów i Rusinów (Ukraińców). Sytuacja stała się na tyle groźna, że władze w Warszawie i Budapeszcie postanowiły rozpocząć wspólną akcję na Słowacji i Zakarpaciu.

Jako pierwsi zaczęli działać Węgrzy, a kulminacją była próba opanowania Mukaczewa i Berehowa. Podjęto ją 9 października, operacja została zaplanowana w formie pokojowej demonstracji, jednak czecho-słowacka żandarmeria otworzyła ogień. Zginęło 17 demonstrantów, a ponad 300 trafiło do więzienia. Tylko nielicznym uczestnikom udało się przedrzeć na Węgry i do Polski. Konflikt słowacko-węgierski stawał się coraz bardziej krwawy.

W tej sytuacji Węgrom przyszli z pomocą Polacy, przygotowując akcję „Łom”. Wykorzystano wówczas kadrę zawodową od lat szkoloną do działań partyzanckich. Uczestnikami tej operacji byli żołnierze, których nazwiska doskonale znamy z późniejszej historii Polski. Należeli do nich m.in. podporucznik Konrad Guderski, który we wrześniu 1939 roku bronił Poczty Gdańskiej, a także major Jan Mazurkiewicz, późniejszy szef Kedywu Armii Krajowej i Zgrupowania „Radosław”.

Nocą z 22 na 23 października 1938 roku kilkuosobowy oddział Polaków przedarł się niezauważony przez granicę i wtargnął 10 kilometrów w głąb „obcego terytorium”. Dotarli do miasteczka Niżne Wereczki, wysadzili most drogowy na rzece Latorica i bez strat własnych powrócili do bazy. Przez kolejne dwa tygodnie podobne akcje powtarzano niemal codziennie: wysadzano mosty, niszczono drogi i tory kolejowe, przerywano połączenia telegraficzne i telefoniczne. Wszystko to miało wykazać, że rząd w Pradze nie kontroluje swojego terytorium.

I rzeczywiście przyniosło to pewne rezultaty. 2 listopada 1938 roku międzynarodowy arbitraż prowadzony w Wiedniu przyznał bowiem Budapesztowi część południowej Słowacji, w której Węgrzy stanowili większość. Madziarzy, odzyskując te tereny, opanowali drugą linię kolejową wiodącą z Czech na wschód Słowacji. Polskie położenie strategiczne znacznie się więc poprawiło…

Jednak arbitraż wiedeński okazał się tylko częściowym sukcesem Węgrów. Tym razem stawką była Ruś Zakarpacka, a jej opanowanie przez Madziarów leżało w interesie Polaków. Poddanie tego terytorium władzom w Budapeszcie oznaczało uzyskanie wspólnej granicy, a jednocześnie odsunięcie zagrożenia niemieckiego od Rumunii. A południowy sojusznik był dla Polski bardzo ważny, gdyż przez jego obszar miały przechodzić dostawy z Francji i Anglii.

Rumunia była jednak skonfliktowana z Węgrami (głównie z powodu Siedmiogrodu), zatem jako pośrednik musiała wystąpić Polska. Jeszcze w październiku minister Beck udał się więc do Bukaresztu, by przekonać tamtejszych polityków do rozwiązania, które satysfakcjonowałoby wszystkich. Gdyby Rumunia wyraziła zgodę na zajęcie Rusi Zakarpackiej przez Węgrów, w zamian otrzymałaby linię kolejową prowadzącą przez tamte tereny. Niestety, Beck nie osiągnął sukcesu. Polski minister w ogóle nie mógł dojść do porozumienia ze swoim rumuńskim odpowiednikiem.

„Rozumiejąc, że mam do czynienia z idiotą – wspominał Beck – skróciłem rozmowę, licząc, że może (…) z królem potrafię się do czegoś dogadać. Król, tonem raczej płaczliwym, przyznał mi, że pewnie mam rację, ale że (…) on tego pewnie nie będzie mógł zrobić, zwłaszcza wobec stanowiska swego rządu”[6].

Pod koniec listopada zakończono również operację „Łom”. W kilka tygodni polscy dywersanci zniszczyli most kolejowy, 12 mostów drogowych, zaporę wodną, centralę telefoniczną i budynek poczty. Przy okazji zerwano linię wysokiego napięcia i wielokrotnie niszczono przewody telefoniczne. Zginęło kilku funkcjonariuszy państwa czechosłowackiego i 11 Polaków. Siedmiu z nich poległo w boju, trzech zostało rozstrzelanych w Onakovcach koło Użhorodu, a podporucznika Władysława Wolskiego zamęczono podczas przesłuchania.

Cel jednak został osiągnięty, przejęto kontrolę nad obiema liniami kolejowymi na wschód. Z perspektywy „Śmigłego” istniało jednak jeszcze jedno zagrożenie: możliwość powstania zbójeckiego państwa Rusinów Zakarpackich wspierających ukraiński terroryzm w Polsce. I faktycznie – państwo takie powstało.

W marcu 1939 roku Czesi zaniepokojeni ambicjami Słowaków próbowali stłumić je siłą. Okazało się jednak, że nawet brutalność Czechów (były ofiary śmiertelne) nie jest w stanie złamać woli oporu Słowaków. Po

raz kolejny potwierdziło się również, że armia podległa Pradze nie nadaje się do walki i że potrafią ją pokonać nawet uzbrojeni cywile.

W tej sytuacji na Rusi Zakarpackiej wybuchło powstanie, armia czechosłowacka nie podjęła walki, a jej żołnierze zbiegli za granicę. Przez kilka dni na południe od Rzeczypospolitej istniało ukraińskie państwo zwane Siczą Zakarpacką, jednak dość szybko zareagowali Węgrzy. Nie zmarnowali okazji na przyłączenie tego terytorium – i 18 marca 1939 roku uzyskali wspólną granicę z Polską. O kilku dni nie istniała już zresztą Czecho-Słowacja, która rozpadła się na Protektorat Czech i Moraw oraz Słowację. „Śmigły” ponownie osiągnął swój cel.

Warto zauważyć, że aneksja Zaolzia i akcja „Łom” spowodowały, iż we wrześniu 1939 roku Niemcy nie mogli zaatakować Polski z terenu Słowacji, a miejscowe siły zbrojne były zdolne tylko do ataku na Zakopane i jego okolice. Dowódcy Wehrmachtu liczyli jeszcze na linię kolejową przebiegającą przez Cieszyn, ale wycofujące się Wojsko Polskie zdewastowało ją tak skutecznie, że została uruchomiona dopiero w 1940 roku. Berlin zwrócił się zatem z ultimatum do Węgrów, żądając zezwolenia na wykorzystanie ich linii kolejowych, ale rząd w Budapeszcie nie ugiął się pod dyktatem. Zmobilizowano nawet nieliczną armię i zagrożono wysadzeniem mostów kolejowych, gdyby Niemcy zdecydowali się na wzięcie ich siłą.

MŁODA POLSKA
MIESIĘCZNIK IDEOWO-POLITYCZNY ZWIĄZKU MŁODEJ POLSKI

MASZEROWAĆ!

Rozkaz marszałka Śmigłego-Rydza o zajęciu Zaolzia, październik 1938 roku

foto Wikipedia.pl

Przemówienie marszałka Śmigłego-Rydza w Katowicach w 15. rocznicę trzeciego powstania śląskiego, 3 maja 1936 roku

foto East News

Marszałek Edward Śmigły-Rydz

reprodukcja Piotr Męcik/Forum

Rozdział 12

Ostatnie miesiące przed wojną

Samobójstwo Walerego Sławka

Były premier został ostatecznie wyeliminowany z życia politycznego w trakcie ostatnich wyborów w II Rzeczypospolitej. Duet Mościcki-„Śmigły" zrobił wiele, by pułkownik nie został posłem, posunięto się nawet do kolportażu ulotek (z dostawą do skrzynki pocztowej) z hasłem „nie głosuj na Sławka". W efekcie najbliższy przyjaciel Piłsudskiego nie dostał się do parlamentu, nie zostali wybrani również inni pułkownicy.

Ostatnie miesiące życia Walerego Sławka pozostają okryte tajemnicą. Posiadamy wiele niepotwierdzonych relacji (czasami o wątpliwej wiarygodności), jakoby były premier planował zamach stanu. Znając jednak jego niechęć do podejmowania decyzji, nie wydaje się to możliwe. Bez wątpienia kontaktował się jednak ze swoimi dawnymi współpracownikami – zachowane informacje jednoznacznie potwierdzają, że krytycznie wypowiadał się o polityce triumwiratu Mościcki-„Śmigły"-Beck. Podobno niepokoiło go narastające zagrożenie ze strony Niemiec i miał planować przewrót, by zmienić orientację polityczną i oprzeć się na sojuszu z Hitlerem. Brakuje jednak konkretnych dowodów na poparcie tej tezy.

Nie znajduje również uznania hipoteza, że Sławek był zamieszany w próbę otrucia Mościckiego w marcu 1939 roku. Prezydent przeszedł wówczas poważną chorobę (prawdopodobnie skręt kiszek), ale nie ma wiarygodnych źródeł potwierdzających próbę zamachu na głowę państwa. Zresztą kłopoty gastryczne nie są ewenementem u mężczyzny, który ukończył 70. rok życia – interwencja osób trzecich jest w takim przypadku raczej zbędna. Sławek wydawał się chyba ostatnią osobą kwalifikującą się do skrytobójstwa.

Wiadomo jednak, że często przyjeżdżał z Racławic, gdzie wówczas mieszkał, do Warszawy. Po raz ostatni pojawił się w stolicy pod koniec marca 1939 roku, planując powrót na 3 kwietnia.

Atmosfera w Warszawie była napięta. Dwa tygodnie wcześniej Niemcy zajęli Pragę, a kilka dni później opanowali litewską Kłajpedę. Po kraju krążyły najróżniejsze pogłoski, zatem Sławek zaraz po przyjeździe do stolicy skierował się do Becka. Panowie długo rozmawiali przy zamkniętych drzwiach, następnie Beck wyjechał przez Berlin do Londynu. Natomiast Sławek pozostał sam ze swoimi myślami…

Wydaje się jednak, że miał szczery zamiar wyjechać z Warszawy. Na poniedziałek 3 kwietnia umówił się bowiem ze swoim przyjacielem, byłym sekretarzem generalnym BBWR-u Michałem Brzękiem-Osińskim, na wspólną podróż do Racławic. W niedzielę uzgodnił nawet telefonicznie odbiór bryczki i konia pozostawionych u zaprzyjaźnionego ziemianina. Ostatnią osobą, która z nim rozmawiała, był Bohdan Podoski. Współtwórca Konstytucji kwietniowej odwiedził Sławka w godzinach popołudniowych w niedzielę, 2 kwietnia, w jego służbowym mieszkaniu przy alei Szucha. Sławek (ubrany wizytowo) sprawiał wrażenie spokojnego i opanowanego, nie widać było po nim żadnych emocji.

Podobno około południa dostał telegram, który następnie spalił. Czy to właśnie jego treść zadecydowała o samobójstwie? Rzekomo napisał też listy: do prezydenta Mościckiego oraz Aleksandra Prystora i Kazimierza Świtalskiego. Listy jednak się nie zachowały, a jeżeli rzeczywiście istniały, to ich treść adresaci zabrali ze sobą do grobu.

O 20.45 Walery Sławek strzelił do siebie ze starego browninga, pamiętającego jeszcze czasy PPS-u. Jednak staremu bojownikowi drgnęła ręka albo zawiódł wysłużony rewolwer. Nieprzytomny Sławek zmarł nad ranem w jednym z warszawskich szpitali.

Samobójstwo znanego polityka musiało oczywiście wywołać falę spekulacji, które właściwie nie ustały do dziś. Opowiadano, że pułkownik miał zostać aresztowany za zdradę stanu i stanąć przed sądem, a samobójczy strzał stanowił honorowe rozwiązanie. Nie można też wykluczyć, że przewrót planowali jego przyjaciele i współpracownicy, z którymi utrzymywał kontakty towarzyskie. Dla strony rządowej byłby to wystarczający pretekst do postawienia Walerego w stan oskarżenia.

Jednak czasami najbardziej prawdopodobne wydają się najprostsze rozwiązania. Sławek wiedział, że zawiódł Piłsudskiego, nie przejął po nim

władzy, rozpadł się jednolity obóz pomajowy. Walery nie potrafił odnaleźć się w świecie bez Marszałka, w Polsce Mościckiego i „Śmigłego”. Ginął jego świat, a on nie chciał go przeżyć.

Pogrzeb Walerego Sławka odbył się na warszawskich Powązkach Wojskowych 5 kwietnia 1939 roku. W trakcie uroczystości, gdy trumnę zdejmowano już z katafalku, zbliżył się do niej „Śmigły”, chcąc wraz z innymi przenieść ją na cmentarz. Przyjaciele Sławka otoczyli jednak katafalk, nie dopuszczając go do trumny. Marszałek uszanował powagę chwili.

W stronę wojny z Niemcami

Zajęcie przez Niemców Kłajpedy było czytelnym sygnałem, że Polska ma tylko dwie możliwości. Pierwszą z nich było przyjęcie niemieckiej propozycji sojuszu z Rzeszą, zgoda na aneksję Gdańska i przeprowadzenie eksterytorialnej autostrady i linii kolejowej przez Pomorze. Drugą – dalsze opieranie się na sojuszu z Francją, co musiało doprowadzić do wojny z Hitlerem. Dlatego po zajęciu Kłajpedy prezydent Mościcki zwołał naradę, w której poza „Śmigłym” i Beckiem wziął jeszcze udział Składkowski. Wspólnie uznano, że niemieckie żądania są nie do przyjęcia, gdyż oznaczają sprowadzenie Polski do roli państwa wasalnego. Polscy przywódcy nie byli jednak samobójcami, dlatego już następnego dnia ambasador Rzeczypospolitej w Wielkiej Brytanii, Edward Raczyński, zwrócił się do władz w Londynie z propozycją zawarcia dwustronnego sojuszu. I dopiero po uzyskaniu pozytywnej odpowiedzi oficjalnie odrzucono ofertę niemiecką. Anglicy dotrzymali słowa, 31 marca 1939 roku brytyjski premier Neville Chamberlain oświadczył w Izbie Gmin, że w razie jakiejkolwiek akcji zagrażającej niepodległości Polski Wielka Brytania udzieli jej pomocy wszelkimi koniecznymi środkami. Dodał także, że podobne stanowisko zajmuje rząd francuski. Niebawem nad Tamizą pojawił się Beck – i zawarto odpowiednie porozumienie.

W tej sytuacji pod koniec kwietnia Hitler w bardzo agresywnym przemówieniu wypowiedział układ o nieagresji z 1934 roku. Na odpowiedź czekał do 5 maja, udzielił mu jej Beck w swoim słynnym wystąpieniu sejmowym – zapowiedział, że nie będzie ustępstw wobec Niemiec. I odniósł tym samym bezprecedensowy sukces, gdyż społeczeństwo przyjęło jego przemówienie z entuzjazmem.

„Przed południem w domu – zanotowała Maria Dąbrowska. – Słucham mowy Becka w Sejmie. Słucha jej cała Polska, wszędzie przerwano pracę, wszyscy przy głośnikach. Doskonała mowa, zarówno w formie, jak i treści. Monumentalna i krótka, co wspaniale odcina się na tle wielogodzinnych wygłupiań się i wrzasków Mussoliniego czy Hitlera”[1].

Nawet z perspektywy lat przemówienie polskiego ministra wywołuje ogromne wrażenie. W czasach demokracji ludowej do bólu prezentowano w telewizji fragment o Polsce niepozwalającej odepchnąć się od Bałtyku, a tymczasem najbliższe sercu każdego Polaka słowa padły na koniec wystąpienia:

„Pokój jest rzeczą cenną i pożądaną – mówił Beck. – Nasza generacja, skrwawiona w wojnach, na pewno na okres pokoju zasługuje. Ale pokój, jak prawie wszystkie sprawy tego świata, ma swoją cenę wysoką, ale wymierną. My w Polsce nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę. Jedna jest tylko rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bezcenna: tą rzeczą jest honor”[2].

Nikt nie miał złudzeń: zbliżała się wojna z Niemcami, zmieniono zatem priorytety i wszystko podporządkowano spodziewanej agresji z zachodu.

Plan wojenny

Uczciwie trzeba przyznać, że „Śmigły” i jego sztabowcy stanęli na wysokości zadania. Opracowany plan zakładał prowadzenie wojny koalicyjnej; Polacy mieli przetrwać niemieckie uderzenie, po czym powinna nastąpić francuska ofensywa planowana na 15. dzień wojny. Wielka Brytania miała dołączyć siłami powietrznymi i morskimi, a gdyby to nie wystarczyło – zmobilizować wojska lądowe, które po kilku miesiącach miałyby dołączyć do Francuzów. Polskie zapasy uznawano za wystarczające, według standardów z czasów poprzedniego konfliktu miały pozwolić na samodzielną walkę przez pół roku. Oczywiście spodziewano się dostaw zarówno z wytwórni krajowych, jak i od sojuszników. „Śmigły” doskonale wiedział, że Polska nie ma szans na wygranie wojny samotnie, zatem zadaniem polskiej armii było tylko przetrwanie niemieckiego ataku i związanie Wehrmachtu walką.

Niemcy mogli zaatakować z trzech kierunków: od Prus Wschodnich, z terenu Śląska lub z Pomorza. Przez długie lata były to jednak możliwości czysto teoretyczne: Prusy łatwo było odciąć, a na Śląsk mogli wkroczyć

Czesi. Kapitulacja Pragi sprawiła jednak, że najbardziej prawdopodobne było właśnie uderzenie ze Śląska.

Polacy musieli zasłonić wszystkie kierunki potencjalnego uderzenia. Na najkrótszej drodze – z Prus Wschodnich do Warszawy – stanęła zatem armia „Modlin", na drodze z Pomorza do Warszawy pozycje zajęła armia „Pomorze", a na drodze ze Śląska do Warszawy – dwie armie: „Łódź" i „Kraków". W razie konieczności odwrotu za Wisłę Niemców miały powstrzymywać dwie armie odwodowe: „Poznań" i „Prusy" (skoncentrowana – wbrew nazwie – na południe od Warszawy). W polskim Sztabie Głównym doskonale wiedziano, że Niemcy nie zaatakują przez Wielkopolskę, zatem głównym zadaniem armii „Prusy" było wykonanie uderzenia ratującego armię „Pomorze" lub armię „Łódź". Koncepcja „Śmigłego" spowodowała, że przez całe lata twierdzono, iż Wojsko Polskie było ustawione linearnie wzdłuż granic, co uznano za poważny błąd. Tak jednak nie było – punkt ciężkości tworzyły armie „Łódź" oraz „Kraków".

Inny zarzut wobec marszałka i jego współpracowników dotyczył decyzji o obronie Górnego Śląska, Pomorza i Wielkopolski. Krytycy uważali, że należało się bronić dopiero na linii Wisły i Narwi, najlepiej po wybudowaniu tam potężnych umocnień. Przed 1939 rokiem nikt jednak takich propozycji nie traktował poważnie. Jednym z haseł Hitlera był przecież „powrót do granic z 1914 roku" – gdyby zatem bez walki oddano ziemie zachodnie i północne, Niemcy mogli się zatrzymać i poprosić o arbitraż międzynarodowy. Doświadczenie uczyło także, że zajmując terytoria sąsiadów (Austrii, Czech czy Republiki Litewskiej), hitlerowcy wykorzystywali brak zdecydowanego oporu do usprawiedliwienia agresji. W tej sytuacji w Polsce musieli się spotkać ze zdecydowaną walką, a społeczeństwa Francji i Wielkiej Brytanii powinny się przekonać, że Polacy potrafią bronić swojej wolności. Tylko w ten sposób rządy alianckie mogły mieć powód, by przyjść Rzeczypospolitej z pomocą.

Istotny był również fakt, że zachodnie ziemie Polski były bardzo bogate – należało je utrzymać jak najdłużej. Oddanie terytoriów na zachód od Wisły uniemożliwiłoby także zmobilizowanie większości formacji Wojska Polskiego, gdyż znaczna część garnizonów znajdowała się właśnie na tamtejszych obszarach. Poza tym nikt jeszcze nie słyszał o wojnie błyskawicznej – poprzednie konflikty toczyły się stosunkowo wolno, dlatego zakładano, że dojście do Wisły zajmie Niemcom około miesiąca.

Także wcześniejsza budowa fortyfikacji w głębi kraju nie wchodziła w rachubę. Wpłynęłoby to fatalnie na morale społeczeństwa, rodząc pogłoski o planowym oddaniu znacznej części kraju. Poza tym byłby to doskonały argument dla propagandy niemieckiej, że Polacy nie chcą umierać nie tylko za Gdańsk, lecz także za Pomorze, Śląsk, Wielkopolskę, a nawet zachodnią Małopolskę i Mazowsze.

Mitów dotyczących przygotowań i samej kampanii polskiej 1939 roku jest tak wiele, że autorzy niniejszej pozycji przygotowują już następną książkę poświęconą tylko temu tematowi. Warto natomiast pamiętać o celach, jakie postawili sobie Niemcy przed agresją. Wbrew pozorom były one dość ograniczone.

„Celem operacji – wyjaśniał swoim podwładnym dowódca niemieckich wojsk lądowych generał Walther von Brauchitsch – jest zniszczenie polskich sił zbrojnych. Względy wyższej polityki wymagają, aby wojna rozpoczęła się gwałtownym uderzeniem przez zaskoczenie dla uzyskania szybkich rezultatów. Zamiarem Naczelnego Dowództwa Wojsk jest zapobiec regularnej mobilizacji i koncentracji polskiej armii przez niespodziewaną inwazję na polskie terytorium i zniszczenie masy polskiego wojska, którego należy się spodziewać na zachód od linii Wisła-Narew”[3].

Operacja ta miała być przeprowadzona błyskawicznie, tak by Francja i Wielka Brytania nie zdążyły stanąć po polskiej stronie. Gdyby jednak do tego doszło, kampania w Polsce miała trwać nie dłużej niż 14 dni, gdyż wówczas oddziały Wehrmachtu można było przerzucić na front zachodni.

Niemcy nie zrealizowali swoich celów. Zrobił to za nich ktoś inny…

Armia polska Anno Domini 1939

Wyobrażenia na temat wojsk i sprzętu z września 1939 roku czerpiemy najczęściej z zachowanych kronik filmowych oraz filmów dokumentalnych i fabularnych. Nie zdajemy sobie jednak sprawy, że jest to wyjątkowo zakłamany obraz, gdyż większość takich materiałów powstała na potrzeby propagandy. Z tego powodu przedstawiano w nich wyłącznie najnowocześniejsze uzbrojenie, nie pokazując zwykłej codzienności tamtej epoki. Nie oglądamy zatem konnych wozów taborowych, lecz superciężkie czołgi i nowoczesne samoloty. Natomiast w filmach fabularnych powstających już po wojnie korzystano z dostępnych rekwizytów – najczęściej wypożyczonych z pobliskiej jednostki wojskowej. Dlatego

w uzbrojeniu żołnierzy można było dostrzec powojenne automaty Kałasznikowa, a makiety niemieckich czołgów typu Tygrys budowano na podwoziach czołgów skonstruowanych wiele lat później.

Najbardziej znaną sceną filmową dotyczącą kampanii polskiej 1939 roku jest fragment filmu Andrzeja Wajdy *Lotna*: polscy kawalerzyści szarżujący na niemiecki czołg typu Tygrys i próbujący odrąbać mu lufę szablami. Trudno o większą bzdurę. Wajda – zgodnie z propagandą epoki PRL-u – udowadniał tezę, że w 1939 roku Wojsko Polskie było przestarzałe i nie miało szans w walce z Niemcami. Zresztą idea szarżowania kawalerii na czołgi była wymysłem Goebbelsowskiej propagandy, która głównie miała na celu przedstawienie Polaków jako narodu wprawdzie odważnego, lecz kompletnie zacofanego i szalonego. W rzeczywistości polska kawaleria faktycznie walczyła przeciwko czołgom, ale za pomocą specjalistycznego uzbrojenia. I robiła to bardzo skutecznie – pod Mokrą Wołyńska Brygada Kawalerii była w stanie za pomocą armat przeciwpancernych, artylerii i pociągu pancernego (o nazwie Śmigły) zatrzymać niemiecką 4 Dywizję Pancerną, eliminując z walki ponad 40 czołgów wroga. Bzdurą są też tygrysy na polu walki – ten typ czołgów pojawił się o wiele później, a we wrześniu 1939 roku 90 proc. wozów bojowych stanowiły pojazdy wielkości samochodu osobowego.

Jak zatem wyglądało Wojsko Polskie w 1939 roku? Można na ten temat pisać długo i skomplikowanie, a jeden z autorów niniejszej pozycji popełnił nawet liczącą niemal 400 stron rozprawę *Armia marszałka Śmigłego*. Trzeba pamiętać, że wszystkie armie Europy były wówczas armiami konnymi, także polska i niemiecka. Formacje zmotoryzowane (stosunkowo rzadkie) w Wojsku Polskim stanowiły mniej niż 5 proc. całości, a w Wehrmachcie było ich dwa razy więcej. Armia opierała się zatem na transporcie konnym – właśnie od niego zależały możliwości bojowe wojska. I nic nie mogło zmienić faktu, że dwukonny zaprzęg mógł pociągnąć najwyżej około 500 kilogramów ładunku, a konie łatwo się męczyły.

„Śmigły” i jego generałowie mieli świadomość rozwoju techniki wojskowej i znaczenia nowych rodzajów broni, przede wszystkim czołgów i samolotów. Polskie siły pancerne były stosunkowo liczne i nowoczesne – dysponowały niemal tysiącem pancernych wozów bojowych, co dawało nam szóste miejsce na świecie (po Związku Sowieckim, Francji, Niemczech, Wielkiej Brytanii i Japonii, ale przed Włochami). Wprawdzie

często można się spotkać z zarzutem, że większość polskich czołgów stanowiły tankietki uzbrojone w karabiny maszynowe, ale tak samo wyglądała sytuacja u Niemców.

Polscy sztabowcy zdawali sobie jednak sprawę, że nasi sąsiedzi mają olbrzymią liczbę czołgów (chodziło zresztą przede wszystkim o Rosjan). Dlatego bardzo wcześnie, jeszcze pod koniec lat 20., rozwijano w Polsce obronę przeciwpancerną. Byliśmy jednym z pierwszych państw na świecie, które poświęciło temu zagadnieniu tak dużo uwagi – dlatego w 1939 roku obrona ta stała na bardzo wysokim poziomie. Pod względem nasycenia dywizji armatami przeciwpancernymi lepsi byli od nas tylko Niemcy i być może Francuzi. Istotniejsze jest jednak to, że Polacy opracowali kompleksowy system obrony opartej na działaniach lotnictwa, artylerii, zaporach minowych oraz indywidualnej broni żołnierza – karabinie przeciwpancernym wz. 35. Polski system został później skopiowany i jest używany do dziś.

Nowoczesna była także polska artyleria przeciwlotnicza. Tylko dywizje polskie i holenderskie posiadały armaty przeciwlotnicze, natomiast inni korzystali wyłącznie z karabinów maszynowych. Znacznie lepiej niż nasi sąsiedzi rozwinęliśmy także obronę miast przed bombardowaniami z powietrza – inna sprawa, że na siły Luftwaffe okazała się niedostateczna. Jednak nie można twierdzić, że nasi sztabowcy nie przykładali do tego tematu odpowiedniej wagi – Polska była drugim państwem po Wielkiej Brytanii, które wprowadziło do służby specjalne okręty przeciwlotnicze. W naszym przypadku były to jednostki przeznaczone do działań na wodach śródlądowych.

Problem stanowiło natomiast lotnictwo, mimo że polskie samoloty były nowoczesne, a większość naszych sąsiadów dysponowała maszynami słabszymi albo zakupionymi w Polsce. Przyjęto zresztą plan modernizacji lotnictwa, szczególnie myśliwskiego – miał się opierać na nowoczesnych krajowych konstrukcjach. Dokonywano oblotów prototypów, które niebawem planowano skierować do masowej produkcji. Niestety, zabrakło czasu, co fatalnie odbiło się na losach wojny w 1939 roku, szczególnie że niemieckie lotnictwo nie miało sobie równych na świecie. Na domiar złego na początku 1939 roku wprowadzono do użytku silnik Daimler-Benz DB-601, który na co najmniej trzy kolejne lata dał niemieckim samolotom przewagę nad każdym przeciwnikiem.

Warto natomiast pamiętać, że siły zbrojne Rumunii, biorąc u boku Niemiec w czerwcu 1941 roku udział w ataku na ZSRS, w 3/4 były wyposażone w samoloty polskie. Część z nich została zakupiona jeszcze przed wojną, ale połowa to były maszyny, na których polscy piloci ewakuowali się do Rumunii we wrześniu 1939 roku i musieli je pozostawić na tamtejszych lotniskach.

Kilka miesięcy przed wybuchem wojny miało miejsce jeszcze jedno wydarzenie, które gwałtownie zwiększyło niemiecki potencjał militarny. Wehrmacht przejął czeskie magazyny uzbrojenia wypełnione bronią ciężką i artylerią dla kilkudziesięciu dywizji. Czesi mogli nie mieć chęci do walki, ale produkowali niezły oręż. Dlatego podczas ataku na Polskę większość niemieckich czołgów uzbrojonych w armatę, a nie w karabin maszynowy, stanowiły właśnie czołgi czeskie. Być może gdyby nie kapitulacja Pragi przed Niemcami, wojna wybuchłaby znacznie później…

„Śmigłemu” zabrakło czasu. Gdy w 1935 roku objął schedę po marszałku Piłsudskim, właśnie rozpoczynano produkcję nowoczesnych typów uzbrojenia. W ciągu kilku lat miało zastąpić broń pamiętającą czasy I wojny światowej, a na przełomie lat 1938 i 1939 planowano formowanie nowych jednostek. Wysiłek „Śmigłego” i jego generałów polegał zatem przede wszystkim na rozbudowie ilościowej – zakładali, że zakończy się ona w roku 1942. Szacowano bowiem, że dopiero wówczas Niemcy i Sowieci zbudują armie mogące zagrozić Polsce i jej sojusznikom. Niestety, z powodu kapitulacji Czechów doszło do tego dużo wcześniej.

W 1939 roku Wojsko Polskie było względnie nowoczesne i nieźle wyposażone, stanowiło czwartą (!), ewentualnie piątą armię Europy (za Francją, Sowietami, Niemcami i na równi z Włochami). Jednak polskie siły zbrojne miały wielokrotnie mniejszy potencjał niż połączone armie Niemiec i Związku Sowieckiego, które dokonały inwazji na Polskę. O tym warto pamiętać.

Zdjęcie portretowe marszałka Śmigłego-Rydza

foto Narodowe Archiwum Cyfrowe

Prace na rzecz budowy kopca Piłsudskiego. Premier Walery Sławek i generał Edward Śmigły-Rydz, na dalszym planie minister Józef Beck, Kraków 1935 roku

foto Narodowe Archiwum Cyfrowe

Spotkanie ministra spraw zagranicznych Józefa Becka z generałem László Magasházym, Warszawa, październik 1930 roku

foto Narodowe Archiwum Cyfrowe

W odpowiedzi na zerwanie przez Niemcy paktu o nieagresji z Polską minister spraw zagranicznych Józef Beck wygłasza exposé w Sejmie, Warszawa, 5 maja 1939 roku

foto Narodowe Archiwum Cyfrowe

Minister Joachim von Ribbentrop w towarzystwie ministra spraw zagranicznych Polski Józefa Becka opuszcza dworzec w Warszawie. Widoczne flagi ze swastyką, którymi udekorowano dworzec, Warszawa, 25 stycznia 1939 roku

foto Narodowe Archiwum Cyfrowe

Rozdział 13

Prawda i mity o wrześniu 1939 roku

Pierwsze dni wojny

23 sierpnia 1939 roku w Moskwie podpisano niemiecko-radzieckie porozumienie będące w praktyce czwartym rozbiorem Polski. Dwaj potężni sąsiedzi uzgodnili podział stref wpływów na terenie środkowej Europy, Sowieci zobowiązali się do ataku na Polskę po rozpoczęciu wojny przez Niemcy. Informacje na ten temat dość szybko dotarły do Londynu i Paryża, oficjalnie jednak nie poinformowano o tym Polaków, uważając, że wiadomość ta spowoduje upadek ducha w Warszawie.

Tymczasem nad Wisłą szykowano się do wojny, „Śmigły” i jego podwładni podejmowali ostatnie decyzje. Rankiem 30 sierpnia marszałek wydał rozkaz o realizacji planu „Peking”, czyli odesłaniu Dywizjonu Kontrtorpedowców do Wielkiej Brytanii. Było to całkowicie logiczne posunięcie, gdyż uchroniło trzy cenne okręty (Burza, Błyskawica, Grom) przed zniszczeniem. Można mieć jedynie pretensję, że nie odesłano również czwartego niszczyciela (Wicher), na jego pozostawienie nalegał jednak dowódca polskiej floty, kontradmirał Józef Unrug.

Kolejna decyzja dotyczyła Korpusu Interwencyjnego. Związek ten miał za zadanie zająć Wolne Miasto Gdańsk, gdyby doszło tam do proniemieckiego puczu. „Śmigły” zdawał sobie jednak sprawę, że był to „absurd operacyjny, do którego jest zmuszony względami politycznymi”. Po wizycie Ribbentropa w Moskwie stało się oczywiste, że do żadnego puczu nie dojdzie, zatem 31 sierpnia Korpus został rozwiązany. Jego dowódcę wezwano do Warszawy, a dywizje przygotowano do odejścia w głąb kraju. 13 Dywizja Piechoty szczęśliwie dotarła do miejsca koncentracji, natomiast 27 Dywizja Piechoty pozostała na Pomorzu. Przez 24 godziny nie podlegała ani dowództwu Korpusu Interwencyjnego, ani

dowództwu armii „Pomorze”, niestety – zapomniano o niej również w Sztabie Głównym. Pierwszego dnia wojny dowódca armii „Pomorze” wysłał jej wprawdzie z odsieczą 9 Dywizję Piechoty, lecz działanie to przyniosło jedynie częściowe powodzenie.

Wojna z Niemcami, podobnie jak ewakuacja Kijowa, rozpoczęła się od wysadzania mostów. Przeprawy na Wiśle w Tczewie (szczególnie kolejowa) były niezmiernie ważne dla komunikacji wojskowej pomiędzy III Rzeszą a Prusami Wschodnimi. Dowództwo Wehrmachtu zaplanowało zatem operację sił specjalnych, Polacy natomiast przygotowali działania polegające na wtargnięciu na niemiecką stronę granicy i całkowitym zdemolowaniu przepraw. Polska operacja okazała się lepiej zaplanowana i skuteczniej przeprowadzona niż niemiecka – mosty zostały tak zniszczone, że ruch kolejowy przywrócono dopiero w 1940 roku.

Pierwszą wojenną decyzję o odwrocie marszałek „Śmigły” podjął już 2 września przed godziną 15. Zapadła podczas rozmowy juzowej z generałem Antonim Szyllingiem, dowódcą armii „Kraków”. Szylling uważał, że nie utrzyma swoich pozycji, ale gdy do Warszawy nadszedł szczegółowy meldunek operacyjny, uznano tam, że sytuacja nie jest aż tak zła, a generał jednak dysponuje siłami wystarczającymi do przezwyciężenia kryzysu. Tym bardziej że kolejna dywizja miała zostać przysłana z odwodu naczelnego dowództwa. Zgodę na wycofanie się anulowano, jednak podczas kolejnych rozmów juzowych Szylling zdołał przekonać „Śmigłego”, że odwrót jest konieczny. Ostateczną zgodę wydano przed północą 2 września, a te cztery rozmowy juzowe dały później podstawy do wielokrotnie powtarzanych oskarżeń pod adresem Wodza Naczelnego, że „nadzorował bitwy w szczegółach, którymi nie powinien był się zajmować”.

Niechęć Naczelnego Wodza do wyrażenia zgody na odwrót armii „Kraków” była w pełni uzasadniona, gdyż właśnie na niej opierała się cała strategia walk obronnych. Odwrót musiał być skoordynowany z manewrami innych armii, zatem do dzisiaj trwają rozważania, czy Szylling powinien odejść i ratować podległe mu oddziały, czy też trwać w miejscu aż do ich zniszczenia. Zapomina się jednak, że przedwczesny odwrót armii „Kraków” odsłaniał południowe skrzydło armii „Łódź”. „Śmigłemu” nie chodziło zatem o nowe polskie Termopile na Śląsku, lecz o wytrwanie jeszcze dwóch, trzech dni, co pozwoliłoby skoncentrować odwody, które obsadziłyby lukę pomiędzy armią „Kraków” a armią „Łódź”.

Rola odwodów przypadła południowemu zgrupowaniu armii „Prusy”, które miało związać walką niemiecki Korpus Pancerny. Wydaje się to mało realne, ale warto pamiętać, że do września 1939 roku nikomu nie udało się przeprowadzić żadnego udanego przełamania siłami pancernymi! Cztery dywizje i brygada kawalerii mające stanowić południowe zgrupowanie armii „Prusy” wydawały się zatem siłami wystarczającymi.

Tej samej nocy Wódz Naczelny wydał rozkazy odwrotowe dla armii „Pomorze” i „Poznań”, a rankiem 3 września – polecenie przyspieszenia koncentracji południowego zgrupowania armii „Prusy”. Przygotowano również plany na wypadek porażki: „Śmigły” nakazał formacjom tyłowym obronę linii Wisły, przygotowanie do wysadzenia mostów na rzece i wyznaczył generała Waleriana Czumę na stanowisko dowódcy obrony Warszawy. Naczelny Wódz zaplanował zatem, że armia „Łódź” wsparta armią „Prusy” zaczeka na armie „Poznań” oraz „Pomorze”, co pozwoliłoby na odwrót za Wisłę w zwartym ugrupowaniu.

Najtrudniejsze zadanie odwrotowe stanęło przed dowódcą armii „Pomorze”, generałem Władysławem Bortnowskim. Podstawowym zadaniem jego wojsk była osłona stolicy i Wielkopolski od północy oraz przeciwdziałanie połączeniu się sił niemieckich. Wojska Bortnowskiego stoczyły zatem dwie ciężkie bitwy po obu stronach Wisły, ale pomimo poniesionych strat i niemieckiej dywersji w Bydgoszczy generał zdołał wykonać zadanie. Następnie oderwał się od nieprzyjaciela, zreorganizował podległe jednostki i uzupełnił straty. Co jednak najważniejsze: skoncentrował całość swoich sił na południowym (zachodnim) brzegu Wisły i nawiązał bezpośredni kontakt z armią „Poznań”.

Armia „Poznań” dowodzona przez kolejnego weterana kijowskiego odwrotu, generała Tadeusza Kutrzebę, miała względnie łatwe zadanie. Wprawdzie znajdowała się w trudnej pozycji, ale nie była atakowana przez większe siły, a o jej bezpieczeństwie decydowała postawa sąsiednich armii.

Dalej na południu walczyła armia „Łódź”, której dowódca, generał Juliusz Rómmel, w 1920 roku doskonale sprawdził się przeciwko Armii Konnej Budionnego. Równie dobrze przeprowadził bitwę graniczną, zaskakując Niemców dalekim wysunięciem sił, a później sprawnie wycofał się na linię Warty. Na jego tyłach koncentrowało się natomiast północne zgrupowanie armii „Prusy” – uporczywa obrona była zatem istotna nie tylko ze względu na umożliwienie odwrotu armii „Poznań” i „Pomorze”, lecz także ze względu na przygotowywany kontratak.

Kolejne 48 godzin minęło w sztabie naczelnego dowództwa spokojnie. Wpłynęły na to również wiadomości, że 3 września Wielka Brytania oraz Francja wypowiedziały wojnę Niemcom. Był to duży sukces, świadczący o sensowności stoczenia bitwy granicznej.

Planowy odwrót

Jednak wieczorem 4 września do Warszawy napłynęły alarmujące wieści, że wbrew wcześniejszym uspokajającym meldunkom główne zgrupowanie armii „Modlin” zostało poprzedniej nocy poważnie poturbowane. Związkiem operacyjnym dowodził generał Emil Krukowicz-Przedrzymirski, który miał za zadanie obronę Warszawy przed niemiecką inwazją z Prus Wschodnich. Najeźdźców dzieliło od stolicy zaledwie 80 kilometrów, czyli maksimum trzy dni forsownego marszu. Dlatego po otrzymaniu tych groźnych informacji „Śmigły” zarządził, by na skrzydło maszerujących na stolicę Niemców uderzyła od wschodu Grupa Operacyjna „Wyszków”, a Samodzielna Grupa Operacyjna „Narew” przejęła jej dotychczasową rolę i utrzymała linię Narwi.

Tymczasem Niemcy nie zamierzali iść na Warszawę, tylko skręcili na wschód, by sforsować Narew. Trafili idealnie w lukę pomiędzy GO „Wyszków” a SGO „Narew”, zdezorganizowali obydwa związki i rozproszyli na kilka dni. Sytuacja stała się bardzo niebezpieczna, nie ograniczała się wyłącznie do zagrożenia Warszawy. Gdyby Niemcy przeszli Wisłę w okolicach Wyszogrodu i dotarli do Sochaczewa, odcięliby w ten sposób trzy polskie armie: „Pomorze”, „Poznań” i „Łódź”. W praktyce Wehrmacht zrealizowałby wówczas podstawowy cel kampanii: zniszczenie większości sił polskich. W tej sytuacji „Śmigły” przyspieszył odwrót zagrożonych armii, a ceną tego było odwołanie ataku armii „Poznań” mającej przyjść z pomocą armii „Łódź”.

W ten sposób Armia „Łódź” pozbawiona pomocy armii „Poznań” znalazła się w ciężkiej sytuacji – miało ją wspomóc północne zgrupowanie armii „Prusy”. Jej dowódca, kolejny weteran odwrotu kijowskiego, generał Stefan Dąb-Biernacki, przygotowywał się do zaatakowania Niemców w okolicach Piotrkowa. Nie wiedział jednak, że meldunki odbierane od armii „Łódź” były zbyt optymistyczne. Niemcy bowiem głęboko wbili się w polskie pozycje, a generał Rómmel zakładał, iż poradzi sobie samodzielnie i nie chciał przedwcześnie alarmować Naczelnego Wodza.

Przyniosło to fatalne skutki: na znajdujące się na pozycjach wyjściowych do natarcia dywizje armii „Prusy” spadło niemieckie uderzenie pancerne – i 6 września zostały one rozbite.

Dąb-Biernacki dowiedział się o grożącym niebezpieczeństwie w ostatniej chwili, usiłował powstrzymać atak swoich dywizji, a potem zatrzymać ucieczkę. Nie przyniosło to większych skutków poza ironicznymi komentarzami, że zamiast dowodzić armią, zajmował się ustawianiem pojedynczych karabinów maszynowych i dział przeciwpancernych. Co gorsza, generał zameldował o niewłaściwej postawie swoich żołnierzy, co spotkało się z opiniami, że szargał narodową świętość, czyli bohaterstwo polskiego żołnierza.

W tej sytuacji Naczelny Wódz nakazał odwrót północnego zgrupowania armii „Prusy” za Wisłę, by tam odbudować jego zdolność bojową. Następnie łączność urwała się. W podobny sposób utracono również kontakt z armią „Łódź”, do której zdołano jeszcze wysłać rozkaz odwrotu za Wisłę na południe od Warszawy. Przez Warszawę miały natomiast przejść armie „Poznań” i „Pomorze”, a „Śmigły” wydał rozkaz przebijania się w przypadku napotkania niemieckich oddziałów. Naczelny Wódz doskonale pamiętał walki odwrotowe z 1920 roku i korzystał z własnych doświadczeń sprzed lat. Zdawał sobie jednak sprawę, że plany zakładające odwrót czterech armii w zwartym ugrupowaniu legły w gruzach.

Warszawa była zagrożona, zatem „Śmigły” podjął jedyną logiczną decyzję, czyli przeniesienia stanowiska dowodzenia do Brześcia nad Bugiem. Naczelny Wódz oblężony w stolicy tracił zdolność dowodzenia, zatem oskarżenia marszałka o ucieczkę z Warszawy są – delikatnie mówiąc – pozbawione sensu. „Śmigły” wyjechał do Brześcia nocą z 6 na 7 września, jednak stanowisko dowodzenia nie było przygotowane i na blisko 48 godzin stracił bezpośrednią możliwość kierowania wojskami. Opuszczając stolicę, zabezpieczył się jednak na taką ewentualność – do czasu odzyskania łączności jego rolę miał przejąć szef sztabu Naczelnego Wodza, generał Wacław Stachiewicz, który pozostał w Warszawie.

Inna sprawa, że łączność nie była najmocniejszą stroną polskiej armii podczas tej wojny. Wprawdzie już marszałek Piłsudski mawiał, że „wojsko bez łączności to jak kurwa bez alfonsa”, jednak we wrześniu 1939 roku kontakt z jednostkami liniowymi wciąż mocno szwankował. O klęsce armii „Modlin” „Śmigły” dowiedział się z 24-godzinnym opóźnieniem, a z upływem czasu miało być jeszcze gorzej.

Podstawę systemu łączności stanowiły wspomniane już juzy. Telefony były podsłuchiwane, obawiano się także, że przeciwnik odbiera i rozszyfrowuje wiadomości radiowe. Aparaty Hughesa były najbezpieczniejsze, ale zapewniały precyzję wypowiedzi zbliżoną do dzisiejszych esemesów. Nie pozwalały na przekazanie wielu subtelności, dowódcy poszczególnych armii nie rozumieli intencji Naczelnego Wodza, a z kolei w sztabie „Śmigłego” nie rozumiano sugestii dowódców armii. Dlatego wiele razy podawano w wątpliwość rozkazy napływające ze sztabu „Śmigłego”, a przodowali w tym szczególnie: Tadeusz Kutrzeba i Kazimierz Sosnkowski. Czasami też wypełniano rozkazy zbyt dosłownie, co też nie było najlepszym rozwiązaniem. Przy okazji zdarzały się kuriozalne sytuacje, jak na przykład słynny rozkaz „Śmigłego” do Kutrzeby nadany drogą radiową, by „maszerował na obiad do Wierzbickiego”, czyli skierował podległe sobie oddziały na Radom. W tym mieście znajdowała się bowiem słynna restauracja prowadzona przez Stanisława Wierzbickiego, bardzo popularna w międzywojniu…

Brześć

8 września generał Wacław Stachiewicz zreorganizował dowodzenie w okolicach Warszawy: generał Tadeusz Kutrzeba miał dowodzić wspólną akcją armii „Poznań” i „Pomorze”. Natomiast Juliusz Rómmel miał połączyć dowodzenie armii „Łódź” i „Modlin”.

Rómmel znalazł się w Warszawie w efekcie zbombardowania jego sztabu w Łodzi, gdy został odcięty od własnych dywizji. Tylko połowa podległych mu związków taktycznych wykonała rozkaz odwrotowy i przeszła przez Wisłę na południe od stolicy. Natomiast trzy dywizje zostały zatrzymane przez generała Wiktora Thomméego (podwładnego Rómmla) jako „zmęczone, ale w dobrym stanie”, po czym generał odszedł z nimi na północ, by uniknąć niemieckiego uderzenia. Decyzję o zaniechaniu odwrotu zatwierdził z przymusu Stachiewicz, nakazując jednak pozostać w rejonie Sochaczewa, by zaczekać na nadchodzącą armię „Poznań”.

Rozkaz nie został jednak wykonany (podobno nie dotarł do adresata), a Thommée wraz ze swoimi wojskami po chaotycznych bojach przeszedł przez Puszczę Kampinoską do Modlina. Warto o tym pamiętać: generał nie wykonał rozkazów, co spowodowało poważne straty, ale przez wiele lat uchodził za bohatera. Nawet dzisiaj czasami można się spotkać z opinią, że

„objął dowodzenie armią po ucieczce generała Rómmla do Warszawy”. To jednak nie Rómmel uciekał do stolicy, tylko Thommée do Modlina. Zresztą jego postępowanie doprowadziło do oskarżeń o tchórzostwo (i dezercję) nie tylko Rómmla, lecz także generałów: Franciszka Dindorfa-Ankowicza, Władysława Bończę-Uzdowskiego oraz pułkownika Edwarda Dojana-Surówkę. Oni jednak tylko realizowali rozkaz Wodza Naczelnego odejścia za Wisłę.

Grupa Operacyjna Thommée go miała pozostać w okolicach Sochaczewa, ponieważ w Warszawie dostrzeżono możliwość ataku grupy armii generała Kutrzeby na skrzydło wojsk niemieckich idących na Warszawę. 8 września Stachiewicz wydał rozkaz o uderzeniu 11 września – i jeszcze tego samego dnia zatwierdził go „Śmigły”. Stachiewicz myślał jednak o ograniczonym ataku, po którym należało kontynuować odwrót, natomiast „Śmigły” snuł znacznie szerszy plan. Uderzenie Kutrzeby miało związać jak największe siły niemieckie, by ułatwić odwrót pozostałym związkom Wojska Polskiego w kierunku przedmościa rumuńskiego.

Był to obszar Małopolski wschodniej ograniczony od północy i zachodu rzekami Dniestr oraz Stryj, a od południa granicą państwową. Utrzymanie tego terenu stanowiło istotny element polskich planów wojennych – dzięki temu do Polski przez Rumunię i Węgry mogło docierać zaopatrzenie od aliantów zachodnich. Na przedmościu polskie dywizje miały doczekać ofensywy na zachodzie i z czasem przejść do kontrataku, rozpoczynając wyzwalanie kraju.

W tym celu wojskom stojącym nad Bugiem „Śmigły” wydał rozkaz opuszczenia linii rzeki i odejścia na południowy wschód. Oznaczało to w praktyce zgodę na utratę dywizji Kutrzeby i Bortnowskiego, a także – o czym w Brześciu nie wiedziano – dywizji Thommée go. Niestety, osobiste spotkanie Naczelnego Wodza i jego szefa sztabu, do którego doszło 9 września, doprowadziło do wycofania się marszałka z decyzji. Wybrał rozwiązanie połowiczne: GO „Wyszków” miała odchodzić nie na południowy wschód, lecz na południe, próbując ujść Niemcom i podtrzymać możliwość przejścia wojsk generała Kutrzeby za Wisłę. To nie mogło się udać, i faktycznie się nie udało. Trudno w tym miejscu nie zgodzić się z dawną opinią Piłsudskiego, że „Śmigły” do właściwego działania potrzebował ludzi realizujących jego zamierzenia, a w przypadku różnicy zdań często ustępował…

W Brześciu „Śmigły” pracował nad rozwiązaniem kompleksowym, które miało zapewnić bezpieczny odwrót większości sił na przedmoście rumuńskie. Niemcy coraz bardziej wdzierali się w głąb kraju, należało zatem uporządkować sytuację i zapewnić możliwość dalszego prowadzenia walki w oczekiwaniu na ofensywę na zachodzie. Z wojsk obsadzających linię Bugu oraz z reorganizującej się armii „Prusy” Dęba-Biernackiego stworzono Front Północny. Miał on odchodzić w kierunku południowo–wschodnim, a osłonę tego manewru powierzono nowo sformowanej armii „Lublin” dowodzonej przez generała Tadeusza Piskora (zwanej Frontem Środkowym). Natomiast z wojsk działających w Małopolsce – armii „Karpaty” oraz „Kraków” – zorganizowano Front Południowy, którego dowództwo objął generał Kazimierz Sosnkowski.

Najważniejszą kwestią było jednak sprawne przerzucenie wszystkich dostępnych sił (i środków) na obszar przedmościa rumuńskiego. Kierowano tam transporty kolejowe z uzbrojeniem i amunicją oraz pociągi z wojskiem z północnej i wschodniej Polski. Przez pierwsze 10 dni wojny szeroko rozumiany Front Południowy został wsparty przez „Śmigłego” pięcioma dywizjami i brygadą zmechanizowaną, a w kolejnych dniach zdołano wzmocnić obsadę Lwowa dwiema kolejnymi. Na południowy wschód kierowano także oddziały wojsk technicznych, całość lotnictwa oraz wszystkie formacje zapasowe.

Problemem stało się jednak postępowanie Sosnkowskiego, który – będąc dowódcą Frontu Południowego – całkowicie się pogubił. Zamiast koordynować działania powierzonych mu wojsk i rozbudowywać obronę wokół Lwowa, wsiadł w samolot i odleciał do armii „Małopolska”. W ten sposób stracił łączność nie tylko z podległymi mu oddziałami, lecz również z Naczelnym Wodzem – i zredukował się do roli dowódcy grupy operacyjnej. Odegrał ją zresztą bardzo źle: zamiast iść ze swoją armią i zamykać lukę pomiędzy Lwowem a Karpatami, postanowił zostać bohaterem i wbrew rozkazom ruszył na odsiecz Lwowa. Miało to przynieść fatalne następstwa, na razie skutkiem jego decyzji była utrata przez „Śmigłego” kontroli nad armią „Karpaty”.

Tymczasem do Brześcia nadchodziły kolejne wiadomości z frontu. Wyjaśnił się los południowego zgrupowania armii „Prusy”, mającego zamykać lukę pomiędzy armiami „Kraków” i „Łódź”. Nie zdołano tego jednak uczynić, a polskie dywizje zostały pobite w chaotycznej bitwie w okolicach Iłży. Wprawdzie większość sił zdołała przedostać się

z powrotem przez Wisłę, jednak Niemcy ogłosili „bitwę pod Radomiem” wspaniałym zwycięstwem. Z kolei przesadnie optymistyczne wiadomości przyszły znad Bugu: GO „Wyszków” udało się przerwać linie nieprzyjaciela, jednak w Brześciu nie wiedziano o bardzo dużych stratach tego zgrupowania. I wreszcie okazało się, że – wbrew rozkazom – grupa generała Thomméego odnalazła się w Modlinie.

Przedmoście rumuńskie

11 września podjęto decyzję o ewakuacji Naczelnego Dowództwa z Brześcia do Kołomyi. Na krótko zatrzymano się we Włodzimierzu Wołyńskim, by 15 września zainstalować się na Pokuciu. W tym czasie do „Śmigłego” dotarł meldunek, że na szosie Zamość-Hrubieszów pojawiły się niemieckie pojazdy zmotoryzowane. Oznaczało to przerwanie komunikacji pomiędzy armiami „Karpaty” oraz „Kraków” i postawiło pod znakiem zapytania plany wycofania się na wschód.

W tej sytuacji Naczelny Wódz zmienił rozkazy. Polecił utworzyć wspólne ugrupowanie z broniących linii Wisły armii „Lublin” i idącej w jej stronę armii „Kraków”. Ugrupowanie to miało porzucić obronę rzeki i odejść w stronę Tomaszowa Lubelskiego. Armia „Karpaty” otrzymała rozkaz odwrotu na południowy wschód, którego generał Sosnkowski jednak nie wykonał. Uznano również, że Dąb-Biernacki powinien przyspieszyć odwrót Frontu Północnego bez oczekiwania na dołączenie wojsk SGO „Narew”, tak by dojść do Hrubieszowa. Liczono na to, że SGO „Narew”, z której pozostały już tylko dwie brygady kawalerii, zdoła dotrzeć na Polesie. Jednocześnie zdecydowano, że północno-wschodnia Polska nie będzie broniona, a północna granica przedmościa rumuńskiego przebiegnie przez Błota Pińskie.

Kolejne dni przynosiły jednak coraz lepsze wiadomości. Przede wszystkim większość dowódców armii niemieckich zapragnęła zostać zdobywcami Warszawy – główne siły skierowali więc na stolicę, a nie do pościgu. Co więcej, bitwa nad Bzurą, którą zresztą generał Kutrzeba przedwcześnie przerwał, sprawiła, że także niemieckie naczelne dowództwo przestało zwracać uwagę na odchodzące na wschód polskie jednostki i skupiło całość sił do walki z Kutrzebą. Z perspektywy strategicznej bitwa nad Bzurą była zatem polskim sukcesem, gdyż pozwoliła zrealizować plan Naczelnego Wodza.

Jedyna niemiecka armia, która w trzecim tygodniu września mogła zagrozić polskim planom – 14 Armia generała Wilhelma Lista – działała całkowicie bezcelowo. Jedną dywizję wysłano na południe od Lwowa, drugą na Lwów, trzecią odesłano do Francji, a trzy kolejne do Tomaszowa Lubelskiego. List nie orientował się zresztą w znaczeniu przedmościa rumuńskiego i zachowując się jak dawny chan tatarski, swobodnie rozpuścił oddziały. Jeden z nich doszedł nawet do Brześcia i tryumfalnie ogłosił nawiązanie kontaktu z nadchodzącym z Prus Wschodnich Korpusem Pancernym generała Guderiana, a także zamknięcie okrążenia wokół polskiego Frontu Północnego. Informacja ta do dzisiaj pokutuje w wielu opracowaniach – mało kto jednak zauważa, że Dąb-Biernacki przeszedł ten niemiecki kordon, a później przez niego powrócił. I chyba nawet nie zorientował się, że rzekomo znalazł się w oblężeniu…

16 września wieczorem w naczelnym dowództwie w Kołomyi przeważały optymistyczne nastroje. Otwierano butelki z winem, gdyż uznano, że jest okazja do świętowania. Psuła się pogoda, która dotychczas była sprzymierzeńcem Niemców, Francuzi zapowiedzieli ofensywę. Armia „Karpaty” odnalazła się pod Lwowem, a niemiecka (właściwie austriacka) dywizja górska zagrażająca miastu trafiła pomiędzy pięć polskich dywizji. Pod Tomaszowem Lubelskim pojawił się Front Środkowy generała Tadeusza Piskora mający przed sobą tylko pojedyncze niemieckie bataliony. Pod Hrubieszowem był Front Północny generała Stefana Dęba-Biernackiego i nic nie mogło zatrzymać jego marszu na wschód, a później na południe. Za nim nadchodziła Grupa Operacyjna Kawalerii generała Władysława Andersa. Na Polesiu generał Franciszek Kleeberg zbierał wojska w SGO „Polesie”, dołączyły do niego również – uznane już za stracone – obie brygady kawalerii z SGO „Narew”.

Następny dzień miał jednak zmienić wszystko…

Rozdział 14

17 września 1939 roku

Sowiecka napaść

12 września podczas narady dowództwa wojsk sprzymierzonych z udziałem premierów Francji i Anglii zapadł wyrok na nasz kraj. Chociaż w Polsce trwały zajadłe walki, alianci zrezygnowali z ofensywy przeciwko Niemcom. W Paryżu i Londynie znano już ustalenia paktu Ribbentrop-Mołotow i w każdej chwili oczekiwano agresji Sowietów. To całkowicie zmieniało obraz sytuacji – zdawano sobie bowiem sprawę, że Polski nic już nie może uratować. Jednak o tej decyzji sprzymierzeni nie raczyli poinformować swojego sojusznika…

16 września 1939 roku, gdy w Kołomyi otwierano kolejne butelki wina, wszedł w życie sowiecko-japoński układ rozejmowy, który zakończył konflikt obu państw na pograniczu Mandżukuo i Mongolii. Stalin, który zawsze kierował się zasadą prowadzenia wojny tylko na jednym froncie, miał wreszcie wolne ręce i mógł uderzyć na Polskę. Przygotowania do ataku trwały już zresztą od pewnego czasu, na zachodniej granicy skoncentrowano znaczne siły, które czekały tylko na rozkaz do agresji.

Następnego dnia o godzinie 3 nad ranem polski ambasador w Moskwie otrzymał notę, w której stwierdzano, że wojna z Niemcami „ujawniła wewnętrzne bankructwo państwa polskiego”, „Warszawa przestała istnieć jako stolica”, a „rząd polski rozpadł się i nie przejawia żadnych oznak życia”. W tej sytuacji uznano, że „traktaty zawarte między ZSRS a Polską utraciły swą moc”, a władze sowieckie zadecydowały o „wzięciu pod obronę życia i mienia ludności zachodniej Ukrainy i zachodniej Białorusi”. Przy okazji zamierzano „podjąć wszelkie wysiłki, by uwolnić lud polski od nieszczęsnej wojny, w którą wpędzili go nierozsądni przywódcy, i dać mu możliwość egzystencji w warunkach pokojowych”.

Niemal równocześnie z doręczeniem noty (nieprzyjętej zresztą przez polskiego ambasadora) granicę przekroczyło ponad 600 tysięcy żołnierzy Armii Czerwonej. W tym czasie Naczelny Wódz ze swoim sztabem nadal przebywał w Kołomyi, a rząd i prezydent – w Kutach nad granicą rumuńską.

Meldunki o sowieckiej agresji wywołały konsternację wśród polskich dostojników. Podniosły się głosy, że to już nie wojna, lecz katastrofa na niespotykaną skalę. Dalsza walka była możliwa wyłącznie z terytorium zachodnich sojuszników i zapadła decyzja o opuszczeniu kraju.

„Widoczne było, że katastrofa jest nieunikniona – wspominał Józef Beck. – Na moje pytanie, czy marszałek Śmigły dysponuje jakimiś siłami w Małopolsce Wschodniej, aby powstrzymać napór wojsk sowieckich, otrzymałem odpowiedź, że poza KOP-em mogą się znaleźć tylko luźne bataliony marszowe, ale praktycznie opór jest beznadziejny”[1].

Przebywający w Kołomyi „Śmigły” o agresji dowiedział się niemal natychmiast, gdy dostał meldunek od placówki KOP w Czortkowie. Niezwłocznie też zwołał naradę podległego mu sztabu.

„Ani Naczelny Wódz – opisywał generał Stachiewicz – ani nikt z nas, oficerów sztabu, nie miał najmniejszych wątpliwości co do charakteru, w jakim Sowiety wkroczyły do Polski. Było dla nas jasne, że dostaliśmy podstępny cios w plecy, który przesądził ostatecznie o losach kampanii”[2].

„Śmigły” podjął decyzję o ewakuacji do Kosowa, miała ona jednak nastąpić dopiero w chwili bezpośredniego zagrożenia. Sztab opuścił Kołomyję po otrzymaniu informacji o przekroczeniu przez Sowietów Dniestru. Marszałek wyjechał następnie do Kut, gdzie spotkał się z Mościckim, Beckiem i Składkowskim. O godzinie 22 wydał rozkaz będący do dziś przedmiotem wielu kontrowersji.

Sprawa słynnego rozkazu

„Sowiety wkroczyły – oznajmiał marszałek swoim podwładnym. – Nakazuję ogólne wycofanie na Rumunię i Węgry najkrótszymi drogami. Z bolszewikami nie walczyć, chyba [że] w razie natarcia z ich strony albo próby rozbrojenia oddziałów. Zadania Warszawy i miast, które miały się bronić przed Niemcami – bez zmian. Miasta, do których podejdą bolszewicy, powinny z nimi pertraktować w sprawie wyjścia garnizonów do Węgier lub Rumunii”[3].

Z niewiadomych powodów do dzisiaj uznaje się, że „Śmigły” wydał polecenie kapitulacji wobec Sowietów, co nie ma nic wspólnego z prawdą historyczną. Rozkaz marszałka należy uznać za dyrektywę tłumaczącą zasady postępowania, a jego celem było uniknięcie niepotrzebnego przelewu krwi i zachowanie jak najwięcej sił dla prowadzenia dalszej wojny. „Śmigły” nie miał wątpliwości, że nie było już żadnych szans na utrzymanie się na przedmościu rumuńskim – pozostała tylko ewakuacja poza terytorium kraju oraz dołączenie do sojuszników. Był to przejaw realizmu politycznego i rozsądnej kalkulacji, bardzo zresztą odległej od typowo polskiego charakteru.

Polecenie walki do ostatniej kropli krwi nie miało żadnego uzasadnienia strategicznego czy politycznego, a zysk propagandowy nie równoważyłby strat. Martwi nie decydują o losach wojen, a polscy żołnierze powinni w jak największej liczbie pojawić się u boku sojuszników na Zachodzie, tylko wówczas Polska mogła uzyskać należną jej pozycję w koalicji antyhitlerowskiej. Natomiast wydanie na rzeź setek tysięcy żołnierzy nie miało dla marszałka sensu – było to sprzeczne nie tylko z logiką, lecz także polską racją stanu.

Inna sprawa, że podwładni „Śmigłego” różnie odebrali jego rozkaz. Niektórzy z oficerów – jak dowódca jednego z pułków Korpusu Ochrony Pogranicza, pułkownik Zdzisław Zajączkowski – podejrzewali nawet sowiecką prowokację.

„Nie mam żadnych rozkazów do poddania się wojskom Rosji sowieckiej – tłumaczył na odprawie. – To, co słyszę, że wyszedł jakiś rozkaz z Naczelnego Dowództwa Wojsk Polskich, aby nie walczyć z wojskami sowieckimi, to na pewno bolszewicka dywersja. Uważam Rosję sowiecką za takiego samego wroga jak Niemców (…)”[4].

Jeszcze większe kontrowersje wzbudza fakt, że po agresji Kremla nie wypowiedziano Sowietom wojny. Oskarżano o to „Śmigłego”, zapominając, że sprawy wojny i pokoju pozostawały w gestii parlamentu, rządu i prezydenta – „Śmigły” miał wojnę prowadzić, a nie ją wypowiadać. Przy okazji warto zauważyć, że cały problem jest kompletnie niezrozumiały i podnoszony wyłącznie w celu zdyskredytowania władz sanacyjnych. Zgodnie bowiem ze zwyczajami międzynarodowymi zaatakowany kraj nie miał obowiązku wypowiadać wojny agresorowi. Polska nie wypowiedziała wojny Niemcom 1 września i nikt nie uważał tego za błąd czy

niedopatrzenie. Dlaczego zatem miałaby wypowiadać wojnę Kremlowi? Byłoby to działanie pozbawione logiki, a nawet zwykłego rozsądku.

Nasz kraj padł ofiarą agresji zbrojnej, zatem znajdował się w stanie wojny z bolszewikami. Mało tego: wypowiedzenie wojny mogło dać Sowietom do ręki potężną broń propagandową. Bardzo prawdopodobne, że Moskwa zaczęłaby wówczas głosić, iż jej wojska chciały przyjść na pomoc Polsce walczącej z Niemcami i zostały zaatakowane przez Polaków. Ewentualnie, że Armia Czerwona (zgodnie z notą wręczoną polskiemu ambasadorowi) ruszyła z pomocą udręczonym wojną Ukraińcom, Białorusinom i Polakom, a w zamian spotkała ją czarna niewdzięczność. Znając metody działania kremlowskiej propagandy, byłby to bardzo prawdopodobny scenariusz.

Problem powstał znacznie później, gdy alianci zachodni oczekiwali rozpadu sojuszu Niemiec z ZSRS i ewentualnego wybuchu wojny pomiędzy nimi. Wówczas stan wojny pomiędzy Polską a Rosją skomplikowałby rozgrywki dyplomatyczne – dla polityków z Paryża i Londynu nie miało znaczenia, że miliony naszych obywateli znalazło się w granicach imperium sowieckiego. Dlatego rząd emigracyjny został dokładnie pouczony, by przypadkiem nie wypowiadał Sowietom wojny, a dla Sikorskiego najwygodniej było zrzucić całą winę na sanację ze „Śmigłym” na czele. W efekcie po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej powstało chyba najbardziej zadziwiające określenie ZSRS: „sojusznicy naszych sojuszników”. I wbrew logice nie oznaczało to wcale, że Sowieci są przyjaciółmi Polski…

Najważniejszy dylemat

Informacje o sowieckiej agresji coraz szerzej rozprzestrzeniały się po kraju, szczególnie zaś dbali o to Niemcy. Walczący dotychczas polscy żołnierze masowo porzucali broń i rozchodzili się do domów. Powszechnie uznawano, że wojna została przegrana i nie ma już o co walczyć, a tym bardziej ginąć. Z tego też powodu straciło impet polskie uderzenie pod Tomaszowem Lubelskim, rozsypała się obrona Gdyni, a pułkownik Stanisław Dąbek opuszczony przez własnych żołnierzy popełnił samobójstwo na Kępie Oksywskiej. Z kolei generałowi Sosnkowskiemu wyprowadzającemu podległe mu oddziały z niemieckiego okrążenia doręczono „odezwę niemiecką, zrzuconą przez samoloty krążące nad

Lwowem i jego okolicami”. Jej treść była jednoznaczna: wzywano Polaków do kapitulacji, gdyż „sprzymierzone armie sowieckie zbliżały się od wschodu pod mury miasta”. Po południu trwał jeszcze „skupiony ogień naszych ciężkich i lekkich haubic”, dzięki czemu Polakom udało „zniszczyć niemieckie pozycje, zagradzając drogę do Lwowa”. Niestety, wieczorem przy generale pozostało już tylko „tysiąc mniej więcej bagnetów”, a o północy jego wojska liczyły „niewiele więcej ponad 500 ludzi”. Kilka godzin później polscy dowódcy weszli do jakiegoś domostwa, by zastanowić się nad dalszym marszem, a gdy wyszli, okazało się, że „w miejscu, gdzie przed wejściem do chaty zostawili kolumnę, nikogo już nie było”. Gdy zapadał zmierzch, z wojsk generała Sosnkowskiego pozostały cztery osoby…[5].

Nie było wątpliwości, że prezydent i rząd powinni niezwłocznie opuścić kraj, wojska sowieckie zbliżały się bowiem do Kut. Problemy stwarzała natomiast osoba Naczelnego Wodza, w kraju trwały jeszcze walki i „Śmigły” wahał się z podjęciem decyzji. Dlatego w pierwszym odruchu odrzucił propozycję przekroczenia granicy:

„Z oszklonej werandy, na której oczekiwałem na przyjęcie – relacjonował pułkownik Józef Jaklicz – widziałem marszałka rozmawiającego z generałem Berbeckim. Zdawał się wydawać mu jakieś polecenia. W międzyczasie przyszedł do mnie generał Sławoj Składkowski, wzburzony, zaprosił mnie do jednego z pokojów i zawiadomił o decyzji marszałka pozostania w Polsce, celem dołączenia do batalionów w Stryju. Zaklinał mnie (dosłownie), abym odwiódł marszałka od tej decyzji. Wobec rozruchów ukraińskich, które wybuchły w Małopolsce Wschodniej w dniu dzisiejszym, w związku z wejściem Sowietów do Polski, uważał tę decyzję za szaleńczą (dosłownie). Jako minister spraw wewnętrznych i premier nie może dopuścić, aby marszałek zginął z rąk Ukraińców”[6].

Podobny sprzeciw napotkała propozycja przebijania się w kierunku walczącej w okolicach Lwowa grupy generała Sosnkowskiego (nie wiedziano, że właśnie przestawała istnieć). Marszałek rozważał również lot do oblężonej Warszawy, ale i z tego pomysłu zrezygnował pod wpływem sugestii otoczenia. Oblężone miasto musiało niebawem skapitulować, a niewola Naczelnego Wodza spowodowałaby fatalne efekty propagandowe. Miejsce „Śmigłego” było we Francji na czele odbudowanych sił zbrojnych, a nie w niemieckim obozie.

„Nie było dla mnie rzeczy łatwiejszej – tłumaczył później marszałek – jak znaleźć śmierć w drodze z Kosowa ku granicy. Nie było nic łatwiejszego, jak udać się do któregoś z najbliższych oddziałów czy też samolotem do oblężonej Warszawy. (…) lecz gdy odsunąłem na bok swoją osobę i gdy pomyślałem, kto będzie tę wojnę polską nadal prowadził i sprawy Polski bronił nie tylko wobec nieprzyjaciela, lecz i wobec Sprzymierzonych, postanowiłem nie ulec sentymentom osobistym, łatwym do wykonania, i prowadzić walkę nadal”[7].

Marszałek otrzymał już informacje, że „pewna grupa weszła w pertraktacje z niektórymi politycznymi i wojskowymi czynnikami francuskimi”, by poprzez „zrzeczenie się całego szeregu zobowiązań” zdobyć władzę i „przeprowadzić porachunki polityczne”. Oczywiście chodziło o grupę skupioną wokół generała Sikorskiego. Wprawdzie generał był dopiero w drodze do Francji, ale nie ukrywał swoich ambicji – poza tym był znacznie wygodniejszym partnerem dla Paryża niż politycy sanacyjni. Zwłaszcza że „Śmigły” dążyłby do zachowania niezależności odbudowanej polskiej armii i nigdy nie zgodziłby się, by nasi żołnierze byli traktowani jak francuskie wojska kolonialne i „sprowadzeni do roli Senegalczyków czy Anamitów”…

Inna sprawa, że „Śmigły” chyba nie do końca wykorzystał propagandowe możliwości ewakuacji. Zapomniał, że w obliczu porażki militarnej czasami ważniejsze są patetyczne gesty niż realne działania. Na przykład klęskę pod Waterloo osłodził Francuzom generał Cambronne swoim „gwardia umiera, ale nie poddaje się” (czy też słynnym „merde!”), a legendę Kamieńca Podolskiego ugruntowała przypadkowa śmierć Jerzego Michała Wołodyjowskiego. Być może marszałek powinien poczekać, aż zbliżą się Sowieci, i jako ostatni polski żołnierz opuścić teren kraju. Jednak Naczelny Wódz nie myślał wówczas o symbolach i trudno mieć do niego pretensje. Niestety, nie wziął także pod uwagę typowo polskich, porywczych odruchów niektórych jego podwładnych.

Stefan Soboniewski, kierujący ruchem uchodźców na granicznym moście z Rumunią, nie mógł uwierzyć, gdy w środku nocy zameldowano mu, że zbliża się kolumna samochodów „Śmigłego”.

„(…) – Czy pan oszalał – krzyknąłem na jakiegoś komisarza policji, który mnie o tym powiadomił. – Każę oddać pana pod sąd wojenny za sianie paniki. To się nie może zdarzyć. Hetman nigdy nie opuszcza swoich wojsk! Lecz to był rzeczywiście Śmigły”[8].

Z kolei pułkownik Ludwik Bociański uznał opuszczenie kraju przez Naczelnego Wodza za hańbę i na moście zatrzymał kolumnę „Śmigłego”. Znali się z marszałkiem od dawna, Bociański był powstańcem wielkopolskim, żołnierzem POW, uczestnikiem wojny z bolszewikami i komendantem szkoły podchorążych w Komorowie. Przez wiele lat pełnił urząd wojewody wileńskiego, przed wybuchem wojny – poznańskiego, a podczas kampanii wrześniowej mianowano go generalnym kwatermistrzem rządu. Teraz stanął przed samochodem „Śmigłego”, uniemożliwiając mu dalszą jazdę. Marszałek zapytał, o co chodzi, Bociański miał wówczas odpowiedzieć, że o honor wojska. Chwilę rozmawiali przyciszonymi głosami, następnie marszałek ręką odsunął pułkownika. Ten wyjął z kabury pistolet i strzelił sobie w pierś. Po chwilowej konsternacji Naczelny Wódz rozkazał wrzucić ciało na samochód i ruszać na granicę. Już w Rumunii okazało się, że Bociański żyje – kula przeszła obok serca. Następne pół roku spędził w szpitalach i nikomu poza najbliższą rodziną nie przekazał relacji o tym zdarzeniu[9].

Wspomnienia Bociańskiego potwierdza relacja podporucznika Józefa Borkowskiego dowodzącego w Kutach zwiadem konnym jednego z pułków. Borkowski obserwował, jak kolumna samochodów „Śmigłego” (kilka limuzyn i dwa samochody ciężarowe) została zatrzymana przez ludzi w mundurach. Pojazdy stały kilka minut, ale Borkowski nie słyszał, o czym rozmawiano. Zauważył jednak ożywioną gestykulację, a w pewnym momencie padły strzały. Uznał, że to obstawa marszałka „Śmigłego” strzela w powietrze, torując mu drogę. Po chwili jednak zobaczył wyraźnie, że żołnierze ładują na skrzynię samochodu ciężarowego dwa ciała (?), a za chwilę kolumna przekroczyła granicę[10].

Polski charakter nakazuje dowódcy walczyć do końca, a w przypadku klęski wskazana jest chwalebna śmierć na polu bitwy. „Śmigły” powinien zatem dołączyć do Henryka Pobożnego, Władysława Warneńczyka czy Stefana Żółkiewskiego. Zapominano jednak, że rolą Naczelnego Wodza jest troska o kraj i swoich podwładnych. Śmierć wprawdzie bywa wyjściem honorowym, ale nie rozwiązuje żadnych problemów. Poza tym dzieje Europy (a także naszego kraju) notowały już przypadki opuszczenia kraju przez Wodza Naczelnego na czele armii i nikt nie podnosił wówczas zarzutu zdrady. Po klęsce Napoleona w Rosji teren Księstwa Warszawskiego opuścił na czele podległych mu wojsk książę Józef Poniatowski, by dalej walczyć u boku Bonapartego. Z kolei w 1915 roku

armia serbska wraz ze swoimi dowódcami i Naczelnym Wodzem, księciem regentem Aleksandrem Karadziordziewiciem, wycofała się z rodzinnego kraju, by przez Albanię dotrzeć do Grecji. W całej Europie uznano to za najzupełniej naturalne – serbski wódz ratował w ten sposób podległe mu oddziały, na czele których trzy lata później powrócił do kraju. Rolą Naczelnego Wodza jest faktycznie walka do końca, ale także poza granicami kraju u boku sprzymierzeńców. „Śmigły” miał wszelkie prawo przypuszczać, że we Francji odbuduje armię, zwłaszcza że ustalenia z Rumunią zapewniały tranzyt naszych władz do Francji.

Niestety, nawet Bolesław Wieniawa-Długoszowski nie potrafił zrozumieć decyzji Naczelnego Wodza. Pełnił wówczas funkcję ambasadora w Rzymie i gdy dzień po wkroczeniu Sowietów usłyszał o wyjeździe „Śmigłego” z kraju, nie chciał w to uwierzyć. Gdy jednak włoski minister spraw zagranicznych Galeazzo Ciano potwierdził informację, Wieniawa rozpłakał się z upokorzenia. Nie mógł zrozumieć takiego postępowania, ale Długoszowski był przecież kawalerzystą, a – jak wiadomo – przedstawiciele tej nacji najpierw szarżują, a dopiero potem zaczynają myśleć i zadawać pytania…

Śmierć „Śmigłego” w Kutach nic by nie zmieniła w sytuacji Polaków, najwyżej powstałoby kilka wierszy, piosenek czy powieści. Natomiast żywy marszałek na czele odrodzonego polskiego wojska we Francji stanowiłby realną siłę dla walczącej koalicji. Ważne też było jego doświadczenie – wraz ze swoimi sztabowcami dysponował przecież ogromną wiedzą, która miałaby istotne znaczenie w dalszych fazach wojny. Ale los postanowił inaczej i dzięki temu w polskiej opinii utrwalił się obraz Naczelnego Wodza porzucającego walczących żołnierzy, zamiast zginąć u ich boku na polu bitwy. Tak jak w wierszu *Do generała* autorstwa Mariana Hemara:

Kiedy pan przejeżdżał granicę,
po raz wtóry tej nocy
kulawy staruszek
jenerał Sowiński
padł na Woli – broniąc Warszawy!
Gdy przed panem
na rumuńskim moście
strażnik szlaban szeroko otworzył,
po raz wtóry w tę noc

siwą głowę pod Cecorą
Żółkiewski położył![11]

Minister spraw zagranicznych Józef Beck w rozmowie z ambasadorem Edwardem Raczyńskim, Londyn, 2 kwietnia 1939 roku

foto Narodowe Archiwum Cyfrowe

Rozdział 15

Internowanie

Kolejny fałszywy sojusznik

Wprawdzie Warszawę i Bukareszt łączył pakt z 1921 roku o wzajemnej pomocy wojskowej w przypadku sowieckiej agresji, Rumunia zachowała jednak neutralność. Polscy politycy przekraczający granicę na Czeremoszu byli zresztą realistami i zdawali sobie sprawę, że Bukareszt nie dotrzyma warunków sojuszu. Dlatego Józef Beck w zamian za zwolnienie ze zobowiązań wynegocjował prawo tranzytu dla polskich władz. Okazało się jednak, że Rumuni nie zamierzali respektować także tej obietnicy.

Na władze z Bukaresztu naciskali Niemcy, żądania wysuwali również Sowieci. Rumuni szczególnie obawiali się Stalina, albowiem Kreml od lat zgłaszał pretensje terytorialne do Besarabii i północnej Bukowiny. Zresztą nie tylko Rosjanie i Niemcy byli zainteresowani wyeliminowaniem władz sanacyjnych. Do gry włączyli się też Francuzi chętnie widzący Polaków w roli sojuszników, ale pod innym kierownictwem. Politycy znad Sekwany woleli współpracować z ludźmi bardziej uległymi niż Mościcki, „Śmigły" czy Beck, nie mieli również ochoty tłumaczyć się z niedotrzymanych obietnic.

Pod błahym pozorem polskich dostojników internowano, prezydenta osadzono w Bicaz, rząd – w Slănic, a „Śmigłego" – w Craiovej. W tej sytuacji Mościcki odwołał marszałka ze stanowiska następcy prezydenta (nominację otrzymał w dniu wybuchu wojny), powołując na jego miejsce Bolesława Wieniawę-Długoszowskiego. Wobec internowania polskich władz następcą musiał zostać ktoś posiadający swobodę działania, a zatem jeden z ambasadorów II Rzeczypospolitej akredytowanych w stolicach europejskich.

Rumuni, internując „Śmigłego", znacznie ograniczyli jego świtę, tak że pozostało przy nim tylko kilkunastu oficerów. Marszałek przyjął to ze

spokojem, a do opuszczających go podwładnych wygłosił krótkie przemówienie:

„Żegnając się z wami, chcę wam powiedzieć, że jestem głęboko przekonany i wierzę w to niezłomnie, że znajdziemy się znów w wolnej Polsce i że wróg, który ją teraz okupuje, zostanie zniszczony”[1].

Po kilku dniach Rumuni zaostrzyli warunki internowania, przy „Śmigłym” pozostało już tylko dwóch oficerów i lekarz. Nie przeszkodziło to marszałkowi w wydaniu rozkazu utworzenia w okupowanym kraju nowej Polskiej Organizacji Wojskowej mającej prowadzić podziemną walkę z okupantami. Pierwsze decyzje zapadły jeszcze 16 września w Kołomyi, gdzie „Śmigły” wydał majorowi Edmundowi Galinatowi polecenie powrotu „do wnętrza kraju” i „przystąpienia do organizacji POW w jego imieniu”. Wówczas jednak nie dysponowano odpowiednim samolotem do wykonania misji, a następnego dnia przyszły informacje o sowieckiej agresji. Teraz „Śmigły” powrócił do tematu i wykorzystując fakt, że Warszawa wciąż broniła się przed Niemcami, zdecydował się tam wysłać właśnie Galinata. Przekazał mu polecenie w formie pisemnej (na kawałku jedwabiu), jednocześnie wydając rozkazy ustne. Były one znacznie ważniejsze niż krótka notatka, Galinat miał bowiem sprawować funkcję Naczelnego Wodza tylko do chwili, gdy odnajdzie najstarszego rangą oficera wywodzącego się z Legionów (a właściwie z Pierwszej Brygady), któremu miał przekazać dowództwo.

„Śmigły” do końca pozostał sobą, nawet w chwili klęski nie dopuszczał myśli, że konspiracją może kierować oficer spoza jego obozu politycznego. Wiedział jednak, że niemieckie zwycięstwa wywołają powszechną niechęć do sanacji, a w kraju nie zabraknie wyższych rangą wojskowych odcinających się od dotychczasowych władz. Uznał jednak, że decyduje szybkość działania i zamierzał zrobić wszystko, by sanacja kierowała konspiracją wojskową.

Galinat wypełnił misję – z rumuńskiego lotniska porwano prototyp polskiego lekkiego bombowca PZL P-46 „Sum”, na pokładzie którego dotarł do oblężonej Warszawy. Tam, zgodnie z poleceniem „Śmigłego”, generał Michał Karaszewicz-Tokarzewski przystąpił do tworzenia Służby Zwycięstwu Polski, która szybko stała się najważniejszą organizacją podziemną.

30 września podał się do dymisji internowany rząd Sławoja Składkowskiego, a dzień wcześniej Wieniawa-Długoszowski pod naciskiem

Francuzów zrezygnował ze stanowiska prezydenta RP. Nową głową państwa został Władysław Raczkiewicz, który powołał emigracyjny rząd pod wodzą generała Władysława Sikorskiego. Nowy premier nie ukrywał swoich ambicji i zamierzał połączyć stanowisko premiera z funkcją Naczelnego Wodza. „Śmigły" doskonale o tym wiedział, jednak „podzielał punkt widzenia generała Sikorskiego o potrzebie utworzenia we Francji polskiej armii". Tym bardziej że zdał już sobie sprawę, iż sojusznicy nigdy nie zaakceptują jego osoby jako głównodowodzącego polskich sił zbrojnych powstających u ich boku.

„Do Francji trzeba wysłać jak najwięcej oficerów – tłumaczył jednemu z podwładnych. – W tym przypadku rozstrzygającym momentem nie jest stosunek generała Sikorskiego do mnie, a interes Polski. (…) Wysłać oficerów jak najwięcej, ale i generałów trochę trzeba wysłać, aby mieć dowódców wielkich jednostek. (…) O ile nie będzie polskich generałów, Francuzi dadzą francuskich. A do tego nie wolno dopuścić"[2].

Marszałek był realistą – co innego próba zachowania władzy w okupowanym kraju, a co innego odtwarzanie polskich sił zbrojnych u boku sojuszników. Tam najwięcej do powiedzenia mieli politycy z Paryża i Londynu, którzy pokazali już Polakom miejsce w szeregu, nie zgadzając się na nominację Wieniawy na prezydenta. Nie można było pozwolić, by spory personalne zablokowały odbudowę Wojska Polskiego nad Sekwaną. „Śmigły" był nie tylko wojskowym, lecz także politykiem, a przede wszystkim patriotą.

W połowie października marszałka przeniesiono do Dragoslavele – zamieszkał w willi należącej niegdyś do regenta Rumunii, patriarchy Mirona. Towarzyszyło mu kilka osób, m.in. adiutant, lekarz, sekretarz. „Śmigłego" odcięto jednak od prasy, radia i telefonów, a posiadłości otoczonej zasiekami z drutu kolczastego pilnowali strażnicy.

27 października do „Śmigłego" przybył kurier od prezydenta Raczkiewicza, wręczając mu list zawierający prośbę, by zrezygnował ze stanowiska Naczelnego Wodza. Prezydent powoływał się na opinię emigracyjnego rządu, którego członkowie uważali, że „nie można było zwlekać z załatwieniem tej sprawy". Dlatego sugerował marszałkowi jak najszybsze podjęcie decyzji oraz przesłanie jej drogą telegraficzną.

Edward Śmigły-Rydz faktycznie podjął decyzję niezwłocznie i po niespełna godzinie wręczył kurierowi swoją rezygnację.

„Internowanie moje – pisał marszałek – czyni mnie bezbronnym i wszelkie winy można na mnie zwalać. Daleki jestem od chęci prowadzenia polemiki na temat opinii publicznej i jej żądań. (…) Nie chciałbym utrudniać Panu, Panie Prezydencie, sytuacji, dlatego załączam dokument. Proszę zrobić z nim, Panie Prezydencie, co Panu sumienie nakazuje”[3].

Dokumentem tym było złożenie funkcji Naczelnego Wodza i oddanie się do dyspozycji Raczkiewicza. 7 listopada 1939 roku urząd ten objął – wraz ze stanowiskiem Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych – generał Władysław Sikorski.

„Śmigły” zachowywał się zresztą lojalnie wobec nowego Naczelnego Wodza. Gdy przez przypadek trafił do niego raport od Karaszewicza-Tokarzewskiego z działalności konspiracyjnej Służby Zwycięstwu Polski (przez pomyłkę dostarczył go węgierski dyplomata użyty w roli kuriera), polecił odesłać go Sikorskiemu. Wszak teraz dawny rywal zajmował jego stanowisko i to właśnie on powinien być odbiorcą tych wiadomości. Nie wiedział jednak, że Sikorski wykorzysta pomyłkę do pozbycia się Tokarzewskiego pod zarzutem nielojalności i w miejsce jego organizacji powoła Związek Walki Zbrojnej ze Stefanem Grotem-Roweckim na czele…

Marta Thomas-Zaleska w akcji

Marszałek miał teraz dużo wolnego czasu, który wykorzystywał na malowanie. W liście do prezydentowej Mościckiej napisał:

„(…) każdy z nas szuka jakiegoś zajęcia, kwitnie nauka języków obcych. (…) Ja kupiłem farby, płótna i wziąłem się do malowania. Maluję po sześć godzin dziennie, chociaż deszcz, a nawet śnieg usiłuje mi przeszkodzić. Niestety, dni coraz krótsze”[4].

Adiutant marszałka, major Jerzy Krzeczkowski wspominał, że „Śmigły” „zaczął malować z prawdziwą pasją – szkice, akwarele, olejne obrazy. Powstaje pokaźny zbiór portretów i krajobrazów miejscowych”. Niestety, niewiele z tych prac zostało udostępnionych szerszej publiczności, część trafiła do Kanady, część do Libanu. Najbardziej znanym dziełem z tego okresu jest autoportret z lampą naftową.

Podczas internowania, po ponad 20 latach przerwy, Śmigły-Rydz ponownie zaczął pisać wiersze. Jeden z nich przeznaczony był dla Marty, za

którą bardzo tęsknił. Niepokoił się o jej los, martwił się brakiem wiadomości.

O Droga Moja, to już drugie święta,
które spędzamy z daleka od siebie.
Ja w dużym mieście darmo szukam w niebie
gwiazdy, co szopkę w Betlejem pamięta.
Lecz chociaż jestem sam wśród obcych murów,
z dala od Ciebie i od Polski z dala,
choć mi żadna gwiazda nie zapala
ani nie słyszę pieśni anielskich chórów.

To jednak kiedy pomyślę o Tobie,
to wiem przynajmniej, gdzie i w jaką stronę
myśl ma swe skrzydła skierować zmęczone,
by ucałować Twoje ręce obie.

Tyś zaś na próżno myśl trudzisz w noc ciemną
przez śnieżne góry i szumiące morza,
ponad przepaście i obce bezdroża,
by choć w przelocie spotkała się ze mną[5].

Klęska wrześniowa i polityka schodziły na plan dalszy w sytuacji, gdy „Śmigły” niepokoił się o los kobiety, z którą dzielił życie…

Tymczasem Marta potrafiła sama zadbać o siebie. Od 1938 roku przebywała we Francji – złośliwi twierdzili, że miała tam poprawić swój francuski (i maniery) w związku z przewidywanym na rok 1940 objęciem przez „Śmigłego” urzędu prezydenta RP. Zamieszkała w Monte Carlo w domu zakupionym na jej nazwisko (jako Marta Zaleska) z funduszy Oddziału II Sztabu Głównego. Otrzymywała również wynagrodzenie z wojskowej listy płac, prawdopodobnie za usługi wywiadowcze. Nie zachował się jednak żaden jej meldunek i możliwe, że był to wyłącznie sposób finansowania przez armię pobytu partnerki marszałka na Lazurowym Wybrzeżu.

Marta pojawiła się jednak w Warszawie na przełomie lat 1938 i 1939. Razem ze „Śmigłym” wzięła udział w balu noworocznym wydanym na Zamku przez prezydenta Mościckiego – właśnie z tej imprezy pochodzi ich ostatnie wspólne zdjęcie.

Ponownie przyjechała do stolicy tuż przed wybuchem wojny. Według raportu kapitana Gustawa Stachowicza (oficera ds. gospodarczych GISZ-u)

zarządziła ewakuację za granicę cennego wyposażenia domu „Śmigłego”. Relację tę potwierdza także w swych wspomnieniach Irena Krzywicka, która wprawdzie zarzucała to… Beckom, ale zapewne z upływem lat pani Irenie pamięć nie służyła. Beckowie nie wywieźli bowiem za granicę żadnego majątku.

„Patrząc przez okno – wspominała Krzywicka – widziałam też dość gorszące rzeczy. Zaraz na samym początku rząd ciężarówek przed willą Becka i żołnierzy wynoszących pościel, jakieś dywany, firanki. Odjeżdżały te ciężarówki załadowane, nie wiem dokąd i po co, widocznie w ślad za Beckami”[7].

Cała sytuacja zdecydowanie bardziej pasuje do Marty, tym bardziej że w pierwszych dniach wojny faktycznie przedzierała się na czele konwoju w kierunku rumuńskiej granicy: dwa samochody ciężarowe i kilka pojazdów osobowych, którymi – oprócz Marty – podróżowali jej rodzice, siostra, dwie pokojówki (polska i francuska), dwie kucharki, lokaj oraz żandarmi z ochrony rodziny marszałka. Prawdopodobnie wiozła prywatne archiwum partnera, a także meble ze służbowego mieszkania marszałka, szablę koronacyjną Augusta II otrzymaną w prezencie od wojska, kosztowną biżuterię oraz prace malarskie „Śmigłego”. Bez wątpienia część tych zbiorów można uznać za prywatny majątek Naczelnego Wodza i jego partnerki, ale większość była jednak własnością państwa.

Nie wiadomo, czy pomysł ratowania majątku był prywatną inicjatywą Marty, czy też wymyśliła to wspólnie ze „Śmigłym”. Na pewno jednak marszałek musiał o wszystkim wiedzieć, albowiem bez jego zgody eskapada nie mogłaby mieć miejsca. Jednak podwładni „Śmigłego” całą winą obciążali Zaleską, twierdząc, że całkowicie opętała partnera i to właśnie przez nią „Śmigłego” „opanowała żądza” posiadania. A może prawda leżała pośrodku – może marszałek uznał, że w tak niebezpiecznych i nieprzewidywalnych czasach należy zabezpieczyć partnerkę materialnie? Nawet jeżeli nie wszystko, co wywiozła, było jego prywatną własnością? Przecież w przypadku pomyślnego zakończenia wojny całość wyposażenia powróciłaby na swoje miejsce.

4 września konwój dotarł do leśniczówki (właściwie murowanego dworku myśliwskiego) w Ludwinowie koło Czemiernik na Lubelszczyźnie. Leśniczówka należała do hrabiego Karola Raczyńskiego. I właśnie tam po kilku dniach miało dojść do niewyjaśnionych do dziś wydarzeń.

„(…) w czasie kampanii wrześniowej – zeznawał kilka miesięcy później we Francji kapral Feliks Matkowski – mając przydział do Naczelnego Dowództwa, byłem przydzielony jako żandarm do pełnienia służby ochronnej przy pani marszałkowej Rydz-Śmigłej. W czasie pobytu w majątku hrabiego Raczyńskiego (…) zostały zakopane skrzynie, których zawartość nie jest mi znana. Podczas wykonywania tych czynności obecni byli: pan kapitan Stachowicz z GISZ-u, wachmistrz Ślusarczyk z Naczelnego Dowództwa, lokaj pani marszałkowej, Kamiński, oraz trzech żandarmów, których nazwisk nie pamiętam. Przy zakopaniu tych skrzyń byłem obecny”[7].

Podobno przeprowadzone kilka lat temu badania wykazały, że we wskazanych miejscach faktycznie ukryto kiedyś duże przedmioty, jednak skrytki zostały już dawno opróżnione. Kto i kiedy to zrobił – nie udało się ustalić.

Wiarygodność całej historii staje jednak pod znakiem zapytania, gdy weźmiemy pod uwagę fakt, że według relacji świadków w leśniczówce osobiście miał się pojawić „Śmigły”. Marszałek podobno przyleciał samolotem, by zobaczyć Martę, co wydaje się jednak całkowicie nieprawdopodobne. W chwili zakopywania skrzyń Naczelny Wódz przebywał już bowiem w Brześciu – wprawdzie niezbyt oddalonym od Ludwinowa, ale jego przylot w sytuacji całkowitej dominacji Luftwaffe w powietrzu byłby zupełnym szaleństwem. Ponadto wątpliwe, by „Śmigły” utrzymywał kontakt z partnerką, skoro w tym czasie nie miał nawet łączności z podwładnymi. Wprawdzie zapewne przed wyjazdem Marty ze stolicy ustalili trasę jej ewakuacji, ale określenie czasu dotarcia do Ludwinowa wydaje się niemożliwe. Wojna potoczyła się przecież zupełnie inaczej, niż przewidywali polscy sztabowcy, i Niemcy wcale nie potrzebowali miesiąca, by dotrzeć do linii Wisły.

Pewną informacją jest natomiast to, że konwój samochodowy Marty dotarł do granicy z Rumunią w nocy z 14 na 15 września 1939 roku. Przekroczono ją bez większych problemów, ale dalej już nie było tak łatwo. Ambasada francuska w Bukareszcie odmówiła Marcie wizy wjazdowej i na niewiele zdały się interwencje „Śmigłego”. To właśnie wówczas po raz jedyny – i zapewne ostatni – rozmawiał z terenu Rumunii z partnerką. Ostatecznie Marta dostała wizę angielską, ale biorąc pod uwagę, że trafiła jednak do Monte Carlo, dokument ten zapewniał jej prawdopodobnie tranzyt przez terytorium Francji.

Czas bezczynności

Gdy Marta na nowo instalowała się na Riwierze, a „Śmigły” zabijał nadmiar wolnego czasu malowaniem, polskie władze emigracyjne nie próżnowały. Rozpoczęło się prawdziwe polowanie na czarownice – powołano specjalną komisję do zbadania „ostatnich zdarzeń w Polsce i ustalenia ich przyczyn” (przewodniczącym był generał Józef Haller). Niebawem zresztą pojawiła się kolejna komisja, tym razem pod przewodnictwem profesora Stanisława Kota. Celem jej działania miało być przygotowanie materiałów do planowanego procesu liderów sanacji. Stanisław Mikołajczyk, wnosząc o jej powołanie, stwierdził, że „jest oczywistą rzeczą, że poza względami natury zewnętrznej winę za wypadki wrześniowe i tak szybką klęskę ponoszą wszystkie czynniki odpowiedzialne za rządzenie Polską”. I że właśnie wystąpiła konieczność „pociągnięcia do odpowiedzialności tych czynników”, by odbudowa Polski odbyła się bez „elementów, które nie potrafiły nic trwałego zbudować, a wiele zburzyć”. A to miało zaspokoić „słuszne pragnienie sprawiedliwości”.

Jednym z głównych winowajców klęski ogłoszono „Śmigłego” i już na początku stycznia 1940 roku jego osobą zajął się rząd Sikorskiego. Marszałek miał trafić pod sąd wojskowy, za „zaniedbania w służbie, których następstwem było nieprzygotowanie armii do ciążącego na niej zadania obrony kraju”. To jednak nie wszystko – „Śmigłego” obwiniano także o „nieprzygotowanie linii obronnych, które mogły stanowić skuteczną obronę przed najazdem kraju przez wroga”. Do tego doszło także „prowadzenie działań wojennych w sposób, który przyspieszył niepomyślny obrót operacji wojskowych”, a przede wszystkim „dezercja poza granice kraju w czasie toczących się działań wojennych”[8].

Do „Śmigłego” docierały te informacje, ale marszałek zachowywał spokój. Wciąż z pasją zajmował się malarstwem, spisywał też wspomnienia dotyczące walk we wrześniu, „utrwalając na piśmie wszystko to, co z tą całą tragedią było związane”. Nie protestował również, gdy ograniczono mu możliwość spacerów – teraz mógł spacerować pod eskortą tylko do miejscowości Rucăr. Być może wpływ na jego zachowanie miał fakt, że zaczynało szwankować mu zdrowie.

„Nie jest tak, jakbyśmy sobie tego życzyli – wspominał pułkownik Zygmunt Wenda – coś jest nie w porządku z kiszkami i co gorzej,

z woreczkiem żółciowym. Często ma bardzo ciężkie bóle i w nocy spać nie może. Kiedy namawiałem go, by rano trochę dłużej spał, nie chce się zgodzić, powiadając, że może się do tego późnego wstawania przyzwyczaić, co nie byłoby dobre i każe się o 8 – rano budzić”[9].

Do tego doszły jeszcze bóle ramienia i rąk oraz dolegliwości stawu biodrowego. Miejscowi lekarze nie potrafili udzielić mu pomocy. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że za problemami zdrowotnymi „Śmigłego” czaiła się bezczynność internowanego oficera i rozłąka z ukochaną kobietą. A dochodzące ze wszystkich stron informacje o powszechnym obwinianiu go za klęskę też nie pozostawały bez znaczenia…

Kierunek: Węgry

Trwały już jednak przygotowania do ucieczki, chociaż marszałek doskonale zdawał sobie sprawę, że nie ma czego szukać na zachodzie Europy. Emisariusze rządu Sikorskiego sugerowali ucieczkę w kierunku Jugosławii i wyjazd do Afryki Północnej lub na Cypr (bez żadnych osób towarzyszących). „Śmigły” jednak wiedział, że oznaczałoby to jego całkowitą izolację do końca wojny. A on zamierzał przecież powrócić do czynnej polityki.

W przygotowaniach do ucieczki największą rolę odegrali podpułkownik Romuald Najsarek i były wiceminister komunikacji Julian Piasecki. Ten drugi, posiadając paszport dyplomatyczny, krążył po Bałkanach, korzystając z bezpłatnych przejazdów kolejowych. Opierając się na autorytecie marszałka, stał się założycielem konspiracyjnego Obozu Polski Walczącej, zdobywającego coraz większe poparcie wśród Polaków przebywających na Węgrzech i w Rumunii.

Natomiast pułkownik Najsarek wykazywał się niezwykłą pomysłowością w utrzymywaniu kontaktu z Rydzem – odwiedzał marszałka w każdą niedzielę jako ministrant kapelana odprawiającego mszę dla Polaków przebywających w willi. Doskonale znając język rumuński, a do tego posiadając bałkańską urodę, bez problemu mógł uchodzić za miejscowego. „Śmigły” dysponował poważnymi środkami finansowymi (ok. 100 tys. dolarów i trzy kilogramy złotych monet) – dzięki temu zakupiono samochody osobowe i fałszywe dokumenty oraz opłacono przemytników mających przerzucić uciekinierów przez zieloną granicę.

Do ucieczki doszło 15 i 16 grudnia 1940 roku (willę opuszczono w dwóch grupach). Nieobecność internowanych została wykryta dopiero po dwóch dniach, gdy Polacy przekroczyli już granicę węgierską. Na pewno niezwykle pomocne w tej sytuacji było upojenie alkoholem dowódcy patrolu żandarmerii strzegącego willi, za co oficer ten został skazany na degradację i pięć lat więzienia.

Podjęte przez Rumunów działania poszukiwawcze nie przyniosły rezultatu. Nawet pozostawiony w willi major Krzeczkowski (którego rolą było wprowadzanie w błąd otoczenia) pomimo brutalnego śledztwa wyszedł cało z opresji. Przekazany Niemcom, zbiegł z transportu, docierając ostatecznie do Turcji. W ten sposób odpokutował za swoje przewiny wobec marszałka (podczas internowania korzystał dla własnego zysku z jego środków finansowych). Skuteczność polskiej akcji doceniło nawet gestapo – jego przedstawiciel obecny w śledztwie wyraził się, że „ten, kto wywiózł marszałka, dokonał wycyzelowanego majstersztyku".

Na Węgrzech „Śmigły" przebywał jako Stanisław Kwiatkowski, jednak problem stanowił wygląd marszałka – doskonale znany w całej Europie. Na domiar złego brawurowa ucieczka z internowania spowodowała wzrost zainteresowania jego osobą, prasa publikowała liczne zdjęcia. Wprawdzie podjęto działania mające na celu zmianę jego fizjonomii (okulary, wąsy przycięte na wzór angielski, dłuższe włosy z tyłu głowy), to jednak obawiano się zdemaskowania. W celu dezinformacji rozpuszczano zatem pogłoski o ucieczce „Śmigłego" do Jugosławii, a potem do Turcji. Zresztą w Stambule osobnik ucharakteryzowany na marszałka spacerował po głównych ulicach, nie zapominając oczywiście o najbliższej okolicy ambasady niemieckiej. Przy okazji pojawiały się również plotki o wyjeździe „Śmigłego" do Afryki Północnej. W efekcie nawet władze polskie w Londynie uznały, że po ucieczce wycofał się jednak z życia politycznego.

Tymczasem „Śmigły" jako Stanisław Rogowski wraz z kilkoma osobami przeniósł się nad Balaton. Poza sezonem turystycznym miejscowości wypoczynkowe były niemal całkowicie wyludnione. Oczekując na możliwość przerzutu do kraju, „Śmigły" zajmował się malowaniem w plenerze (głównie pejzaży), a w dżdżyste dni portretował ludzi ze swojego otoczenia. Chyba właśnie wówczas dokonał rozrachunku z przeszłością. Takie bowiem można odnieść wrażenie, czytając jego wiersze, które wówczas powstały.

Już minęły, skryły się w przeszłości
wszystkie zmory i wszystkie podłości,
i rozpacze, i samotne łkania
– cień ich tylko w tych wierszach zostanie.

Drżenie tych westchnień, co uleciały,
i walka myśli już przesilona,
wspomnienie rzeczy, których imiona
już zapomniane – i okres cały.

Życia na wieków dzikim zakręcie
odbity w gorzkim, chmurnym słowie,
bezsennych nocy twarde wezgłowie
i odszukanie drogi w zamęcie[10].

Czas powrotu

W tym czasie „Śmigły” ostatecznie związał się z Obozem Polski Walczącej. W zamiarach założycieli miała to być organizacja grupująca obóz piłsudczykowski (wzorowana na POW), konkurencyjna wobec ZWZ Grota-Roweckiego. Główną rolę odgrywał Julian Piasecki, który uznając prymat „Śmigłego”, realizował własne cele. Związany przed wojną z prawym skrzydłem obozu sanacyjnego (był wiceprezesem OZON-u), głównego wroga upatrywał w Związku Sowieckim, a kampania wrześniowa niewiele w tej kwestii zmieniła. Tym bardziej że w czerwcu 1941 roku wybuchła wojna niemiecko-sowiecka i dwaj zaborcy toczyli ze sobą wówczas bój na śmierć i życie. Czy jednak apologeci marszałka mają rację, zrzucając odpowiedzialność za bunt przeciwko Sikorskiemu i za ewentualne rozmowy z Niemcami na Piaseckiego? Przecież „Śmigły” nie miał złudzeń, jaki los go spotka, gdy wpadnie w ręce ludzi Sikorskiego…

Pobyt marszałka na Węgrzech obfituje w tajemnice, które wciąż budzą gwałtowne spory wśród historyków. Pojawiają się na przykład informacje, że Edward spotkał się w Budapeszcie z regentem Węgier Miklósem Horthym i prowadził z nim rozmowy na temat powołania nad Dunajem polskiego rządu kolaborującego z Niemcami. Nie brakuje też opinii, że uzyskał od władz niemieckich dyskretną zgodę na wyjazd do okupowanej Polski.

Z pobytem marszałka na Węgrzech wiąże się jeszcze jedna tajemnica – tym razem natury osobistej. Podobno z Francji przyjechała do niego Marta

i razem spędzili kilka tygodni. Widzieli się wówczas po raz ostatni.

Jeżeli wizyta partnerki naprawdę miała miejsce, można podejrzewać, że „Śmigły” faktycznie prowadził jakieś negocjacje z Węgrami. Marta nie mogłaby bez szwanku przejechać przez niemal całą okupowaną Europę, by spotkać się z Edwardem nad Balatonem. A tym bardziej – spokojnie spędzić z nim kilku tygodni.

25 października 1941 roku marszałek w towarzystwie jednego ze współpracowników opuścił pociągiem Budapeszt, kierując się ku granicy ze Słowacją. Ich przewodnikiem był młody góral z Chochołowa – Stanisław Frączysty. Ten kurier Związku Walki Zbrojnej uważał, że jego misja ma na celu zasilenie organizacji sanacyjnymi prominentami.

Podróżni dojechali do Rożnowej – i tam przekroczyli zieloną granicę. Po słowackiej stronie czekał już na nich wynajęty samochód, którym ruszyli w stronę Polski. Granicę pomiędzy Słowacją a Generalną Gubernią przekroczyli nocą, docierając do Chochołowa. Biorąc pod uwagę porę roku i wiek marszałka (55 lat), było to niemałe osiągnięcie.

Sojusz niemiecko–sowiecki w praktyce. Spotkanie oficerów obu armii atakujących Polskę

foto Narodowe Archiwum Cyfrowe

DZIENNIK CHICAGOSKI

POLSKA WALCZY DALEJ

General Szanbowski Stanął Na Czele Głównej Armii

Dwie Kolumny Niemieckie Zostały Rozbite Pod Lwowem

Informacje o przebiegu walk w Polsce w „Dzienniku Chicagowskim”, 19 września 1939 roku

foto Archiwum

Przedruk znaczka pocztowego z marszałkiem Śmigłym–Rydzem w Generalnej Guberni. Znaczki wycofano z obiegu 30 listopada 1941 roku

foto Narodowe Archiwum Cyfrowe

Rozdział 16

Ostatnie (?) dni „Śmigłego”

Francuska tragedia

Podczas kilkunastu miesięcy, które „Śmigły” spędził w odosobnieniu, sytuacja polityczna w Europie uległa całkowitej zmianie. Na początku kwietnia 1940 roku Niemcy zaatakowali Danię i Norwegię – i bez większych problemów podbili oba kraje. Losy wojny na Zachodzie rozstrzygnęły się jednak na froncie francuskim.

Niemiecka ofensywa pierwotnie miała się rozpocząć jesienią 1939 roku, jednak Polacy stawili bardziej zajadły opór, niż przypuszczano. Znacznie wydłużyło to czas kampanii, a poniesione straty okazały się wyższe od zakładanych. W tej sytuacji Hitler przeniósł plany na wiosnę, ostatecznie dziwna wojna [charakteryzowała się biernością i ograniczeniem działań wojennych do demonstracji sił – red.] na froncie zachodnim zakończyła się 10 maja 1940 roku. Pancerne zagony Wehrmachtu pogwałciły neutralność: Belgii, Holandii i Luksemburga, niemiecki blitzkrieg rozwijał się w zastraszającym tempie. Luksemburg skapitulował pierwszego dnia, Holandia po czterech, tydzień później padła Bruksela. Brytyjski Korpus Ekspedycyjny został zepchnięty w kierunku kanału La Manche i kilkanaście dni później zapadła decyzja o jego ewakuacji. Dwa dni potem skapitulowała armia belgijska.

Francuzi nie przejawiali większej ochoty do walki i cofali się na całym froncie. 10 czerwca wojnę wypowiedziały im Włochy, a cztery dni później Niemcy wkroczyli do niebronionego Paryża. 22 czerwca władze francuskie podpisały separatystyczny rozejm z Niemcami, chociaż zabraniały im tego sojusznicze układy zawarte z Wielką Brytanią i Polską.

Kraj został podzielony na dwie części. Na południu powstało zależne od Niemiec państwo ze stolicą w Vichy, natomiast 2/3 kraju wraz z Paryżem

i wybrzeżem atlantyckim trafiło pod niemiecką okupację. Wojna lądowa na zachodzie Europy dobiegła końca, Hitler znalazł się u szczytu powodzenia.

Klęska Francji umożliwiła inne spojrzenie na kampanię wrześniową. Nagle okazało się, że Polacy wcale nie przegrali tak łatwo, gdyż walczyli z Niemcami aż do chwili, gdy do wojny włączyli się Sowieci, a nawet dłużej. Stawiali Wehrmachtowi znacznie bardziej zacięty opór niż francuska armia uważana za najlepszą w Europie, którą dodatkowo wspomagał kilkusettysięczny Brytyjski Korpus Ekspedycyjny.

We Francję wierzył niezachwianie generał Sikorski, którego zachowanie w tych dniach zasługiwało na sąd polowy. Nad Sekwaną powtórzyła się katastrofa z września 1939 roku w znacznie gorszym wydaniu – w ciągu kilku tygodni ekipa Sikorskiego doprowadziła do niemal całkowitej zagłady odbudowanych polskich sił zbrojnych.

Nowy Naczelny Wódz nie mógł bowiem uwierzyć w to, czego był świadkiem, i na dwa dni przed upadkiem Paryża twierdził, że sytuacja na froncie „jest dobra i będzie lepsza”. Podobnie jak większość francuskiej generalicji nie potrafił zrozumieć, dlaczego Niemcy atakują za pomocą potężnych zgrupowań pancernych, a Luftwaffe zdobyła panowanie w powietrzu. Nikt nie wyciągnął wniosków z wojny w Polsce – inna sprawa, że człowiek, który mógłby udzielić na ten temat najlepszych informacji, przebywał na internowaniu w Rumunii i nikt nie chciał z nim rozmawiać.

Zresztą Sikorski nie dorównywał „Śmigłemu” pod żadnym względem. W decydujących dniach kampanii francuskiej zniknął na osiem dni (!); oficjalnie przebywał „gdzieś na froncie”, a w rzeczywistości tracił czas we francuskim Sztabie Generalnym. Ujawnił się dopiero trzy dni po upadku Paryża (!), zarządzając ewakuację rządu, którego był premierem. Sam miał pozostać we Francji, by nadal dowodzić polskimi siłami zbrojnymi, ale wbrew obietnicom odleciał do Wielkiej Brytanii angielskim hydroplanem, by po dwóch dniach powrócić na kilka godzin. Wtedy też ostatecznie opuścił Francję, pozostawiając polskich żołnierzy swojemu losowi.

„(…) z takim patosem potępiał marszałka – ironizował w rumuńskim Dragoslavele pułkownik Wenda – i mówił, że powinien był zginąć, a oto w takiej samej sytuacji, czy podobnej, tak się salwował ucieczką i to samolotem do Anglii! Pomyśleć, że ocalał i to cudownie! Ciekawe, jak im teraz musi być łyso. Co też oni znajdą na swoją obronę?”[1].

Tymczasem żołnierz polski jak zwykle bił się do końca, najczęściej w otoczeniu kapitulujących Francuzów. Sikorski miał zresztą ambicje walki o honor, co przyniosło tragiczne efekty. Bezmyślnie zaprzepaszczano w Bretanii Samodzielną Brygadę Strzelców Podhalańskich – jednostka wylądowała we Francji, gdy klęska sojusznika była już przesądzona.

Polacy nie zamierzali jednak poddawać się Niemcom, dla nich wojna jeszcze się nie skończyła. Tysiące polskich żołnierzy z rozbitych oddziałów przedzierało się do zbawczych portów na południu Francji. Ci, którym hitlerowcy zamknęli drogę, kierowali się na Szwajcarię i Hiszpanię. Cel był jeden: przedostać się do Wielkiej Brytanii.

O poziomie orientacji Naczelnego Wodza w sytuacji na froncie świadczy fakt, że wydawał rozkazy dla dwóch polskich dywizji, przemawiając przed mikrofonami radia BBC w Londynie! Coś podobnego nie miało możliwości wydarzyć się we wrześniu 1939 roku.

Resztki polskich oddziałów (około 20 tysięcy ludzi) wywieziono na jednostkach angielskich, uratowano natomiast niemal wszystkich polskich lotników. I niebawem mieli się okazać bardzo przydatni.

Swastyka nad Europą

Podbój zachodniej Europy nie był jedynym sukcesem Hitlera w tym czasie, latem 1940 roku podporządkował sobie także Węgry i Rumunię. Były to ważne terytoria ze względów strategicznych, ponadto Rumunia posiadała bogate złoża ropy naftowej.

Nie próżnował również Stalin. Zgodnie z paktem Ribbentrop-Mołotow zaatakował Finlandię – wprawdzie Armia Czerwona w trakcie kompromitującej kampanii poniosła ciężkie straty, jednak ostatecznie opanowała Przesmyk Karelski. Następnie przyszedł czas na republiki bałtyckie – w czerwcu 1940 roku Sowieci zajęli Litwę, Łotwę i Estonię. W tym samym czasie oderwano od Rumunii Besarabię i północną Bukowinę. Europa znalazła się pod całkowitą dominacją niemiecko-sowiecką, jedynym wrogiem nowo powstałego układu politycznego pozostawała osamotniona Wielka Brytania.

Gdy „Śmigły” przebywał już na Węgrzech, w kwietniu 1941 roku hitlerowcy podbili Jugosławię i Grecję. Ich zwierzchnictwo uznała także Bułgaria, co oznaczało całkowite przejęcie przez Niemców kontroli nad Bałkanami. Wreszcie stało się to, co musiało się wydarzyć: Hitler i Stalin

rzucili się na siebie. 22 czerwca ruszyła niemiecka ofensywa na Związek Sowiecki, a po stronie Niemiec walczyły także dywizje węgierskie, rumuńskie i fińskie. Z czasem na froncie wschodnim pojawiły się także oddziały chorwackie i włoskie oraz ochotnicy z Hiszpanii.

W pierwszych miesiącach kampanii Sowieci ponosili straszliwe klęski, stracili około 5,5 miliona (!) żołnierzy: zabitych, wziętych do niewoli, rannych. Przepadł niemal cały sprzęt wojskowy rozbitych oddziałów, a Luftwaffe zdobyła panowanie w powietrzu. Znaczna część sowieckich samolotów została zresztą zniszczona już w pierwszych dniach wojny, a pojedynki z niewyszkolonymi pilotami Stalina lotnicy niemieccy nazywali dzieciobójstwem.

Niemal cała Europa znalazła się pod władzą Hitlera. Niemcy opanowali republiki bałtyckie i podeszli pod Leningrad, na Białorusi padł Smoleńsk, natomiast na południu Niemcy zdobyli Kijów i zajęli znaczną część Ukrainy. Armie Wehrmachtu podchodziły pod Moskwę, na początku października rozpoczęła się bitwa o miasto, a los sowieckiej stolicy wydawał się przesądzony.

Tak wyglądała sytuacja polityczna w Europie, gdy 29 października marszałek Edward Śmigły-Rydz przyjechał do Warszawy. Opuszczał ją dwa lata wcześniej jako Naczelny Wódz i następca prezydenta Mościckiego, a teraz dotarł do stolicy z fałszywą tożsamością.

Polityka rozsądku

Wprawdzie nikt wówczas nie posiadał wiedzy, jaką dysponujemy obecnie, i nie zdawał sobie sprawy z rozmiaru sowieckich strat, ale ciągły odwrót Armii Czerwonej wskazywał, że Niemcy zdominują Europę na długie lata. Osamotniona Wielka Brytania mogła najwyżej się tylko bronić, a Stany Zjednoczone zachowywały neutralność. Nie tylko w Europie, lecz także na całym świecie nie było siły, która mogłaby przeciwstawić się Hitlerowi. Należało też jakoś zareagować na sytuację narodu polskiego, który teraz niemal w całości znalazł się pod panowaniem Niemiec. Tym bardziej że hitlerowska okupacja nie przybrała jeszcze swoich najstraszliwszych form znanych z późniejszego okresu. Wprawdzie brutalnie wysiedlano Polaków z terenów włączonych do Rzeszy, wymordowano ponad setkę przypadkowych mieszkańców Wawra, odbywały się egzekucje w Palmirach, ale wciąż nie był to czas publicznych łapanek i planowej

eksterminacji. Okupacja niemiecka wydawała się zresztą znacznie mniej krwawa niż sowieckie wywózki do łagrów i katownie NKWD. Ponadto polskie elity pamiętały o współpracy z Niemcami w czasach I wojny światowej, zwracano też uwagę na wyższość cywilizacyjną zachodnich okupantów nad Sowietami. Zresztą wiele hitlerowskich zbrodni składano na karb wojny, ewentualnie prywatnej inicjatywy lokalnych władz niemieckich.

Nie bez przyczyny zaraz po klęsce Francji część członków polskiej Rady Narodowej (namiastka emigracyjnego parlamentu) przygotowała tak zwany memoriał lizboński. Była to pierwsza poważna próba naszych polityków podjęcia współpracy z hitlerowcami, memoriał adresowano do władz w Berlinie. Podpisali się pod nim wybitni przedstawiciele polskich elit politycznych znani z niechętnej postawy wobec Sikorskiego: Stanisław Cat-Mackiewicz, Tadeusz Bielecki, Ignacy Matuszewski, Emeryk Hutten-Czapski, Jerzy Zdziechowski. Poparcie wyrażał również przebywający w tym czasie w Portugalii dawny zastępca Józefa Becka, Jan Szembek.

Twórcy memoriału apelowali do władz III Rzeszy o nawiązanie rozmów z Polakami w celu ułożenia wzajemnych stosunków. Miało to przynieść pozytywne skutki dla obu narodów, a podłoże porozumienia stanowiłaby wspólna niechęć do Sowietów. Wszyscy w Europie zdawali sobie bowiem sprawę, że przymierze Hitler-Stalin ma charakter przejściowy.

„Byłoby dobrą rzeczą dla Polski – tłumaczył Jan Szembek – gdyby udało się w tej sytuacji znaleźć jakieś *modus vivendi* z Niemcami. Pewna forma państwa polskiego, nawet w ograniczonych ramach terytorialnych i prawnych (protektorat), mogłaby powstać. (…) Wielu znanych Polaków myśli podobnie jak ja”[2].

Choć Berlin nie udzielił odpowiedzi na memoriał, jednak uważano, że czas pracuje na rzecz Polaków. Wehrmacht ponosił na wschodzie straty (wprawdzie kilkanaście razy mniejsze niż Armia Czerwona, ale jednak), dodatkowo Niemcy chcieli utrzymać porządek na tyłach. Część polskich elit nie wykluczała sojuszu przeciwko Sowietom, a polski żołnierz niedawno udowodnił swoją wartość. Wprawdzie dwa lata wcześniej Polacy i Niemcy toczyli ze sobą krwawą wojnę, jednak świat widział znacznie bardziej egzotyczne zmiany sojuszy.

Nie ma jednak żadnych niepodważalnych dowodów, że marszałek Edward Śmigły-Rydz, przyjeżdżając do Warszawy, planował współpracę z Niemcami. Wydaje się to zresztą zupełnie nieprawdopodobne – gdyby

chciał podjąć rozmowy z hitlerowcami, mógłby to przecież zrobić, przebywając nad Balatonem. Nie ryzykowałby przypadkowego aresztowania, a – jak powszechnie wiadomo – pobyt w więzieniu przeciwnika raczej osłabia pozycję negocjacyjną. Być może faktycznie jakieś wstępne rozmowy za pośrednictwem Węgrów toczyły się nad Balatonem, ale raczej na pewno nie przyniosły większych efektów. Niezbite jest natomiast to, że przyjeżdżając do Warszawy, marszałek planował odbudowę Polskiej Organizacji Wojskowej na wzór tej sprzed ponad 20 lat. I zamierzał podporządkować jej polskie podziemie wraz ze Związkiem Walki Zbrojnej Grota-Roweckiego na czele.

Inna sprawa, że sytuacja w Europie rozwijała się dynamicznie. Gdy „Śmigły” planował powrót do Polski, obaj okupanci Polski dopiero zaczynali ze sobą decydującą walkę. Gdy natomiast dotarł do Warszawy, wojna i losy Europy wydawały się rozstrzygnięte. Marszałek zawsze potrafił dostosować plany do zmieniającej się sytuacji. Czy tym razem też tak miało być?

Wkrótce po „Śmigłym” z Węgier do Warszawy przedarło się kilkudziesięciu oficerów wiernych byłemu Naczelnemu Wodzowi, nazywanych ironicznie drugą kompanią kadrową. Mieli stanowić dla „Śmigłego” oparcie w stolicy i wzmocnić jego pozycję. Marszałek nie zamierzał bowiem „odkupić swoich win” i walczyć jako prosty żołnierz konspiracji, jak głosi jedna z legend narodowych. „Śmigły” do żadnych win się nie poczuwał (całkiem zresztą słusznie), gdyż nie miał nic na sumieniu. Jako najwyższy stopniem polski oficer i najbardziej doświadczony przywódca konspiracji zamierzał stanąć na czele masowej organizacji podziemnej. Taka była prawda, którą skrzętnie przez dziesiątki lat skrywano przed opinią publiczną.

Pytania bez odpowiedzi, część pierwsza

W drodze do stolicy „Śmigły” spotkał się w Krakowie ze Stefanem Witkowskim (ps. „Kapitan”, „Inżynier”), szefem Muszkieterów. Ta doskonale zakonspirowana organizacja specjalizowała się w wywiadzie na rzecz władz polskich i brytyjskich, a pomimo oficjalnego scalenia ze Związkiem Walki Zbrojnej zachowywała dużą niezależność. Witkowski osobiście nie znosił Grota-Roweckiego (z wzajemnością), miał własne

ambicje, a obowiązkiem jego podwładnych było zapewnienie ochrony marszałkowi podczas jego pobytu w Warszawie.

„Śmigły” początkowo zatrzymał się u brata pułkownika Wendy przy ulicy Puławskiej, a następnie przeniósł się do tymczasowej kwatery przy Marszałkowskiej 53. W pierwszych dniach pobytu spotkał się też z pułkownikiem Augustem Emilem Fieldorfem, byłym legionistą i bohaterem spod Dyneburga.

Fieldorf pełnił w tym czasie funkcję inspektora Komendy Głównej Związku Walki Zbrojnej. Można podejrzewać, że spotkanie miało charakter sondażowy – marszałek próbował się zorientować w nastrojach panujących w ZWZ. Nie wiadomo, jak długo panowie wówczas rozmawiali, ale Fieldorf zameldował o wszystkim „Grotowi”. Szef ZWZ przyjął temat do wiadomości i zalecił podwładnym, by nie utrzymywali ze „Śmigłym” kontaktów.

Tymczasem marszałek zmienił miejsce zamieszkania – przeniósł się na ulicę Sandomierską do wdowy po generale Władysławie Maxymowiczu-Raczyńskim. Pani Jadwiga nigdy nie zapomniała pierwszego spotkania ze „Śmigłym” i była „wstrząśnięta zmianą na jego twarzy”, która wydawała się „twarzą starego człowieka, który cierpiał, który przeżył jakiś potworny cios”.

Warto przy okazji zwrócić uwagę na pewien dziwny fakt. Wdowa po generale mieszkała w kamienicy przy Sandomierskiej 18, położonej w bezpośredniej bliskości niemieckich koszar. Już na początku okupacji hitlerowcy oczyścili budynek z Polaków, zasiedlając go folksdojczami i Niemcami. Tylko w jednym lokalu pozostała przedwojenna lokatorka, była nią właśnie Jadwiga Maxymowicz-Raczyńska.

Nie znamy przyczyn tego faktu, podobnie jak powodów, dla których marszałek zdecydował się na zamieszkanie w tak niebezpiecznym miejscu. Czyżby wychodził z założenia, że najciemniej jest pod latarnią, a większe niebezpieczeństwo grozi mu ze strony Polaków doskonale znających jego wygląd? Czy też oznacza to kontakty generałowej z Abwehrą, co sugerują niektórzy badacze? Tym bardziej że niebawem „Śmigły” zaczął urządzać w mieszkaniu pani Jadwigi odprawy i spotkania robocze. Przez lokal przewijało się wielu gości, w spotkaniach czasami uczestniczyło nawet po kilkanaście osób. Zdarzały się narady, podczas których gospodyni i jej służąca musiały prosić o pomoc dodatkową osobę, „by obsłużyć wszystkich panów herbatą i kanapkami”. I to wszystko działo się w budynku

zamieszkałym wyłącznie przez Niemców, wśród których nie brakowało współpracowników gestapo.

„Śmigły” zajął u Raczyńskiej dwa pokoje, posiadały one oddzielne wejście z przedpokoju i stanowiły rodzaj odrębnego mieszkania. Nigdy jednak nie wychodził z domu, obawiając się przypadkowego rozpoznania na ulicy. Wiedział, że pogłoski o jego przyjeździe do Warszawy już się rozeszły, nie zamierzał więc ryzykować bez powodu.

„(…) Był nadzwyczaj opanowany – wspominała generałowa – z zewnątrz pogodny, z dużym poczuciem humoru, ale nie złośliwego, jego spokój oddziaływał na otoczenie. (…) Nie skarżył się na dolegliwości serca, natomiast wspominał, że miewa nadkwasotę żołądka i w związku z tym podrażnienie jelit. (…) Zastosowałam więc dietę (…) picie ciepłej galaretki z siemienia lnianego. (…) Kuracja dała pomyślne rezultaty. Dolegliwości minęły, marszałek miał lepszy apetyt i był w coraz lepszej formie fizycznej”[3].

„Śmigły” jednak chciał porozmawiać osobiście z Grotem-Roweckim – i wreszcie dopiął swojego. Oficerowie spotkali się w jednym z mieszkań przy ulicy Marszałkowskiej, rozmowa trwała pół godziny, nie osiągnięto porozumienia. „Grot” pozostał lojalnym podwładnym Sikorskiego i odmówił podporządkowania się rozkazom marszałka.

Dla „Śmigłego” był to poważny cios, dotychczas bowiem uważał, że dawny podwładny uzna jego prymat. Tym bardziej że „Grot” prowadził bardzo skuteczną (a czasami brutalną) akcję scaleniową i podporządkowywał sobie kolejne organizacje podziemne.

Marszałek doskonale wiedział, że kilkudziesięciu oficerów, którzy przedarli się z Węgier, to zbyt mało, by dysponować w Warszawie realną siłą. Dlatego coraz bliżej współpracował z Witkowskim i jego Muszkieterami. Posiadali oni rozległe kontakty z Abwehrą, prowadzili też własną grę z władzami niemieckimi, której zasięg i charakter może wprawić w osłupienie. Współpracowali z polskimi politykami szukającymi porozumienia z Niemcami w celu powołania kolaboracyjnego rządu. Podobno rozdawano już nominacje, a Witkowski jeździł niemal oficjalnie do Berlina, gdzie prowadził rozmowy z przedstawicielami władz niemieckich. Nie wiadomo jednak, w czyim imieniu tam występował.

„Kapitan Muszkieterów – relacjonował major Stanisław Sławiński z kontrwywiadu ZWZ – jeździł w październiku czy listopadzie 1941 roku do Berlina na jakąś konferencję fachową, w której miał brać udział

przedstawiciel generała Keifla [feldmarszałka Keitla – S.K.], minister kancelarii Rzeszy i przedstawiciel gabinetu wojskowego Hitlera”[4].

Czy marszałek Edward Śmigły-Rydz wiedział coś na ten temat? Czy Witkowski, z którym często się spotykał, mówił mu o swojej berlińskiej misji? A jeżeli tak, to czy aprobował poczynania szefa Muszkieterów?

Tajemnic coraz więcej

W tym czasie do Warszawy przybył kolejny były prominentny polityk II Rzeczypospolitej. Termin jego pojawienia się był zapewne przypadkowy, chociaż niektórzy badacze twierdzą, że wszystko zostało zaplanowane i uzgodnione.

„W końcu listopada 1941 roku – wspominał rotmistrz Czesław Szadkowski z Muszkieterów – idąc w Warszawie po ulicy Krakowskie Przedmieście, ujrzałem starszego mężczyznę z bródką. Gdy minęliśmy go, członkowie mojej ekipy zwrócili mi uwagę, że to jest Leon Kozłowski. Zdziwiliśmy się wówczas, co on tutaj robi”[5].

Zdumienie Muszkieterów łatwo wytłumaczyć, Kozłowski był bowiem premierem rządu polskiego w latach 1934-1935, a po dymisji powrócił do pracy naukowej we Lwowie (był profesorem archeologii) i tam wpadł w ręce Sowietów. Kategorycznie odmówił współpracy, za co podczas śledztwa brutalnie go skatowano – stracił oko i kilka zębów. W Warszawie od dawna go nie widziano, zresztą nie było to zwyczajne podczas okupacji, by były premier rządu polskiego swobodnie spacerował po ulicy.

Kozłowski został zwolniony z Łubianki na mocy układu Sikorski-Majski i trafił do Buzułuku do armii Andersa, skąd pewnego dnia zniknął. Okazało się, że w bliżej niewyjaśnionych okolicznościach przekroczył sowiecko-niemiecki front (!), a gdy ujawnił swoją tożsamość, z Berlina nadeszło polecenie, by przyjąć go z wszelkimi honorami. Przewieziono go więc nad Sprewę, ale zanim tam trafił, znalazł się właśnie w Warszawie. Zapewne chciał rozmawiać z innymi polskimi politykami na temat współpracy z Niemcami, tym bardziej że zawsze uchodził za germanofila.

Oczywiście należy odrzucić wszelki sugestie o zaplanowanym spotkaniu ze „Śmigłym”. Obrońcy tej teorii podają jako dowód fakt, że obaj politycy wyruszyli do stolicy niemal jednocześnie – Kozłowski z Buzułuku, a „Śmigły” z Budapesztu. Trzeba jednak być człowiekiem bez większej wyobraźni, by twierdzić, że Kozłowski zakładał, iż przedrze się przez front

w ściśle (!) określonym terminie. Nikt nie mógł ocenić, ile czasu mu to zajmie i czy plan w ogóle się powiedzie. Warto też podkreślić, że na pewno nie miał pojęcia o pobycie „Śmigłego” w Warszawie – nie mógł zatem planować z nim spotkania.

Natomiast pogłoski o pobycie marszałka w kraju dotarły do Londynu i polskie władze emigracyjne zaczęły okazywać zdenerwowanie. Nikt w Londynie nie wierzył w bajeczkę o chęci odkupienia win przez Rydza, zdawano sobie sprawę, że były Naczelny Wódz pojawił się nad Wisłą, by powrócić do czynnej polityki.

„Już sama obecność marszałka Śmigłego w kraju – instruował Sikorski Grota-Roweckiego – byłaby wysoce szkodliwa dla sprawy polskiej. Musiałaby bowiem spowodować dezorientację, stając się przeszkodą w wysiłku organizowania społeczeństwa do walki zbrojnej z Niemcami. Rząd polski traktowałby tę obecność jako dywersję jego pracy dla kraju, tym bardziej iż trudno przypuścić, aby marszałek Śmigły przekraczał granicę kraju bez określonych zamierzeń i planów”[6].

Pytania bez odpowiedzi, część druga

Muszkieterowie odegrali pierwszoplanową rolę w jednym z najbardziej tajemniczych wydarzeń okresu II wojny światowej, z którym także wiąże się nazwisko marszałka. Chodzi o misję czterech członków organizacji z rotmistrzem Szadkowskim na czele, którzy w połowie stycznia 1942 roku dotarli do armii Andersa. Wyruszali z Warszawy kilka tygodni wcześniej, z pełną aprobatą Śmigłego-Rydza, który tuż przed ich wyjazdem udzielał Szadkowskiemu ostatnich instrukcji.

Emisariusze koleją dotarli do Charkowa, po czym przedarli się przez front i zaraz potem wpadli w ręce sowieckich żołnierzy. Oficjalnie podawali się za Polaków zbiegłych z niemieckich robót i przedzierających się do Andersa. Sowieci jak zwykle byli bardzo podejrzliwi, wobec czego przewieźli ich do Woroneża, a następnie osadzili na moskiewskiej Łubiance. Po dwóch tygodniach zjawił się tam podpułkownik Wincenty Bąkiewicz, szef Oddziału II sztabu armii Andersa. Sowieci zwolnili wówczas zatrzymanych, zwracając także ich rzeczy trzymane dotychczas w depozycie.

Czesław Szadkowski był zaufanym człowiekiem Witkowskiego. Do Muszkieterów należał niemal od samego początku i uważano go tam za

„wiernego wykonawcę poleceń »Inżyniera«”, który „jeżeli zachodziłaby taka potrzeba, dałby się za niego porąbać”. Przy okazji warto wspomnieć, że Szadkowski był krewnym (podobno wujem) przebywającego wówczas na zesłaniu Wojciecha Jaruzelskiego, przyszłego dyktatora PRL-u…

Rotmistrz nie wiedział dokładnie, jakie rozkazy przewoził do Andersa. Wprawdzie dostał instrukcje od marszałka, jednak list do generała w postaci mikrofilmu został ukryty w mydle do golenia i Szadkowski nie znał jego treści. Zapewne nie był nim zresztą zainteresowany, bo dla niego liczyło się tylko osobiste przesłanie, jakie miał przekazać Andersowi.

Emisariuszy z Warszawy przyjęto w kwaterze generała niezwykle gorąco. Atmosfera jednak mocno zgęstniała, gdy Szadkowski (podobno w czasie przyjęcia na jego cześć) poprosił Andersa o chwilę rozmowy na osobności. Poinformował go, że „Śmigły” przebywa w Warszawie, a on przybył na jego polecenie, a nie z rozkazu „Grota”. Prawdziwa bomba wybuchła jednak dopiero wtedy, gdy major Bąkiewicz powiadomił generała o wynikach badania rzeczy Szadkowskiego, które przekazali mu Sowieci. Wśród nich było mydło do golenia, którego zawartość wprawiła go w osłupienie.

„Gdy bowiem ostrożnie je rozkroił – relacjonował pułkownik Klemens Rudnicki znajdujący się wówczas w armii Andersa – ukazał się wewnątrz mikrofilm, który był jednak – ku jego zdziwieniu – już wywołany. Jest rzeczą zupełnie niepraktykowaną, ażeby wysyłać tajną pocztę w takim stanie. Film tego rodzaju przesyła się w formie surowej, aby uległ automatycznemu prześwietleniu w wypadku otworzenia go przez niepowołane ręce. Nie ulegało zatem wątpliwości, że film został wywołany przez kogoś, zanim Bąkiewicz dostał go w ręce. Tym kimś mogło być tylko NKWD”[7].

Według wspomnień Rudnickiego mikrofilm miał zawierać polecenie od Witkowskiego [sic!], by Anders natychmiast po przybyciu na front uderzył na tyły Armii Czerwonej. Treść rozkazu zapewne się zgadzała, ale pułkownik zmienił osobę nadawcy. Spisując swoje wspomnienia już po wojnie, zapewne nie chciał oczerniać marszałka Śmigłego-Rydza i wolał napisać, że rozkaz wydał „Kapitan”. Było to jednak zupełnie nieprawdopodobne – Witkowski dla Andersa był osobą anonimową, natomiast „Śmigły” mógł mieć nadzieję, że jego rozkaz będzie respektowany nad Wołgą. Ostatecznie Anders uchodził za wyjątkowo lojalnego oficera, czemu dał wyraz podczas przewrotu majowego, walcząc

po stronie rządowej przeciwko marszałkowi Piłsudskiemu. Następnie służył wiernie nowym władzom i właściwie nie było powodu, dla którego nie miałby wykonać polecenia dawnego Naczelnego Wodza, któremu był winny większą lojalność niż jakimś samozwańcom z Londynu.

Anders okazał się jednak wierny generałowi Sikorskiemu, a wiedząc, że jest pilnie obserwowany przez Sowietów, oskarżył emisariuszy o zdradę. Stanęli przed sądem wojskowym, który Szadkowskiego skazał na karę śmierci, a jego towarzyszy uniewinnił. Wykonanie wyroku odroczono jednak do zakończenia wojny. Ostatecznie podczas pobytu armii w Palestynie niefortunny emisariusz został zwolniony z więzienia, a gdy po wojnie wrócił do kraju, wpadł w ręce bezpieki, która intensywnie szukała dowodów na to, że Anders był zdrajcą i chciał zerwać polsko-sowiecką umowę wojskową. Najwyraźniej współpraca z Muszkieterami nie okazała się szczęśliwa dla jednego z wierniejszych podwładnych „Inżyniera". Ostatecznie Szadkowski został skazany na pięć lat więzienia za szpiegostwo przeciwko ZSRS, a zwolniono go warunkowo na rok przed terminem.

Nie brakuje jednak opinii, że cała sprawa z listem była sowiecką mistyfikacją mającą na celu skłócenie krajowego podziemia z Andersem. Co zatem zawierał oryginalny list Witkowskiego („Śmigłego") do generała? Pozdrowienia z Warszawy? Pytania o stan zdrowia po sowieckich więzieniach? Poza tym Sowieci nie wiedzieli, że „Śmigły" przebywa w stolicy. Co zatem chciał osiągnąć marszałek, wydając polecenie zmiany frontu Andersowi? Zdyskredytować rząd Sikorskiego w oczach aliantów? Doprowadzić do wystąpienia polskich władz przeciwko Sowietom? Sprawa ta wciąż oczekuje na wyjaśnienie, podobnie zresztą jak inne kwestie związane z pobytem Edwarda Śmigłego-Rydza w Warszawie.

Warszawa, 2 grudnia 1941 roku

Ostatnie dni życia marszałka znane są niemal wyłącznie z relacji Maxymowicz-Raczyńskiej. Generałowa po latach kilka razy opowiadała o wydarzeniach z przełomu listopada i grudnia 1941 roku, jej relacje wprawdzie różnią się od siebie, ale sprawiają wrażenie dość spójnych i logicznych. Według pani Jadwigi nic nie zapowiadało tragedii, marszałek czuł się coraz lepiej i wolne chwile jak zwykle poświęcał na lekturę i malowanie. Po raz ostatni trzymał pędzel 27 listopada, gdy malował jej

portret. Nocą miał jednak przyjść pierwszy atak choroby, która ostatecznie zabrała go do grobu.

„Około godziny 1-szej w nocy – wspominała generałowa – obudził mnie jęk dochodzący z przedpokoju. – Zerwałam się, wpadłam na korytarz i zobaczyłam marszałka leżącego przy drzwiach do kuchni, na podłodze. Był w nocnej piżamie. Twarz blada, wpadnięta, czoło pokryte kroplami potu. »Co się stało?«. Marszałek odpowiedział słabym głosem: »Bardzo mi jest źle. Boli serce«”[8].

Lekarzy (jednym z nich był brat Juliana Piaseckiego) sprowadzono dopiero rano, gdy zakończyła się godzina policyjna. Stwierdzono podejrzenie *angina pectoris* (choroby niedokrwiennej serca), chory miał przyjmować lekarstwa, zalecono także wstrzykiwanie *natrium nitrosum* (azotynu sodu), co było normalną praktyką. Stan marszałka nieco się poprawił, przyjął Witkowskiego, udzielił ostatnich instrukcji Szadkowskiemu wyruszającemu do Andersa.

Lekarze odwiedzali chorego codziennie. 1 grudnia podskórnie podano „Śmigłemu” kofeinę, zmieniono także skład lekarstw, jakie przyjmował. Wstrzykiwano mu glukozę, kamforę oraz nadal azotyn sodu. W razie silnego bólu miał dostać morfinę i nitroglicerynę. W mieszkaniu Raczyńskiej stale przebywał zaufany oficer marszałka, podpułkownik Marcin Zalewski. W nocy z 1 na 2 grudnia nastąpił kryzys.

„Marszałek rzucał się niespokojnie [w łóżku] – kontynuowała generałowa – na policzkach miał wypieki, w oczach przerażenie. Jęczał przez zaciśnięte usta. Kiedy podchodziłam ze strzykawką napełnioną morfiną, sam gwałtownie podciągnął nogawkę piżamy, by obnażyć udo do zastrzyku. Potem pobiegłyśmy do kuchni, żeby napełnić termofor gorącą wodą i położyć na sercu. Zanim zdążyłam to zrobić, wpadł Marcin [podpułkownik Zalewski] z okrzykiem: »Proszę pani, już…«. Wbiegłam do pokoju, marszałek nie żył”[9].

Pytania bez odpowiedzi, część trzecia

Wystawiono dwa akty zgonu. Pierwszy – oficjalny, na potrzeby władz okupacyjnych – na nazwisko Adama Zawiszy, nauczyciela z Brzeżan. Spisano go 2 grudnia w kancelarii parafii Najświętszej Maryi Panny przy Puławskiej 95 (obecnie parafia św. Michała Archanioła), natomiast dwa dni później sporządzono konspiracyjny akt zgonu informujący o śmierci

marszałka. Podpisało go kilku lekarzy oraz Julian Piasecki z Obozu Polski Walczącej i podpułkownik Zalewski.

Ciało „Śmigłego” pozostawało w tym czasie w domu Maxymowicz-Raczyńskiej, a następnego dnia po śmierci w godzinach popołudniowych pojawił się tam Piasecki wraz z lekarzem Edwardem Lothem. Medyk przyniósł trzy walizki i na miejscu przystąpił do balsamowania (!) ciała zmarłego.

Można się zastanawiać nad celowością tego makabrycznego zabiegu. Trwały wojna i okupacja, „Śmigły” miał być pochowany incognito na zwyczajnym cmentarzu – a tutaj, w prywatnym mieszkaniu, przystąpiono do mumifikacji jego ciała. Czyżby Piasecki chciał zabezpieczyć szczątki zmarłego, by po zakończeniu wojny trafiły w znacznie bardziej eksponowane miejsce? Na Wawel, jak ciało Piłsudskiego?

Z drugiej strony można zadać pytanie, jaka byłaby różnica między ewentualnym ponownym pogrzebem ciała zabalsamowanego a pogrzebaniem ciała niepoddanego mumifikacji. Dla potencjalnych uczestników uroczystości właściwie żadna, zapewne nikt by sobie z tego nie zdawał sprawy. Być może jednak dla Piaseckiego i jego współpracowników był to rodzaj hołdu oddanego zmarłemu i potwierdzenie jego pozycji w dziejach Polski. A być może prawda była bardziej prozaiczna: Piasecki po prostu chciał ułatwić przyszłą identyfikacje zwłok?

Inna sprawa, że okoliczności zabiegu wciąż wzbudzają pewne kontrowersje.

„[Lekarz] poprosił, aby rozpalić w kuchni duży ogień – relacjonowała Raczyńska – i dać kilka prześcieradeł, które wziął do pokoju zmarłego, zabierając także rozkładaną drabinkę. Nie pamiętam, jak długo to trwało. Razem z Rózią [służącą – S.K.] byłam w tym czasie w kuchni. Pan Julian kilka razy wchodził, przynosząc zawiniątka z prześcieradeł poplamione krwią i surowicą i sam wrzucał je do ognia”[10].

Podobno Piasecki bardzo dbał, by nikt nie widział, co właściwie pali w kuchni i wylewa do sedesu. Niektórzy dopatrywali się w tym dowodu, że chciał coś ukryć. Jego zachowanie wydaje się jednak najzupełniej naturalne – palenie fragmentów ciała zmarłego w prywatnym mieszkaniu jest jednak dość drastycznym zabiegiem…

Po mumifikacji ciało „Śmigłego” pozostało w mieszkaniu na Sandomierskiej jeszcze przez ponad dobę. Marszałka ubrano w cywilne ubranie, a generałowa Raczyńska włożyła mu do kieszeni zawiniętą

w ceratę swoją wizytówkę z informacją stwierdzającą tożsamość zmarłego. W lokalu pojawiali się piłsudczycy, oddając hołd marszałkowi. Przyniesiono nawet dwa duże wieńce ze wstęgami Orderu Virtuti Militari. Do kamienicy zamieszkałej wyłącznie przez Niemców! I nikogo to nie zainteresowało…

Pogrzeb odbył się 6 grudnia na Starych Powązkach, marszałka odprowadziło około 20 oficerów po cywilnemu. Jako Adam Zawisza spoczął w kwaterze nr 139, dopiero po upadku komunizmu położono płytę nagrobną z prawdziwymi danymi zmarłego.

Portret propagandowy, 1936 rok

foto Archiwum

Edward Śmigły-Rydz – marszałek Polski, Naczelny Wódz Polskich Sił Zbrojnych, obrońca ojczyzny w 1939 roku, bohater wojny polsko-bolszewickiej, żołnierz Legionów, malarz i poeta, 1936 rok

foto Archiwum

Grób marszałka Polski Edwarda Śmigłego-Rydza, Stare Powązki, Warszawa

foto Archiwum foto Andrzej Marzec/East News

Epilog nr 1

Tajemnice, hipotezy i kontrowersje

Teorie spiskowe

Śmierć marszałka utrzymywano w tajemnicy, wiadomość nie przedostała się do opinii publicznej. Jednak już w połowie stycznia 1942 roku plotki na ten temat dotarły do Londynu, Sikorski poinformował o nich prezydenta Raczkiewicza. Nikt specjalnie jednak w te wiadomości nie wierzył, tym bardziej że nie było możliwości ich sprawdzenia.

Inna sprawa, że na polecenie Sikorskiego poszukiwano „Śmigłego" w całej Europie. Od chwili jego ucieczki z internowania wysłano z Londynu co najmniej kilkanaście poleceń ustalenia miejscu pobytu marszałka, ich odbiorcami były polskie placówki dyplomatyczne w krajach neutralnych, ekspozytury wywiadu oraz Grot-Rowecki. Sikorskiemu i jego współpracownikom spędzała sen z powiek świadomość, że „Śmigły" wraca do czynnej polityki. Oczywiście niczego nie ustalono poza podawaniem kolejnych fantastycznych pogłosek – marszałka miano widywać nie tylko w całej Europie, ale także na Bliskim Wschodzie. Wszystko wskazywało na to, że „Śmigły" faktycznie nie żyje, ale jeszcze w lutym 1943 roku generał Sosnkowski nakazywał informacje o śmierci „Śmigłego" „traktować z dużą oględnością". Tym bardziej że nie było żadnego potwierdzenia z kraju.

Sprawa ostatecznie ucichła, do powszechnej świadomości powoli docierał fakt, że marszałek pożegnał się z tym światem. Zresztą dynamiczne zmiany w sytuacji rządu emigracyjnego zupełnie przesłoniły temat „Śmigłego". Niemcy ogłosili wiadomość o odkryciu grobów polskich oficerów w Katyniu, w katastrofie gibraltarskiej zginął generał Sikorski, Sowieci ponownie wkroczyli na terytorium Rzeczypospolitej, a w Warszawie wybuchło powstanie, które zmiotło ją z powierzchni ziemi.

Nikt nie zawracał sobie głowy marszałkiem „Śmigłym”, który zniknął kilka lat wcześniej i od tego czasu nie dawał znaku życia.

Jednak w czasach PRL-u sprawą zainteresowała się Służba Bezpieczeństwa i przeprowadziła śledztwo w sprawie śmierci marszałka. Zwrócono wówczas uwagę na pewne podejrzenia Jadwigi Maxymowicz-Raczyńskiej, która nie wykluczała teorii, że śmierć marszałka nie była naturalna.

„Podejrzenie, że Śmigły Rydz mógł być otruty – informowali przełożonych funkcjonariusze SB – Maxymowicz-Raczyńska opiera także na fakcie, że podczas balsamowania zwłok Julian Piasecki skrupulatnie pilnował poplamionych krwią opatrunków i osobiście wszystkie wrzucał w ogień, a płyny wlewał do sedesu, pozostając w mieszkaniu do chwili usunięcia wszelkich śladów krwi”[1].

Atak serca wcale nie wykluczał możliwości otrucia, bowiem znano już wówczas toksyny, które powodowały objawy podobne do *angina pectoris*. Brakuje jednak twardych dowodów na podanie ich „Śmigłemu”.

Zresztą od razu powstaje pytanie: komu mogło być na rękę uśmiercenie marszałka? Niektórzy badacze wskazują na Juliana Piaseckiego, który chciał przejąć władzę w Obozie Polski Walczącej, ale nie wydaje się to prawdopodobne. Piasecki, były wiceminister, nie mógł się równać pod względem prestiżu z marszałkiem, o czym doskonale wiedział. Bardziej na usunięciu Rydza ze świata żywych mogło zależeć Grotowi-Roweckiemu i ludziom związanym z Sikorskim. Dla nich marszałek stanowił realne zagrożenie. Czy zatem doszli do porozumienia z Piaseckim, by wyeliminować Śmigłego? Teoria bez wątpienia kusząca, ale ponownie brakuje jakichkolwiek dowodów.

Hipotezy Dariusza Baliszewskiego

Przed laty wielkie zamieszanie w świecie polskich historyków wywołały koncepcje Dariusza Baliszewskiego na temat śmierci Śmigłego-Rydza. Uznano je za zbyt sensacyjne, niezgodne z prawdą historyczną, a co najważniejsze – niepoparte żadnymi dowodami. Ich autora tytułowano ironicznie „redaktorem”, nie zwracając uwagi, że posiada dyplom Wydziału Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego (pracę magisterską pisał pod kierunkiem profesora Aleksandra Gieysztora). Wypominano mu, że zajmuje się publicystyką historyczną, a nie pracą naukową, a przede wszystkim – że

w pogoni za skandalem i sensacją przekracza wszelkie granice. Zapominano przy okazji, że historia to poszukiwanie prawdy, a tej nigdy nie odnajdzie się bez dyskusji i sporów.

Baliszewski jest autorem błyskotliwej hipotezy, że „Śmigły” powrócił do Polski, by dojść do porozumienia z Niemcami. Zauważył, że u schyłku 1941 roku władze niemieckie poważnie rozważały możliwość powołania sojuszniczego państwa polskiego. Coś faktycznie musiało być na rzeczy, gdyż generał Sikorski w marcu 1942 roku (w liście do Stanisława Kota – polskiego ambasadora w Moskwie) wyrażał zadowolenie, że „Naród Polski mimo okrutnych prześladowań odpowiedział stanowczo odmownie na wezwanie do udziału w krucjacie przeciw bolszewikom, co było połączone z poważnymi koncesjami na rzecz Polski”. Nie był to jednostkowy przypadek, bowiem w rozmowie z Rooseveltem Sikorski przyznał, że polskie podziemie zdecydowanie odrzuciło możliwość współpracy z Niemcami przeciwko Rosji, „w zamian za co Polacy mieli obiecane przywrócenie normalnych warunków na terytorium polskim”. A kto najlepiej nadawał się do reprezentowania strony polskiej wobec Niemców? Osoba „Śmigłego” narzuca się tu wręcz automatycznie.

Gdy dodamy do tego fakt, że podobno w Warszawie już w listopadzie 1941 roku formowano przyszły gabinet i rozdzielano stanowiska rządowe, sprawa staje się jeszcze bardziej intrygująca. Prokurator Józef Namysłowski (blisko związany ze „Śmigłym”) otrzymał wówczas nominację na wojewodę pomorskiego. Z czyjego nadania? Na pewno nie przedstawicieli rządu Sikorskiego.

Do tego dochodzi jeszcze misja rotmistrza Szadkowskiego i sprawa dziwnego mikrofilmu dostarczonego generałowi Andersowi. Wszystko faktycznie układa się w pewien logiczny ciąg zdarzeń, ale Baliszewski jednak poszedł dalej, twierdząc, że śmierć „Śmigłego” sfingowano, a marszałek został zatrzymany przez oddział ZWZ pod dowództwem Emila Fieldorfa. Według historyka niedoszłemu polskiemu Pétainowi pozostawiono wybór: samobójstwo lub wyjazd z kraju połączony z internowaniem pod władzą aliantów. „Śmigły” nie skorzystał jednak z żadnej z tych możliwości, wobec czego został aresztowany. Początkowo przetrzymywano go przy Marszałkowskiej 53, potem wywieziono do Otwocka. Ciężkie warunki uwięzienia spowodowały gruźlicę, ostatecznie „Śmigły” miał umrzeć 3 sierpnia 1942 roku w sanatorium w Otwocku i zostać pochowany na miejscowym cmentarzu. Niewykluczone miało być

również, że jednak popełnił samobójstwo, natomiast niektórzy podejrzewają, że chociaż faktycznie zmarł na Sandomierskiej 2 grudnia, to został jednak otruty na polecenie Grota-Roweckiego.

Autorzy niniejszej książki byli swojego czasu zafascynowani wizją roztoczoną przez Dariusza Baliszewskiego. Gdy jednak po pewnym czasie emocje minęły, dostrzegli pewne wady jego teorii. Problemem był przede wszystkim brak źródeł pisanych, Baliszewski opierał się bowiem wyłącznie na przekazach świadków, a – jak wiadomo – ludzka pamięć bywa zawodna. Poza tym trudno polemizować z hipotezami, gdy na ich poparcie uzyskuje się informację, że wiadomość pochodzi od „osoby pragnącej zachować anonimowość". Całkowicie wyklucza to nie tylko krytykę źródła, lecz nawet jakąkolwiek dyskusję.

Szczególnie stało się to widoczne, gdy jeden z autorów zapytał Baliszewskiego w rozmowie telefonicznej, gdzie znalazł informacje, jakoby Służba Bezpieczeństwa po wojnie przeprowadziła badania grobu na Powązkach i wykluczono wówczas, by „Śmigły" był tam pochowany. Tym bardziej że poszukiwania prowadzone przez autora w archiwum IPN nie przyniosły żadnego rezultatu, a przecież powinny się zachować dokumenty z tych działań SB. W odpowiedzi autor usłyszał, że żadne dokumenty nie są potrzebne, bowiem wystarczy relacja świadka, który – oczywiście – pragnął zachować anonimowość.

Bez odpowiedzi pozostaje też pytanie, dlaczego Grot-Rowecki – jeżeli usunął „Śmigłego" – nie zameldował o tym Sikorskiemu i Sosnkowskiemu. Tutaj jednak można sprawę łatwo wyjaśnić, bowiem Rowecki nie o wszystkim meldował przełożonym z Londynu, a jeżeli nawet, to ze znacznym opóźnieniem. Do likwidacji Stefana Witkowskiego przyznał się dopiero po ośmiu miesiącach, o innych sprawach w ogóle nie wspominał. Prowadził własną politykę, a sprawa marszałka była kwestią wyjątkowo delikatną.

Hipotez Dariusza Baliszewskiego nie można jednak całkowicie odrzucać, szczegóły pobytu i działalności marszałka „Śmigłego" w Warszawie zawierają bowiem tajemnice, które nigdy nie zostały wyjaśnione. Czy dotyczyły tylko rywalizacji z Sikorskim i jego podwładnymi o przejęcie kontroli nad polską konspiracją, czy także próby budowania nowej Polski, która miałaby zająć należne jej miejsce w niemieckiej Europie? W tym miejscu autorzy nie są zgodni – jeden z nich całkowicie odrzuca tę teorię, a drugi uważa, że sprawa wymaga dalszych badań i wyjaśnień…

Epilog nr 2

Zbrodnia na Riwierze

Luksusy na Lazurowym Wybrzeżu

Stefan Witkowski, szef Muszkieterów, nie dożył końca wojny. Sprzeciwianie się Grotowi-Roweckiemu było wyjątkowo niebezpiecznym procederem, o czym „Kapitan" przekonał się osobiście. Został skazany na śmierć i zastrzelony przez oddział egzekucyjny AK we wrześniu 1942 roku. Większość jego podwładnych została aresztowana przez hitlerowców – niewykluczone, że okupanci otrzymali informacje na ich temat właśnie od dowództwa podwładnych „Grota".

Z kolei Obóz Polski Walczącej wegetował na marginesie życia politycznego. Nigdy nie odegrał większej roli w polskim podziemiu, a Julian Piasecki zginął w pierwszych dniach Powstania Warszawskiego.

Intrygująco i bardzo tragicznie potoczyły się losy Marty Thomas-Zaleskiej. Dariusz Baliszewski twierdzi, że jesienią 1943 roku otrzymała pamiątki po partnerze, które do Francji przewiózł oficer z kancelarii cywilnej marszałka, Michał Ejgin. Wśród nich miał być pamiętnik prowadzony przez „Śmigłego" w ostatnich latach. Pośrednie informacje na temat takiego dokumentu faktycznie można odnaleźć w relacji pułkownika Wendy z czasów internowania w Rumunii. W ten sposób w rękach Marty miały się znaleźć tajemnice polityczne, wyjątkowo niewygodne dla wielu prominentnych osób.

Thomas-Zaleska przetrwała wojnę na francuskiej Riwierze, a po jej zakończeniu prowadziła wygodne, ekstrawaganckie życie. Wywieziony z Polski majątek zapewniał jej godziwe utrzymanie i „całe prywatno-państwowe mienie ostatniego marszałka Polski było wyprzedawane – hurtem i w detalu, na lewo i na prawo". Marta dwukrotnie zastawiała w lombardach biżuterię, ale szybko ją wykupywała. W 1950 roku sprzedała (za 750 tysięcy franków – około 13 tysięcy euro) szablę koronacyjną

Augusta II. Nabywcą był Stefan Czarnecki – zamieszkały w Paryżu Polak, który dorobił się majątku na handlu bronią. Wdowa po marszałku na co dzień mieszkała w Monte Carlo, w domu przy Boulevard des Moulins, w pobliżu najsłynniejszych kasyn świata. Bywała tam zresztą częstym gościem, ale grę traktowała wyłącznie jako rozrywkę.

Marta pokazywała się publicznie w towarzystwie różnych mężczyzn, z reguły znacznie młodszych od siebie. Jeden z krupierów zwierzył się prasie francuskiej (już po śmierci marszałkowej), że był jej kochankiem. Wzywała go ponoć do siebie, dając mu znaki przez gaszenie i zapalanie światła w mieszkaniu, którego okna wychodziły na kasyno. To oczywiście dało podstawy do zarzutów, że Marta urządzała w Monte Carlo orgie seksualne, co raczej nie było zgodne z prawdą. Po prostu przez całe życie lubiła mężczyzn, a z wiekiem preferowała coraz młodszych partnerów.

Inna sprawa, że na Riwierze marszałkowa nawiązywała nie zawsze bezpieczne znajomości. Widywano ją w towarzystwie handlarzy narkotyków i gangsterów, zresztą wojna sprowadziła na złą drogę niejednego człowieka. Niejeden bohater wojenny zdobywał majątek na przemycie, handlu bronią czy narkotykami – zatarła się naturalna granica pomiędzy dobrem a złem, szczególnie dla ludzi o słabszych charakterach.

Tajemnicze zabójstwo

Pod koniec czerwca 1951 roku Marta pobrała z konta bankowego 500 tysięcy franków (około 9 tysięcy euro), z czego większość pożyczyła zaprzyjaźnionemu małżeństwu Romanowskich (córka i zięć generała Andersa). Ostatni raz widziano ją żywą 2 lipca – jadła wówczas obiad (czy też śniadanie) w towarzystwie Romanowskiego.

Dwa tygodnie później kilkunastoletni chłopiec znalazł w potoku oddalonym o 40 km od Nicei worek zawierający niezidentyfikowane szczątki ludzkie (kadłub bez kończyn i głowy). W ciągu dalszych poszukiwań odkryto stopę i lewą rękę, poszczególne szczątki znajdowały się o wiele kilometrów od siebie. Oględziny lekarskie wykazały, że ofiarą była kobieta, której ciało po śmierci poćwiartowano (kości nacinano cienką piłą, a następnie łamano). Dopiero po pewnym czasie udało się ustalić (na podstawie identyfikacji rzadkiej amerykańskiej bielizny znalezionej wraz z ciałem), że były to szczątki właśnie Marty.

Oględziny jej mieszkania wykazały, że na miejscu pozostały przybory toaletowe, z którymi planująca wyjazd kobieta (i nie tylko) nigdy się nie rozstaje. Brakowało natomiast cennej biżuterii – mieszkanie zostało okradzione. Świadkowie widzieli natomiast na drzwiach kartkę (która później zniknęła) pisaną ręką Marty: „Wracam w czwartek 5 lipca".

W kręgu podejrzanych znalazł się Zbigniew Massalski, 37-letni przedstawiciel firm perfumeryjnych. Sam zgłosił się na policję. W obecności swojego adwokata przyznał, że osobiście zniszczył kartkę pozostawioną przez Martę, albowiem dopisał na niej swoje nazwisko (gdy nie zastał lokatorki), co uznał za niegrzeczność. Ostatecznie z braku dowodów został zwolniony. Na wolność wyszedł również Romanowski, w którego obronę zaangażował się osobiście generał Anders.

Oprócz rabunkowych motywów zbrodni rozpatrywano porachunki przemytników lub handlarzy narkotyków. Winnych jednak do dzisiaj nie odnaleziono.

Inną hipotezę wysuwa Dariusz Baliszewski i ludzie aprobujący jego poglądy. Według jego teorii rabunek był wyłącznie zasłoną dla prawdziwych celów zabójców. Rozczłonkowanie ciała miało służyć nie ukryciu zbrodni, lecz spotęgowaniu grozy i zastraszeniu innych. Z mieszkania Marty zginęły bowiem wszystkie dokumenty marszałka: listy do żony pisane z Rumunii, Węgier i Warszawy, jego zdjęcia i – co najważniejsze – pamiętnik. Czyli informacje o planach i postępowaniu ludzi pragnących odbudować Polskę u boku hitlerowskich Niemiec. Czy faktycznie były to wiadomości tak kompromitujące, by zabijać jeszcze sześć lat po wojnie? Czy też może ludzie związani z obozem londyńskim chcieli usunąć ślady po aresztowaniu marszałka „Śmigłego"?

Teoria ta jest bez wątpienia bardzo atrakcyjna, ale warto jednak zauważyć, że tak naprawdę, nigdy nie zidentyfikowano szczątków ofiary w 100 proc. Dokonano tego jedynie na podstawie oględzin bielizny (!), a nie szczegółów budowy anatomicznej czy znamion na ciele (głowy zresztą nigdy nie odnaleziono). Czy zatem ofiarą zbrodni na Riwierze rzeczywiście była Marta Thomas-Zaleska? Czy może partnerka „Śmigłego" z różnych przyczyn sama wolała zniknąć? Przecież wiadomo, że nie zawsze zawierała bezpieczne znajomości. W tej sytuacji zabranie ze sobą osobistych pamiątek po marszałku byłoby jak najbardziej naturalne i nic dziwnego, że nie odnaleziono ich w jej mieszkaniu.

Sprawy nigdy ostatecznie nie wyjaśniono, podobnie jak dziwnych zabójstw innych osób związanych z Muszkieterami i pośrednio ze „Śmigłym” – Krystyny Skarbek w 1952 roku czy Teresy Łubieńskiej pięć lat później. Obie zginęły od ciosów noża – Skarbek z rąk swojego zazdrosnego byłego kochanka (być może zainspirowanego przez kogoś), natomiast zabójcy Łubieńskiej nigdy nie schwytano. Czy miało to związek z Muszkieterami i „Śmigłym”? Niewykluczone – aczkolwiek warto pamiętać, że ofiary przez wiele lat prowadziły tryb życia, który wiązał się z zawieraniem znajomości mogących sprowadzić nieszczęście.

Zakończenie

Ekshumować „Śmigłego”!

Żaden z autorów tej książki nie jest specjalnym zwolennikiem zakłócania spokoju zmarłym, ale chętnie obejrzelibyśmy wyniki autopsji szczątków marszałka Śmigłego-Rydza. Do dzisiaj bowiem snute są bardzo różne teorie na temat jego śmierci, powstają nowe książki, pojawiają się artykuły, a historycy i publicyści wciąż spierają się na temat ostatnich miesięcy jego życia. Właściwie każda teoria jest podważana – natychmiast zresztą znajduje zarówno swoich zwolenników, jak i przeciwników. Dyskusje i spory są jak najbardziej potrzebne, jednak nie w sytuacji, gdy koronny dowód znajduje się na Starych Powązkach w Warszawie.

Jeżeli można było przeprowadzić ekshumację szczątków Sikorskiego i dzięki temu obalić hipotezy Dariusza Baliszewskiego i Tadeusza A. Kisielewskiego, dlaczego nie zrobić tego w przypadku „Śmigłego”? Wprawdzie upadłby piękny mit narodowy o winie i odkupieniu, ale historia nie jest zbiorem bajek, tylko nauką opierającą się na faktach. Gdyby bowiem okazało się, że „Śmigły” został zamordowany albo ogóle nie spoczywa w swoim oficjalnym grobie, dzieje Polski tamtego okresu należałoby napisać na nowo…

Czy tego boją się historycy? A może faktu, że zniknąłby jeden z tematów do dyskusji i snucia kolejnych teorii? Hipotezy należy stawiać – jest to jedno z zadań badaczy, ale nie w sytuacji, gdy można je sprawdzić w praktyce. To przecież absurd, że do dzisiaj trwa dyskusja na temat ostatnich miesięcy życia marszałka, a nikt nie rzucił hasła: „Ekshumować »Śmigłego« z Powązek!”, by sprawdzić, czy faktycznie jest tam pochowany. Czym ryzykujemy? Upadkiem kolejnego mitu? Czy to tak wiele, by wreszcie dotrzeć do prawdy? Zacznijmy się wreszcie zachowywać jak prawdziwi badacze, a nie specjaliści od kłótni i głoszenia fantastycznych teorii. Skończmy z dyskusjami na zasadzie „jedna baba powiedziała coś drugiej babie w jakimś maglu”.

Dlatego powtarzamy: nadszedł wreszcie czas, by sprawdzić, czy na Starych Powązkach rzeczywiście spoczywa marszałek Edward Śmigły-Rydz, a jeżeli tak, to czy nie został zamordowany. Prawda jest bowiem więcej warta niż poprawianie podręczników lub obalanie narodowych legend…

Dodatek

Katalog europejskich wodzów naczelnych

Czy Edward Śmigły-Rydz naprawdę był miernym wojskowym o nadmiernie wybujałych ambicjach politycznych? Spróbujmy porównać go z innymi europejskimi generałami zajmującymi podobne stanowiska. Poniżej prezentujemy zatem alfabetyczny spis ważniejszych państw europejskich i przedstawiamy w skrócie losy stosunków pomiędzy władzami cywilnymi i wojskowymi.

Przy okazji przedstawiamy również europejskich marszałków. Warto pamiętać, że stopnie wojskowe w różnych krajach są różnie nazywane, dlatego też stopnie generalskie dla porównania określa się liczbą gwiazdek. Generał brygady to generał jednogwiazdkowy, generał dywizji – dwugwiazdkowy, a generał broni – trzygwiazdkowy. W Wojsku Polskim II Rzeczypospolitej nie istniał stopień generała czterogwiazdkowego obecny niemal we wszystkich armiach europejskich. Marszałek – pod różnymi nazwami w różnych językach – to dowódca pięciogwiazdkowy. W niektórych państwach funkcjonowały również stopnie sześciogwiazdkowe, a nawet wyższe.

Belgia – była monarchią parlamentarną. 10 maja 1940 roku, w obliczu niemieckiej agresji, stanowisko wodza naczelnego objął król Belgów Leopold III. 28 maja podpisał – wbrew swoim generałom – bezwarunkową kapitulację armii wobec III Rzeszy. Takie postępowanie można usprawiedliwić u generała, ale nie przystoi pomazańcowi bożemu – po wojnie został więc zmuszony do abdykacji i opuszczenia kraju.

Bułgaria – przez długi czas armia była podporą monarchii, ale w czasie II wojny światowej wielu oficerów przeszło do opozycji. Gdy we wrześniu 1944 roku do granic Bułgarii zaczęli się zbliżać Sowieci, armia wystąpiła

przeciwko carowi i pomogła komunistom w przeprowadzeniu zamachu stanu.

Czechosłowacja – wszyscy generałowie Armii Czechosłowackiej byli narodowości czeskiej. Najważniejsi spośród nich (i konkurujący między sobą) to Jan Syrový oraz Ludvík Krejčí. Syrový został odsunięty na boczny tor w połowie lat 30., ale udało mu się odzyskać władzę w przededniu konfliktu z Niemcami. Armia Czechosłowacka była nieprzygotowana do obrony ojczyzny i generał Syrový odradzał prezydentowi Edvardowi Benešovi stawianie oporu. Po jego ucieczce z kraju generał pełnił obowiązki prezydenta. Po wojnie Syrový został skazany na 20 lat więzienia, a generał Krejčí został zdegradowany przez władze komunistyczne i zmarł w ubóstwie.

Dania – niemiecki atak na to całkowicie nieprzygotowane do obrony państwo rozpoczął się 9 kwietnia 1940 roku o godzinie 4.15. Dowódca Królewskiej Armii Duńskiej, generał William Wain Prior, natychmiast doradził królowi Chrystianowi X podpisanie kapitulacji, co ten uczynił o godzinie 6. Warto pamiętać, że do opanowania całej Danii Niemcy wyznaczyli siły, które we wrześniu 1939 roku walczyły na polskim Wybrzeżu: korpus generała Leonharda Kaupischa.

Estonia – najważniejszym generałem nielicznych sił zbrojnych był tu Nikolai Reek, pełniący na przemian funkcje szefa sztabu generalnego i ministra spraw wojskowych. We wrześniu 1939 roku, w obliczu sowieckiego zagrożenia, odradzał stawianie oporu. Estonia wpadła w ręce Rosjan, a Reek – podobnie jak wielu jego rodaków – został zamordowany przez Sowietów.

Finlandia – największym prestiżem cieszył się Carl Mannerheim, przewodniczący Rady Obrony Państwa, od 1933 roku marszałek. We wrześniu 1939 roku, w obliczu sowieckiego zagrożenia, doradzał rządowi stawianie oporu. Finlandia obroniła swoją niepodległość w czasie wojny zimowej. Jesienią 1944 roku Mannerheim został prezydentem państwa, podpisał zawieszenie broni ze Związkiem Sowieckim i po kilku miesiącach udał się na wygnanie do Szwajcarii.

Francja – generalnym inspektorem armii był generał Maurice Gamelin, który w chwili rozpoczęcia wojny został również wodzem naczelnym. Po początkowych porażkach jego miejsce zajął starszy od niego generał Maxime Weygand, któremu również nie udało się zatrzymać Niemców. Wówczas na czele francuskiego rządu postawiono weterana I wojny

światowej – marszałka Philippe'a Pétaina. Był jednym z ośmiu francuskich marszałków dwudziestolecia międzywojennego (po kolejnej wojnie stopień ten nadano jeszcze czterem). W czerwcu 1940 roku marszałek Pétain podpisał narzucone przez III Rzeszę zawieszenie broni i przez kilka następnych lat firmował swoim nazwiskiem kolaboracyjną Francję Vichy. Po wojnie został skazany na karę dożywotniego więzienia.

Grecja – w 1936 roku władzę dyktatorską w królestwie objął generał Joanis Metaksas. W czasie I wojny światowej opuścił armię i zajął się polityką. Jako dyktator był również ministrem spraw wojskowych. Zmarł na początku 1941 roku, w trakcie odpierania agresji włoskiej (jego wojskowym następcą został Aleksandros Papagos, już po wojnie mianowany marszałkiem). Gdy w kwietniu 1941 roku Grecję zaatakowały Niemcy, dowódca największej z armii – generał Georgios Tsolakoglu – zbuntował się przeciwko królowi i podpisał porozumienie kapitulacyjne z Niemcami, stając na czele kolaboracyjnego rządu. Po wojnie umarł w greckim więzieniu.

Hiszpania – w 1936 roku wojsko wznieciło bunt przeciwko rządowi republiki. Jego początek był bardzo krwawy, zginęła wówczas większość przywódców rebelii. Dlatego – w dość przypadkowy sposób – przywódcą buntowników został młody generał Francisco Franco. Po wygraniu krwawej wojny domowej przez niemal 40 lat sprawował dyktatorskie rządy. Choć powszechnie nazywa się go generalissimusem, to jednak w Armii Hiszpańskiej nie było takiego stopnia, mianował siebie „jedynie" do stopnia capitán general, czyli marszałka. W czasie rządów Franco stopień ten nadano 10 razy. W czasie II wojny światowej Hiszpania pozostała neutralna.

Holandia – została zaatakowana przez III Rzeszę 10 maja 1940 roku. Była nieprzygotowana do wojny ani materiałowo, ani organizacyjnie, ani moralnie. Rząd i rodzina królewska ewakuowali się do Wielkiej Brytanii, przekazując władzę cywilną i wojskową dowódcy armii generałowi Henriemu Winkelmanowi. Zamierzał kontynuować walkę, jednak jego podwładni masowo się poddawali. 14 maja rozkazał wstrzymanie ognia i rozpoczął rozmowy kapitulacyjne, które zakończyły się już następnego dnia.

Jugosławia – o władzę nad wojskiem królestwa konkurowali ze sobą generałowie Dušan Simović i Milan Nedić, będący na zmianę ministrami spraw wojskowych i szefami sztabu generalnego. Stopień marszałka –

oprócz serbskich królów – nosiło 7 generałów z czasów I wojny światowej. Generał Simović wiosną 1941 roku przeprowadził zamach stanu i został premierem. Po agresji państw osi na Jugosławię nakazał swoim podwładnym podpisać kapitulację, a sam zbiegł do Londynu. Generał Nedić stanął wówczas na czele rządu kolaboracyjnego. Po wojnie popełnił w więzieniu samobójstwo, a Simović wrócił do rządzonego przez komunistów kraju, nawiązał z nimi współpracę, zeznając przeciwko kolegom generałom w pokazowych procesach.

Litwa – na czele nielicznych sił zbrojnych – jako minister spraw wojskowych i wódz naczelny – stał generał Stasys Raštikis. We wrześniu 1939 roku, w obliczu sowieckiego zagrożenia, odradzał stawianie oporu. Litwa wpadła w ręce Rosjan, Raštikis uciekł do Niemiec, krótko z nimi kolaborował, a po 1945 roku zbiegł do Ameryki.

Łotwa – na czele słabych wojsk tego państwa – jako minister spraw wojskowych i wódz naczelny – stał generał Krišjānis Berķis. We wrześniu 1939 roku, w obliczu sowieckiego zagrożenia, odradzał stawianie oporu. Łotwa wpadła w ręce Rosjan, a generał Berķis podjął próbę ucieczki do Finlandii. Został jednak pojmany i – podobnie jak wielu jego rodaków – zamordowany przez Sowietów.

Niemcy – miały specyficzny system kierowania armią, celowo skomplikowany w ten sposób, by decydujące słowo przypadało kanclerzowi Adolfowi Hitlerowi. Jego najważniejszy tytuł – „Wódz” (Führer) – odnosił się do przewodnictwa partii NSDAP, ale przyznał sobie również tytuł Naczelnego Dowódcy Niemieckich Sił Zbrojnych. Wydawał bezpośrednie rozkazy formacjom wojskowym, czasami nawet dość niewielkim. Po jego śmierci władza w III Rzeszy przeszła w ręce dowódcy Niemieckiej Marynarki Wojennej, wielkiego admirała Karla Dönitza. Wielki admirał to stopień wojskowy równorzędny marszałkowi. W Wehrmachcie było dwóch wielkich admirałów, 25 marszałków oraz nadmarszałek, czyli marszałek Rzeszy (Hermann Göring – zdegradowany 23 kwietnia 1945 roku).

Norwegia – miała nieliczną, bardzo słabo przygotowaną armię. W obliczu zagrożenia wojennego minister spraw wojskowych nie wiedział nawet, czym różni się mobilizacja alarmowa od powszechnej. Wódz naczelny, generał Kristian Laake, przybył na poranne spotkanie swego sztabu taksówką, w ubraniu cywilnym, a następnie nie mógł opuścić Oslo, bo zabrakło dla niego samochodu. Stolica została zajęta przez Niemców już

w pierwszym dniu wojny. Podjęto decyzję o zaprzestaniu walk, ale przekazano ją jedynie najbliższym jednostkom wojskowym, nie było bowiem łączności ani radiowej, ani telefonicznej. Wszyscy generałowie podporządkowali się rozkazowi o kapitulacji, rząd zdymisjonował zatem generała Laakego, zastępując go jednym z pułkowników. Generał Laake zmarł krótko po wojnie, raport o jego działalności – bardzo krytyczny – został ujawniony dopiero w 1978 roku.

Rumunia – władzę dyktatorską sprawował tu król Karol II, zaś szefem sztabu generalnego był generał Ion Antonescu. W związku z nieżyczliwymi komentarzami generała Antonescu o kochance króla pieniądze przeznaczone na modernizację armii przekazano na potrzeby dworu, a Antonescu odsunięto od władzy. Latem 1940 roku Rumunia została zmuszona do oddania przygranicznych ziem Związkowi Sowieckiemu, Węgrom i Bułgarii, a król abdykował. Przywódcą państwa i dyktatorem został Antonescu, który krwawo zlikwidował opozycyjny Legion Archanioła Michała. W 1941 roku zdecydował się na wojnę przeciwko Związkowi Sowieckiemu, którą kontynuował wbrew parlamentowi. Został jednym z sześciu marszałków Rumunii (stopień ten przysługiwał także monarchom). W 1944 roku – po serii klęsk wojennych – marszałek Antonescu został obalony, a wkrótce potem skazany na śmierć i rozstrzelany.

Wielka Brytania – miała skomplikowany system zarządzania siłami zbrojnymi, wynikający z rozległości i różnorodności imperium kolonialnego oraz dużego znaczenia floty i lotnictwa. Najważniejszym wojskowym w kolegialnej Komisji Wojskowej był szef Imperialnego Sztabu Generalnego. W pierwszych kilku miesiącach wojny stanowisko to obsadzali po kolei trzej generałowie: John Gort, Edmund Ironsides, John Dill. Po serii porażek zostali odsunięci na boczny tor, ale mimo to każdy z nich otrzymał stopień marszałka. Marszałkami mianowano też 12 generałów dowodzących armiami w czasie II wojny światowej, 6 dowódców lotnictwa, a równorzędny stopień admirała floty przyznano 8 oficerom marynarki.

Węgry – narodziły się w 1919 roku w wyniku wojny domowej, po której dyktatorem został wódz zwycięskiej armii, admirał Miklós Horthy. Również on decydował o obliczu węgierskich sił zbrojnych i ich udziale w II wojnie światowej po stronie III Rzeszy. W 1944 roku próbował

kapitulować wobec aliantów, Niemcy zdołali jednak temu zapobiec i aresztowali go. Zmarł po wojnie w Portugalii.

Włochy – były królestwem, w którym obowiązywała doktryna zwana faszyzmem. Przywódca państwa i ruchu faszystowskiego Benito Mussolini przyjął tytuł „duce” (czyli wódz), co miało charakter nie tyle polityczny, ile wojskowy. Król Wiktor Emanuel III również nosił ten tytuł – miał on charakter czysto wojskowy. We włoskich siłach zbrojnych było 15 marszałków (wraz z admirałem floty i marszałkiem powietrznym), a Mussolini i Wiktor Emanuel III nosili stopień marszałków imperium. Rojaliści i faszyści walczyli o wpływy w armii, ostateczny sukces – choć krótkotrwały – odnieśli zwolennicy króla. Mussolini został zamordowany w ostatnich dniach wojny, a król – zmuszony do abdykacji wkrótce po jej zakończeniu.

Związek Sowiecki – państwo totalitarne, którego przywódcą był Józef Stalin. W latach 30. XX wieku dokonał czystki wśród kadry dowódczej i zapewnił sobie pełną kontrolę nad Armią Czerwoną. W czasie wojny był naczelnym dowódcą, wydawał bezpośrednie rozkazy formacjom wojskowym, czasami nawet dość niewielkim. W Armii Czerwonej obowiązywało kilka stopni marszałkowskich. Niższy stanowili marszałkowie rodzajów wojsk, zaś średni – główni marszałkowie rodzajów wojsk. Powyżej nich stali marszałkowie Związku Sowieckiego, których było 45 (wraz z admirałami floty Związku Sowieckiego). Najwyższym stopniem wojskowym Armii Czerwonej (i chyba całego świata) był generalissimus Związku Sowieckiego, który przypadł oczywiście Józefowi Stalinowi.

Przypisy

PRZYPISY DO ROZDZ. 1

[1] S. Cat-Mackiewicz, *Historia Polski od 11 listopada 1918 do 17 września 1939, Warszawa 1990*, s. 234

[2] Za: A. Suchcitz, *O dzieciństwie Edwarda Śmigłego-Rydza, „Zeszyty Historyczne”*, 81/1987

[3] Za: *ibidem*

[4] Za: *ibidem*

[5] Za: *ibidem*

[6] Za: *ibidem*

[7] Za: *ibidem*

[8] Za: *ibidem*

PRZYPISY DO ROZDZ. 2

[1] Za: W. Najdus, *Polska Partia Socjalno-Demokratyczna Galicji i Śląska 1890-1919, Warszawa 1983*, s. 556

[2] Za: W. Duch, *Wymarsz Pierwszej Kompanii Kadrowej z Krakowa. Nieudany plan wywołania powstania i zajęcia Warszawy, Historia.org.pl/2018/08/05/*wymarsz-pierwszej-kompanii-kadrowej-nieudana-plan-pilsudskiego-zajecia-warszawy/

[3] Za: *ibidem*

[4] Za: D. i T. Nałęczowie, *Józef Piłsudski: legendy i fakty,* Warszawa 1986, s. 134

[5] Za: *Polska Organizacja Wojskowa* [red. J. Stachiewicz, W. Lipiński], Warszawa 1930, s. 13-14

[6] H. Kutyłowska, *Wspomnienia z Podola 1898-1919*, Warszawa 2003, s. 112

PRZYPIS DO ROZDZ. 4

[1] Za: *A. Kunert, Ostatnie dni marszałka Śmigłego*, Warszawa 1992, s. 53-54

PRZYPISY DO ROZDZ. 5

[1] Za: *M. Cieplewicz, Generałowie polscy w opinii Józefa Piłsudskiego, „Wojskowy Przegląd Historyczny”* 1/1966

[2] Za: *ibidem*

[3] Za: *C. Miłosz, Wyprawa w dwudziestolecie*, Kraków 2000, s. 238

[4] *M. Lepecki, Pamiętnik adiutanta Marszałka Piłsudskiego*, Warszawa 1988, s. 243

[5] *C. Miłosz, op. cit.*, s. 105

[6] Za: *M. Jabłonowski, P. Stawecki, Następca Komendanta. Edward Śmigły-Rydz. Materiały do biografii*, Warszawa-Pułtusk 2014, s. 139

[7] Za: *C. Leżeński, Kwatera 139. Opowieść o marszałku Rydzu-Śmigłym*, t. 1, Lublin 1989, s. 265-266

[8] *Femme fatale II Rzeczypospolitej – Marta Thomas*, Radio.bialystok.pl/tnc/index/id/155918, 29 maja 2018

[9] Za: C. Leżeński, *op. cit.*, s. 268

[10] D. Baliszewski, *Polska femme fatale*, Wprost.pl/tygodnik/99991/polska-femme-fatale.html

[11] Za: *ibidem*

[12] Za: A. Garlicki, *Józef Piłsudski.* 1867-1935, Kraków 2017, e-book

[13] Za: *ibidem*

[14] *Za: ibidem*

[15] W. Kowalski, J. Sosnkowska, *W kręgu mitów i rzeczywistości*, Warszawa 1988, s. 27

PRZYPISY DO ROZDZ. 6

[1] Za: M. Jabłonowski. P. Stawecki, *Następca Komendanta. Edward Śmigły-Rydz. Materiały do biografii*, Warszawa-Pułtusk 2014, s. 145

[2] M. Romeyko, *Przed i po maju*, Warszawa 1967, s. 272

[3] *Ibidem*, s. 203

[4] Za: C. Leżeński, Kwatera 139. *Opowieść o marszałku Rydzu-Śmigłym*, t. 1, Lublin 1989, s. 264

[5] J. Kirchmayer, *Pamiętniki*, Warszawa 1975, s. 422

[6] Za: K.J. Zamorski, *Dzienniki 1930-1938*, Łomianki 2011, s. 51

[7] M. Lepecki, *Pamiętnik adiutanta Marszałka Piłsudskiego*, Warszawa 1988, s. 234

[8] Za: M. Jabłonowski, P. Stawecki, *op. cit.*, s. 171

[9] Za: L. Moczulski, *Wojna polska 1939*, Warszawa 2009, s. 209

[10] Za: J. Jędrzejewicz, *W służbie idei. Fragmenty pamiętnika i pism*, Londyn 1972, s. 292

[11] Za: K. Zamorski, *Zapiski generała Józefa Kordiana Zamorskiego, Najnowsze Dzieje Polski*, Warszawa 1963, t. VI, s. 212

[12] Za: J. Jędrzejewicz, *op. cit.*, s. 212

[13] K. Morawski, *Tamten brzeg. Wspomnienia i szkice*, Warszawa 2018, s. 211

PRZYPISY DO ROZDZ. 7

[1] Za: A. Garlicki, *Śmierć i polityka*, Polityka.pl/tygodnikpolityka/historia/1505718,1,75-rocznica-smierci-jozefa-pilsudskiego.read

[2] Za: M. Cieplewicz, *Generałowie polscy w opinii Józefa Piłsudskiego*, „Wojskowy Przegląd Historyczny" 1/1966

[3] *Diariusz i teki Jana Szembeka* [red. J. Zarański], Londyn 1964, t. 1, s. 292

[4] Za: M. Jabłonowski, P. Stawecki, *Następca Komendanta. Edward Śmigły-Rydz. Materiały do biografii*, Warszawa-Pułtusk 2014, s. 185

[5] Za: A. Garlicki, *Orzeł Biały na osłodę*, „Polityka" 15/2007

[6] Za: Z. Kaczmarek, *Trzej prezydenci II Rzeczypospolitej*, Warszawa 1988, s. 178

[7] Za: J. Beck, *Wspomnienia o polskiej polityce zagranicznej 1926-1939*, Warszawa-Kraków 2015, s. 143

PRZYPISY DO ROZDZ. 8

[1] F.S. Składkowski, *Nie ostatnie słowo oskarżonego, wspomnienia i artykuły*, Warszawa 2003, s. 167

[2] Za: M. Przeperski, *Polska noc długich noży*, Histmag.org/Polska-noc-dlugich-nozy-7219

[3] F.S. Składkowski, *op. cit.*, s. 152

[4] W. Kowalski, J. Sosnkowska, *W kręgu mitów i rzeczywistości*, Warszawa 1988, s. 44

[5] *Ibidem*, s. 45

[6] K. Zamorski, *Dzienniki 1930-1938*, Łomianki 2011, s. 379

[7] T. Dubicki, *Ppłk Bolesław Ziemiański (1901-1976). Szef Ochrony Marszałka Józefa Piłsudskiego, oficer wywiadu polskiego w Rumunii w czasie II wojny światowej*, Łomianki 2016, s. 55-56

[8] K. Zamorski, *op. cit.*, s. 482

[9] S.F. Horak, *Niewidzialni*, Tohorak.opole.opoka.org.pl/Fula%20Horak%20-%20Niewidzialni.pdf

[10] W. Grabowski, *Wspomnienia o marszałku Śmigłym*, „Wiadomości" 32/1966

PRZYPIS DO ROZDZ. 9

[1] J. Beck, *Wspomnienia o polskiej polityce zagranicznej 1926-1939*, Warszawa-Kraków 2015, s. 163-164

PRZYPISY DO ROZDZ. 10

[1] J. Szembek, *Diariusz i teki Jana Szembeka 1934-1939*, Londyn 1964-1972, t. 2, s. 193

[2] *Dekret Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 9 maja 1936 r. o sprawowaniu zwierzchnictwa nad Siłami Zbrojnymi i organizacji naczelnych władz wojskowych w czasie pokoju* (Dz.U. RP z 12 maja 1936 r., nr 38, poz. 286)

[3] J. Jędrzejewicz, *Wspomnienia*, Wrocław 1993, s. 205

[4] *Deklaracja ideowo-polityczna Obozu tworzonego przez płk. Adama Koca*, „Gazeta Lwowska", 23.02.1937

[5] Za: C. Leżeński, *Kwatera 139. Opowieść o marszałku Rydzu-Śmigłym*, t. 1, Lublin 1989, s. 272

[6] J. Kaden-Bandrowski, *Wspomnienia i nadzieje*, Warszawa 1938, s. 96-97

[7] „*Merkuryusz Polski Ordynaryiny*", Wbc.poznan.pl/dlibra/doccontent?id=352315

PRZYPISY DO ROZDZ. 11

[1] C. Miłosz, *Rodzinna Europa*, Warszawa 1998, s. 83-84

[2] *Polskie dokumenty dyplomatyczne 1938* [red. Kornat M.], Warszawa 2007, s. 126-127

[3] J. Beck, *Wspomnienia o polskiej polityce zagranicznej 1926-1939*, Warszawa-Kraków 2015, s. 191

[4] L. Mitkiewicz, *Wspomnienia kowieńskie 1938-1939*, Londyn 1968, s. 9

[5] M.P. Deszczyński, *Ostatni egzamin. Wojsko Polskie wobec kryzysu czechosłowackiego 1938-1939*, Warszawa 2003, s. 221

[6] J. Beck, *op. cit.*, s. 210

PRZYPISY DO ROZDZ. 12

[1] M. Dąbrowska, *Dzienniki 1914-1965*, t. 4 (1937-1941), Warszawa 2009, s. 171

[2] Za: *75 lat temu Józef Beck wygłosił słynne przemówienie. „Nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę…*", PolskaTimes.pl/75-lat-temu-jozef-beck-wyglosil-slynne-przemowienie-nie-znamy-pojecia-pokoju-za-wszelka-cene/ar/3424183

[3] Za: F. Halder, *Dziennik wojenny. Codzienne zapisy szefa Sztabu Generalnego Wojsk Lądowych 1939-1942*, t. 1, s. 45

PRZYPISY DO ROZDZ. 14

[1] J. Beck, *Ostatni raport*, Warszawa 1987, s. 187

[2] Za: M. Jabłonowski, P. Stawecki, *Następca Komendanta. Edward Śmigły-Rydz. Materiały do biografii, Warszawa-Pułtusk 2014*, s. 305

[3] Za: M. Elmerych, *1939. Polska walczy dalej*, Focus.pl/artykul/1939-polska-walczy-dalej?page=2

[4] Za: I. Piątek, *Zd… radziecki cios w plecy*, Historyk.eu/wpis/zdradziecki-cios-w-plecy

[5] K. Sosnkowski, *Cieniom września*, Warszawa 1989, s. 204-216

[6] J. Jaklicz, *A więc wojna! Kampania wrześniowa 1939 roku oraz inne pisma i wspomnienia*, Warszawa 2017, s. 179

[7] Za: A. Kunert, *Ostatnie dni marszałka Śmigłego*, Warszawa 1992, s. 10

[8] Za: P. Łepkowski, *Bohater czy tchórz i zdrajca*, „Uważam Rze Historia”, Historia.uwazamrze.pl/artykul/1149124/bohater-czy-tchorz-i-zdrajca

[9] D. Baliszewski, *Most honoru*, Wprost.pl/historia/66711/Most-honoru.html

[10] *Ibidem*

[11] Za: A. Kunert, *op. cit.*, s. 26

PRZYPISY DO ROZDZ. 15

[1] Za: M. Jabłonowski, P. Stawecki, *Następca Komendanta. Edward Śmigły-Rydz. Materiały do biografii*, Warszawa-Pułtusk 2014, s. 312

[2] Za: *ibidem*, s. 317

[3] Za: R. Mirowicz, *Edward Rydz-Śmigły. Działalność wojskowa i polityczna*, Warszawa 1991, s. 259

[4] A. Kunert, *Ostatnie dni marszałka Śmigłego*, Warszawa 1992, s. 17

[5] P. Hołowiec, *Poezja i historia*, Paryż, „Kultura” 8/1949

[6] I. Krzywicka, *Wyznania gorszycielki*, Warszawa 1992, s. 351

[7] Za: M. Nowik, *Skarby marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza*, Newsweek.pl/polska/skarby-marszalka-edwarda-smiglego-rydza/yjzyr86

[8] Za: A. Kunert, *op. cit.*, s. 21-22

[9] Za: M. Jabłonowski, P. Stawecki, *op. cit.*, s. 326

[10] Za: P. Hołowiec, *op. cit.*

PRZYPISY DO ROZDZ. 16

[1] Za: M. Jabłonowski, P. Stawecki, *Następca Komendanta. Edward Śmigły-Rydz. Materiały do biografii*,Warszawa-Pułtusk 2014, s. 331

[2] Za: P. Zychowicz, *Opcja niemiecka. Czyli jak polscy antykomuniści próbowali porozumieć się z Trzecią Rzeszą*, Poznań 2014, s. 84

[3] J. Maxymowicz-Raczyńska, *Śmierć marszałka Rydza-Śmigłego, „Niepodległość”*, 47/1984

[4] Za: P. Zychowicz, *op. cit.*, s. 137

[5] IPN GK 317/625

[6] Za: P. Zychowicz, *op. cit.*, s. 146

[7] K. Rudnicki, *Na polskim szlaku. Wspomnienia z lat 1939-1947*, Wrocław 1990, s. 195-196

[8] J. Maxymowicz-Raczyńska, *Edward Rydz-Śmigły w Warszawie*, „Dzieje Najnowsze” 1/1970

[9] *Ibidem*

PRZYPIS DO EPILOGU NR 1

[1] Za: P. Zychowicz, *Opcja niemiecka. Czyli jak polscy antykomuniści próbowali porozumieć się z Trzecią Rzeszą*, Poznań 2014, s. 152

Ważniejsza bibliografia

75 lat temu Józef Beck wygłosił słynne przemówienie. „Nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę…”, PolskaTimes.pl/75-lat-temu-jozef-beck-wyglosil-slynne-przemowienie-nie-znamy-pojecia-pokoju-za-wszelka-cene/ar/3424183

Baliszewski D., *Most honoru*, Wprost.pl/historia/66711/Most-honoru.html

Baliszewski D., *Polska femme fatale*, Wprost.pl/tygodnik/99991/polska-femme-fatale.html

Beck J., *Ostatni raport*, Warszawa 1987

Beck J., *Wspomnienia o polskiej polityce zagranicznej 1926-1939*, Warszawa-Kraków 2015

Cat-Mackiewicz S., *Historia Polski od 11 listopada 1918 do 17 września 1939*, Warszawa 1990

Chojnowski A., Wróbel P., *Prezydenci i premierzy Drugiej Rzeczypospolitej*, Wrocław-Warszawa-Kraków 1992

Ciałowicz J., *Polsko-francuski sojusz wojskowy 1921-1939*, Warszawa 1970

Cieplewicz M., *Generałowie polscy w opinii Józefa Piłsudskiego*, „Wojskowy Przegląd Historyczny” 1/1966

Dąbrowska M., *Dzienniki 1914-1965*, Warszawa 2009

Deklaracja ideowo-polityczna Obozu tworzonego przez płk. Adama Koca, „Gazeta Lwowska”, 23.02.1937

Dekret Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 9 maja 1936 r. o sprawowaniu zwierzchnictwa nad Siłami Zbrojnymi i organizacji naczelnych władz wojskowych w czasie pokoju (Dz.U. RP z 12 maja 1936

Deszczyński M.P., *Ostatni egzamin. Wojsko Polskie wobec kryzysu czechosłowackiego 1938-1939*, Warszawa 2003

Diariusz i teki Jana Szembeka [red. Zarański J.], Londyn 1964,

Dubicki T., *Ppłk Bolesław Ziemiański (1901-1976). Szef Ochrony Marszałka Józefa Piłsudskiego, oficer wywiadu polskiego w Rumunii w czasie II wojny światowej*, Łomianki 2016

Duch W., *Wymarsz Pierwszej Kompanii Kadrowej z Krakowa. Nieudany plan wywołania powstania i zajęcia Warszawy*, Historia.org.pl/2018/08/05/wymarsz-pierwszej-kompanii-kadrowej-nieudana-plan-pilsudskiego-zajecia-warszawy/

Elmerych M., *1939. Polska walczy dalej*, Focus.pl/artykul/1939-polska-walczy-dalej?page=2

Femme fatale II Rzeczypospolitej – Marta Thomas, Radio.bialystok.pl/tnc/index/id/155918, 29 maja 2018

Garlicki A., *Józef Piłsudski. 1867-1935*, Kraków 2017, e-book

Garlicki A., *Orzeł Biały na osłodę*, „Polityka” 15/2007

Garlicki A., *Śmierć i polityka*, Polityka.pl/tygodnikpolityka/historia/1505718,1,75-rocznica-smierci-jozefa-pilsudskiego.read

Godlewski J.R., *Wybrane zagadnienia polskiego planowania wojennego w latach 1919-1939*, Gdańsk 1982

Grabowski W., *Wspomnienia o marszałku Śmigłym*, „Wiadomości" 32/1966

Halder F., *Dziennik wojenny. Codzienne zapisy szefa Sztabu Generalnego Wojsk Lądowych 1939-1942*

Hołowiec P., *Poezja i historia*, Paryż, „Kultura" 8/1949

Horak S.F., *Niewidzialni*, Tohorak.opole.opoka.org.pl/Fula%20Horak%20-%20Niewidzialni.pdf

IPN GK 317/625

Jabłonowski M., Stawecki P., *Następca Komendanta. Edward Śmigły-Rydz. Materiały do biografii*, Warszawa-Pułtusk 2014

Jaklicz J., *A więc wojna! Kampania wrześniowa 1939 roku oraz inne pisma i wspomnienia*, Warszawa 2017

Jędrzejewicz J., *Wspomnienia*, Wrocław 1993

Kaczmarek Z., *Trzej prezydenci II Rzeczypospolitej*, Warszawa 1988

Kaden-Bandrowski J., *Wspomnienia i nadzieje*, Warszawa 1938

Kirchmayer J., *Pamiętniki*, Warszawa 1975

Kornat M., *Polityka równowagi 1934-1939. Polska między Wschodem a Zachodem*, Kraków 2007

Kowalski W., Sosnkowska J., *W kręgu mitów i rzeczywistości*, Warszawa 1988

Kunert A., *Ostatnie dni marszałka Śmigłego*, Warszawa 1992

Kusiak F., *Życie codzienne oficerów Drugiej Rzeczypospolitej*, Warszawa 1992

Kutyłowska H., *Wspomnienia z Podola 1898-1919*, Warszawa 2003

Lepecki M., *Pamiętnik adiutanta Marszałka Piłsudskiego*, Warszawa 1988

Leżeński C., *Kwatera 139. Opowieść o marszałku Rydzu-Śmigłym*, Lublin 1989

Łepkowski P., *Bohater czy tchórz i zdrajca*, „Uważam Rze Historia", Historia.uwazamrze.pl/artykul/1149124/bohater-czy-tchorz-i-zdrajca

Łossowski P., *Ultimatum polskie do Litwy 17 marca 1938 roku. Studium z dziejów dyplomacji*, Warszawa 2010

Maxymowicz-Raczyńska J., *Edward Rydz-Śmigły w Warszawie*, „Dzieje Najnowsze" 1/1970

Maxymowicz-Raczyńska J., *Śmierć marszałka Rydza-Śmigłego*, „Niepodległość", 47/1984

„Merkuryusz Polski Ordynaryiny", Wbc.poznan.pl/dlibra/doccontent?id=352315

Miłosz C., *Rodzinna Europa*, Warszawa 1998

Miłosz C., *Wyprawa w dwudziestolecie*, Kraków 2000

Mirowicz R., *Edward Rydz-Śmigły. Działalność wojskowa i polityczna*, Warszawa 1991

Mitkiewicz L., *Wspomnienia kowieńskie 1938-1939*, Londyn 1968

Moczulski L., *Wojna polska 1939*, Warszawa 2009

Morawski K., *Tamten brzeg. Wspomnienia i szkice*, Warszawa 2018

Najdus W., *Polska Partia Socjalno-Demokratyczna Galicji i Śląska 1890-1919*, Warszawa 1983

Nałęczowie D. i T., *Józef Piłsudski: legendy i fakty*, Warszawa 1986

Nowik M., *Skarby marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza*, Newsweek.pl/polska/skarby-marszalka-edwarda-smiglego-rydza/yjzyr86

Piątek I., *Zd… radziecki cios w plecy*, Historyk.eu/wpis/zdradziecki-cios-w-plecy

Piłsudski J., Pisma-mowy-rozkazy. Rok 1920, Warszawa 1990

Polska Organizacja Wojskowa [red. Stachiewicz J., Lipiński W.], Warszawa 1930

Polskie dokumenty dyplomatyczne 1938 [red. Kornat M.], Warszawa 2007

Przeperski M., *Polska noc długich noży*, Histmag.org/Polska-noc-dlugich-nozy-7219

Rawicz J., *Do pierwszej krwi*, Warszawa 1974

Romeyko M., *Przed i po maju*, Warszawa 1967

Rudnicki K., *Na polskim szlaku. Wspomnienia z lat 1939-1947*, Wrocław 1990

Rybka R., Stepan K., *Rocznik oficerski 1939*, Kraków 2006

Składkowski F.S., *Nie ostatnie słowo oskarżonego, wspomnienia i artykuły*, Warszawa 2003

Sosnkowski K., *Cieniom września*, Warszawa 1989

Stachiewicz W., *Wierności dochować żołnierskiej, Przygotowania wojenne w Polsce 1935-1939 oraz kampania 1939 w relacjach i rozważaniach szefa Sztabu Głównego i szefa Sztabu Naczelnego Wodza*, Warszawa 1998

Suchcitz A., *O dzieciństwie Edwarda Śmigłego-Rydza*, „Zeszyty Historyczne", 81/1987

Szembek J., *Diariusz i teki Jana Szembeka 1934-1939*, Londyn 1964-1972

Śmigły-Rydz E., *Czy Polska mogła uniknąć wojny?*, Paryż, „Zeszyty Historyczne" 2/1962

Zaleski A., Wspomnienia, Warszawa 2017

Zamorski K.J., *Dzienniki 1930-1938*, Łomianki 2011

Zychowicz P., *Opcja niemiecka. Czyli jak polscy antykomuniści próbowali porozumieć się z Trzecią Rzeszą*, Poznań 2014

Koniec

HARDE
WYDAWNICTWO